ZIEMKIEWICZ KONTRA WARZECHA

Spór o wypowiedź Kissingera na temat Ukrainy

Ksiądz profesor Dariusz Oko ostro o niemieckim Kościele

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 23/479 6–12 CZERWCA 2022 CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

EMIL BARCHAŃSKI – NAJMŁODSZA OFIARA STANU WOJENNEGO

Waldemar Buda, czyli kto się kryje za kompromisem z Brukselą

CO TYDZIEŃ FELIETON CEJROWSKIEGO

CENZURA CZY WOLNOŚĆ

Bill Gates kontra Elon Musk, czyli starcie gigantów o Twittera

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829
Nakład: 54 000 egzemplarzy

epresa.pl/2699829617

XII KONGRES
POLSKA WIELKI PROJEKT

10-12 CZERWCA 2022 r.
ARKADY KUBICKIEGO, WARSZAWA

POLSKA WIELKI PROJEKT

nowa Europa

Zdzisław Krasnodębski
Adrian Vermeule
Ryszard Legutko
Patrick Deneen
Wojciech Roszkowski
Stéphane Courtois
Andrzej Zybertowicz

Patronat Honorowy
Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej
Andrzeja Dudy

Partnerzy strategiczni: Bank Polski, PZU, PZU Fundacja, KGHM Polska Miedź, Fundacja KGHM Polska Miedź

Partnerzy główni: fundacja arp, Bank Pekao Fundacja, arp, BGK, Fundacja BGK, Totalizator Sportowy, Orlen Fundacja

Partnerzy: New Direction, Lotos, PGNiG, NIW

Partnerzy medialni: TVP Telewizja Polska, Polskie Radio, 95, dwójka, Polskie Radio 24, polsat, A17, Wnętrzowo Najważniejsze, media PPG, Do Rzeczy, SIECI

eprasa.pl f269829617

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Polskie emocje i realizm

Polacy są najbardziej antyrosyjskim i proamerykańskim narodem świata – wynika z badania opublikowanego przez „Gazetę Wyborczą". W cyklicznym sondażu organizacji Alliance of Democracies mieszkańcy 52 krajów odpowiadali na pytania m.in. o stosunek do największych mocarstw. Przeprowadzono je w kwietniu i maju, a więc po wybuchu wojny na Ukrainie. Wynika z nich, że aż 87 proc. Polaków negatywnie ocenia działania Rosji. Polacy chwalą też Stany Zjednoczone bardziej niż… sami Amerykanie. Wydaje się, że rezultaty doskonale pokazują faktyczne polskie społeczne emocje. I tłumaczą, dlaczego w Polsce tak trudno mają realiści, a więc ci politycy i komentatorzy, którzy starają się postrzegać politykę, opisując siły i interesy, a nie wartości i pragnienia.

Antyrosyjska postawa Polaków na pewno nie jest irracjonalna, w znacznym stopniu jest przecież efektem doświadczenia historycznego, najpierw rozbiorów, później okupacji sowieckiej i podporządkowania sobie Polski przez Moskwę. Nie zmienia to tego, że ma ona ogromny wpływ na postrzeganie obecnej agresji rosyjskiej, a także na ocenę jej skutków.

Łatwo zauważyć, po pierwsze, że przy takiej dozie antyrosyjskości polska opinia publiczna skłonna będzie z góry przyjmować i afirmować wszystkie informacje niekorzystne dla Moskwy i wypierać te, które przedstawiają sytuację w odmiennym świetle. Stąd uznaje się za prawdziwe doniesienia, które wskazują na to, że rosyjska armia się rozpada, ataki są nieudane. Najkrócej: Rosja znajduje się na skraju rozpadu, jest to słoń na glinianych nogach. W wojsku dochodzi do buntów, a żołnierzy wyróżniają brutalność, podłość, prymitywizm i okrucieństwo. Czy tak jest naprawdę? Biorąc pod uwagę emocje, realiści muszą mieć ogromne wątpliwości. To, że polskie media pokazują inwazję jako ciąg klęsk, być może jest po prostu formą zaspokojenia emocjonalnych potrzeb odbiorców.

Po drugie, skrajna antyrosyjskość tłumaczy też inną zagadkę: ci sami ludzie, którzy mniemają, że Rosja się rozpada, uważają, że jednocześnie lada moment napadnie na Polskę. Dlatego wierzą, że wojna z Polską jest nieuchronna i wyciągają stąd wniosek, że im dłużej trwa konflikt na Ukrainie, tym lepiej dla Polski, bo tylko to powstrzymuje rosyjskie wojska od inwazji na Polskę. Nie jest to logiczne. Jak można wierzyć jednocześnie w skrajną słabość i totalną siłę? Podobnie: Czy nie należałoby pytać o koszty, jakie gotowi jesteśmy ponieść dla osłabienia Moskwy? Emocje jednak nie kierują się logiką. Tu liczy się wszystko albo nic. Nadmierny optymizm i przesadny lęk, przechodzenie ze skrajności w skrajność nie są, psychologicznie, niczym rzadkim.

Dodatkowym ważnym elementem jest ślepa wręcz wiara w zdolności Ameryki i, nie mniej osobliwa i mocna, ufność w jej dobre intencje. Polacy kochają Amerykę, powtarzam, bardziej niż sami Amerykanie. Idealizują, upiększają, nie przyjmują do wiadomości, że jest ona, poza wszystkim innym, po prostu imperium, które kieruje się swoimi interesami i walczy jak wszystkie inne o potęgę. Co więcej, dysponując tą emocjonalną przewagą, a więc wiedzą o polskiej miłości, może skutecznie manipulować nastrojami. Wystarczy, że wysoki rangą amerykański polityk poklepie tego lub owego po ramieniu albo znacząca gazeta połechta ego ważnego urzędnika, i sprawa załatwiona.

Wiąże się to z jeszcze jedną cechą polskiej mentalności, o czym już pisałem wiele razy, a mianowicie, co jest dziedzictwem romantycznym, postrzegania polityki nie w kategoriach sił, ale wartości. Zmagania o wpływy i korzyści przedstawiają się nam wyłącznie i bezwarunkowo jako walka dobra ze złem, mocy jasności i mocy zła. Dlatego polscy politycy nie potrafią tego, czego przez wieki uczyli się ci z Zachodu: grać, lawirować, zawierać i zmieniać sojuszy. Nie przyjmują do wiadomości, że dobro i zło rzadko, a być może nigdy, nie przejawiają się w doczesności w pełni. Nawet podczas drugiej wojny światowej walka ze złem Hitlera pociągała sojusz z nie mniejszym złem Stalina. Ze złem się nie paktuje, dobro trzeba wspierać – ta zasada przeniesiona na pole polityki doczesnej sprawia, że, co znowu wynika z badań, Polacy chcą więcej i najbardziej radykalnych sankcji na Rosję, nawet jeśli uderza to w ich interesy. Co więcej, właśnie ta postawa sprawia, że rząd niespecjalnie musi się tłumaczyć z rosnących kosztów życia i pogorszenia stanu gospodarki – byleby był po dobrej stronie mocy.

Cóż, do tej pory historia, delikatnie mówiąc, Polaków nie rozpieszczała. Dziwnym trafem okazywało się, że emocje nie są najlepszym doradcą w polityce. Być może jednak żyjemy w lepszym świecie i dawne prawdy już się nie sprawdzają. ©℗

eprasa.pl f269829617

TEMAT TYGODNIA

14 JAKUB WOZINSKI
MUSK KONTRA GATES: SPÓR O PRZYSZŁOŚĆ ZACHODU
Cenzura czy wolność

KRAJ

18 PIOTR SEMKA
JEDNA LISTA, CZYLI TEMAT UCIECZKOWY
Czy Donald Tusk spuści z tonu?

20 ZUZANNA DĄBROWSKA
NEGOCJATOR KOMPROMISU

22 JAN POSPIESZALSKI
UCISZYĆ LEKARZY

26 ROZMOWA Z KS. PROF. DARIUSZEM OKO
DROGA SAMOZATRACENIA

30 TOMASZ ROWIŃSKI
MAŁY KROK W ZŁĄ STRONĘ

32 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
KTO TU MA DOŚĆ?

KULTURA

34 WIESŁAW CHEŁMINIAK
ROSYJSKI SFINKS
Muza surrealistów

36 PIOTR GOCIEK
POLICJANT MNIE BIJE

NIE PRZEGAP

40 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

46 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
SKLEROTYCZNY REALIZM KISSINGERA
Geopolityka a rosyjska paranoja

48 ŁUKASZ WARZECHA
REALISTA WIELKIEJ SZACHOWNICY

50 JAN PARYS
NOWA MISJA NATO

HISTORIA

54 ROZMOWA Z MAŁGORZATĄ WINKLER-POGODĄ
NAJMŁODSZA OFIARA STANU WOJENNEGO
Znienawidzony pomnik Feliksa Dzierżyńskiego

ŚWIAT

58 WITOLD REPETOWICZ
KOLONIA TURKÓW NAD RENEM
Niemiecki problem z Turkami

62 MACIEJ PIECZYŃSKI
WOJNA W CIENIU WOJNY

EKONOMIA

66 ŁUKASZ ZBORALSKI
STUDNIA ZDROWIA
Nieudolne inwestycje w leczenie

SPORT

70 ROZMOWA Z MATEUSZEM MASTERNAKIEM
MAM SZANSĘ WALCZYĆ O MISTRZOSTWO
Boks jest lepszy niż walki freaków

O ZDROWIU

74 ROZMOWA Z PROF. MAŁGORZATĄ SZNITOWSKĄ
INNOWACJA TO WDROŻENIE
80 proc. leków, które przyjmujemy, to leki generyczne

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (13), ZYCHOWICZ, KOPER (57), PRZYBYLSKI (61), GABRYEL, WARZECHA (68), KOMUDA (77), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WOŁCZYK (80), ROSZKOWSKI (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl f269829617

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Geografia i język

[...] Bardzo niepokojący jest coraz częściej spotykany w mediach styl, polegający na mówieniu „w Ukrainie", „do Ukrainy" zamiast poprawnej formy „na Ukrainie". Forma z przyimkiem „na" wcale nie oznacza żadnej podległości i jest stosowana w polskim języku na oznaczenie tych narodów i krajów, z którymi w przeszłości Polacy posiadali jedną władzę: z Węgrami i Słowakami za Ludwika w XIV w., z Ukrainą, Białorusią, Litwą i Łotwą (Inflantami) w kolejnych wiekach.

Dlatego mówimy „na Węgry", „na Litwę", „na Ukrainę" itd., ponieważ przez wieki byliśmy z nimi razem pod jednym berłem, co sprzyjało mieszaniu się i z tego powodu są to dzisiaj dla nas narody pobratymcze.

Język polski sam w sobie jest nośnikiem prawdy historycznej, dlatego nie ulegajmy modom, które mogą ten jego walor zniweczyć. I pilnujmy, aby nazwy geograficzne oznaczały precyzyjnie to, czego dotyczą. Jak wiedział już Konfucjusz, „tam, gdzie słowa zmieniają swoje znaczenie, ludzie tracą wolność". Jest to dzisiaj, w czasach wojny informacyjnej, niezwykle aktualne.

Witold Wilczyński, Polskie Towarzystwo Geopolityczne, Uniwersytet Pedagogiczny w Krakowie

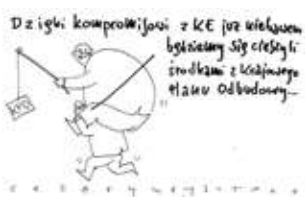

NEKROLOG

Bartoszowi i Miłoszowi Marczukom

wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci

ŚP.

Ojca

składają koledzy z tygodnika „Do Rzeczy"

NEKROLOG

Naszemu Koledze

Bogdanowi Rzońcy

wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci

ŚP.

Mamy

składa Ryszard Legutko

w imieniu Grupy Europejskich Konserwatystów i Reformatorów

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wołczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Paweł Zdziarski, Łukasz Żygadło**

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (kierownik), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agata Błaszczyk-Stefaniak**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Indraneel Chowdhury, Patrick T. Fallon/Getty Images**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek,** tel.: 508 040 664, pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829, Nakład 54 000 egzemplarzy

NAKŁAD KONTROLOWANY ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA: **Prenumerata realizowana przez RUCH SA:**
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl f269829617

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Spróbujmy raz jeszcze

Wizyta Ursuli von der Leyen w Warszawie to uwieńczenie prowadzonego od miesięcy dialogu rządu z Brukselą. Mateusz Morawiecki demonstruje optymizm. Reakcje frontu obrony „kasty sędziowskiej" są zupełnie inne. Sędzia Igor Tuleya z goryczą ogłasza: „KE udaje, że egzekwuje praworządność, a polski rząd udaje współpracę". Profesor Wojciech Sadurski deklaruje w „GW": „Jeśli Bruksela zatwierdzi KPO, to będzie premia za oszustwo". I tak dalej.

Zostawmy na chwilę na boku te neurotyczne reakcje. Jesteśmy świadkami kompromisu, w którym zważono racje rządzącej w Polsce od 2015 r. ekipy z żądaniami opozycji. Bruksela uznała, że postępowania dyscyplinarne wobec sędziów, prokuratorów oraz innych zawodów prawniczych muszą istnieć. Rząd zgodził się na likwidację Izby Dyscyplinarnej, ale nie zgodził się na warunek przywrócenia do orzekania sędziów, którzy zostali zawieszeni w wykonywaniu obowiązków. Zobaczymy, jak będzie działać nowa izba odpowiedzialności zawodowej. Sędziowie spod znaku Iustitii nie wywalczyli powrotu do budzącego wiele wątpliwości systemu samokontroli sędziowskiej sprzed 2015 r.

Zobaczymy, jak w praktyce będzie dalej zachowywać się Komisja Europejska. W jej łonie są politycy tacy jak Frans Timmermans, którzy zapowiadają, że będą działać na rzecz zatrzymania pieniędzy w wypadku, gdy nowa ustawa będzie budzić ich zastrzeżenia. Rafał Trzaskowski wręcz się chwali, że będzie naciskał na KE, by stawiała Polsce kolejne warunki wypłaty pieniędzy na KPO. „Nieprzejednani" spod znaku sędziego Tulei czy prof. Marcina Matczaka już się zastanawiają, jak odzyskiwać teren.

Nie widać w środowisku jakiejkolwiek refleksji nad tym, z czego wziął się spór, który trwa od 2015 r. O tym, jak wiele złego dla wiarygodności sądów dokonali kontestatorzy w togach, świadczy przykład niedawnego wyroku w Gdańsku. Tutejszy sąd uniewinnił Magdalenę Adamowicz, wdowę po prezydencie Gdańska. Była ona oskarżona o błędne rozliczenie podatku za najem mieszkań oraz ukrywanie dochodów. Chodziło o zatajenie odpowiednio 300 tys. zł i 100 tys. zł dochodów. Sędzia Julia Kuciel dwukrotnie przerwała mowę końcową prokuratorowi, zarzucając mu, że wygłasza „mowy polityczne".

Część mediów przypomniała, że sędzia Kuciel uczestniczyła w demonstracjach przeciw reformie wymiaru sprawiedliwości. Czy można od siebie oderwać te dwa fakty? Bardzo trudno. Nikt po stronie opozycyjnej nie zastanawia się, jak załagodzić ten konflikt, który dzieli środowisko sędziowskie. Można zrozumieć pełne satysfakcji wypowiedzi przedstawicieli rządu, ale wypada bardzo wyraźnie obserwować, jak uzyskany kompromis będzie wcielany w życie. Lista tych, którzy będą chcieli wysadzić go w powietrze, po stronie Brukseli i polskiej opozycji jest całkiem spora. ©℗

NEKROLOG

Z głębokim smutkiem zawiadamiam,

że 29 maja 2022 roku zmarła, przeżywszy 106 lat

ŚP.

mjr Maria Mirecka-Loryś

ps. Marta

urodzona 7 lutego 1916 roku w Ulanowie na Podkarpaciu. Od października 1939 roku działała w strukturze konspiracyjnej podporządkowanej Stronnictwu Narodowemu. Od wiosny 1940 roku komendantka Narodowej Organizacji Wojskowej Kobiet w powiecie niżańskim, następnie komendantka NOWK Okręgu Rzeszowskiego. Kurierka Komendy Głównej Narodowej Organizacji Wojskowej. Po scaleniu NOW z Armią Krajową kierowała Wojskową Służbą Kobiet Rzeszowskiego Podokręgu AK. Od wiosny 1945 roku Komendantka Główna Narodowego Zjednoczenia Wojskowego Kobiet. W grudniu 1945 roku przedostała się na Zachód. Do października 1946 roku pozostawała we Włoszech, następnie wyemigrowała do Wielkiej Brytanii. W 1952 roku zamieszkała w USA.

Zasłużona działaczka organizacji polonijnych. Członkini Zarządu Głównego Związku Polek w Ameryce oraz Krajowego Zarządu Kongresu Polonii Amerykańskiej. W latach 1964–1995 redaktor naczelna „Głosu Polek". W 2004 roku powróciła do Polski.

Uhonorowana Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski oraz wieloma innymi odznaczeniami. Niech odpoczywa w pokoju wiecznym!

Cześć Jej pamięci!

Jan Józef Kasprzyk,
Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

eprasa.pl f269829617

Światowe Forum Miejskie – WUF11

Katowice, 26-30 czerwca 2022

Porozmawiajmy w Katowicach o najważniejszym wynalazku ludzkości

Miasto to jeden z najważniejszych wynalazków ludzkości, dla niektórych - najważniejszy. Miasta są bowiem od tysięcy lat miejscem wymiany handlowej, przepływu wiedzy, interakcji, innowacji czy organizowania się społeczności. Miasta to ciągle transformujące się węzły globalnej sieci powiazań między ludźmi, firmami, uczelniami i organizacjami.

Kondycja miast, ich konkurencyjność i sprawność w dostosowywaniu się do ciągłych zmian to tematy, którymi zajmują się nie tylko ich włodarze i świadomi mieszkańcy, ale także tysiące badaczy i organizacji. Jedną z nich jest Organizacja Narodów Zjednoczonych.

Co dwa lata, pod egidą ONZ, odbywa się najważniejsze i największe na świecie wydarzenie dotyczące dyskusji o rozwoju miast – Światowe Forum Miejskie (World Urban Forum – WUF). **W tym roku – już w dniach od 26 do 30 czerwca – 11. sesja wydarzenia odbędzie się w Polsce, w Katowicach.** Po raz pierwszy w 20-letniej historii gospodarzem wydarzenia będzie kraj z Europy Środkowo-Wschodniej. W WUF wezmą udział nie tylko przedstawiciele rządów i miast z całego świata, ale również setki naukowców, przedstawicieli organizacji społecznych oraz biznesu a przede wszystkim mieszkańcy miast. To niepowtarzalna okazja, by w Polsce wziąć udział w globalnym wydarzeniu, podczas którego prezentowane i omawiane będą trendy i wyzwania dla rozwoju zarówno metropolii, jak i mniejszych miast i miasteczek.

Zwłaszcza w czasach kryzysów i niepewności wiele osób zadaje sobie pytania: czy tu, gdzie mieszkam, jestem bezpieczny? Czy miejsce, w którym żyję, daje dobre perspektywy na rozwój i dobre życie dla mnie i moich bliskich? W jaki sposób moje miasto poradzi sobie z transformacją gospodarczą, energetyczną, klimatyczną? Odpowiedzi na te pytania będą poszukiwać uczestnicy WUF w Katowicach. To szansa na podzielenie się wiedzą i dobrymi praktykami, wzajemne inspirowanie czy nawiązywanie współprac w międzynarodowym gronie.

Organizatorzy wydarzenia po stronie polskiej – Ministerstwo Funduszy i Polityki Regionalnej oraz miasto Katowice – zapewniają, że nie będzie to zwykła konferencja. Przez 5 dni cała stolica Górnego Śląska będzie żyła festiwalem miejskim, którym jest WUF11.
W mieście powstanie 11 stref pod wspólną nazwą „WUF na Mieście", które będą miały swój osobny program. Będzie kino miejskie, koncerty, strefa dyskusji z młodymi czy strefa innowacji. Ciekawą atrakcją będzie również Urban Expo, w której swoje pawilony promocyjne przygotowują państwa, miasta, ale też firmy. WUF to „numer 1" wśród wydarzeń miejskich.

Więcej informacji o wydarzeniu:
www.gov.pl/wuf11
Bezpłatna rejestracja na stronie:
wuf.unhabitat.org

ZESKANUJ I WEŹ UDZIAŁ

WORLD URBAN FORUM
JEDENASTA SESJA
KATOWICE, POLSKA | 26-30 CZERWCA 2022

UN HABITAT
FOR A BETTER URBAN FUTURE

Ministerstwo Funduszy i Polityki Regionalnej

KATOWICE
dla odmiany

eprasa.pl f269829617

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

116 kamieni u nóg

Informacja, że obwieszczone przez władzę jako jej wielki sukces „odblokowanie" przez Komisję Europejską tzw. Krajowego Planu Odbudowy wiąże się z zobowiązaniem przez Polskę do spełnienia aż 116 różnego rodzaju warunków, podana została tuż przed wysłaniem tego numeru „Do Rzeczy" do drukarni. Pisząc te słowa, nie znam więc jeszcze większości szczegółów zawartego cichcem dealu między PiS a europejskimi federastami – bo właśnie tak trzeba ten układ rozumieć.

Według odnośnego ministra żaden z tych 116 „kamieni milowych" nie odnosi się do sądownictwa. Z podanych przykładów można za to wnosić, że za odstosunkowanie się Unii od jego reformy wymiaru sprawiedliwości zapłacił PiS zgodą na wiele koncesji wpychających Polskę w neokolonialną zależność gospodarczą. Regulacje „klimatyczne" i „ekologiczne", wzmocnienie „praw socjalnych" (np. oskładkowanie wszystkich umów o świadczeniu pracy) – wszystko, co skutecznie uwięzi Polskę w „pułapce średniego rozwoju" i uwolni „starą Europę" od obawy, że zrobimy jej konkurencję.

Tradycja targowicy to tradycja nie tylko zdrady, lecz także głupoty. Szczęsny Potocki i Branicki głęboko wierzyli, wzywając carycę do przywrócenia w Rzeczypospolitej zagrożonej „prawem 3 maja" praworządności, że jej armia wkroczy tu tylko po to, by przywrócić „złotą wolność", a potem sobie pójdzie i znowu będzie, jak było. Tak samo współcześni targowiczanie, którzy dla obrony korporacyjnych interesów pozwolili sobie wezwać przeciwko własnemu państwu obcą pomoc, tak jak separatyści z Ługańska i Doniecka ściągnęli na swój kraj najazd rosyjski, nie podejrzewali nawet, że przedmiotem troski Unii może nie być przywrócenie sędziowskiego sobiepaństwa, ale coś więcej, i w imię tego „więcej" Unia zostawi ich na lodzie.

Tradycja sanacji to tradycja nie tylko patriotyzmu, lecz także głupoty, a na dodatek jeszcze tromtadracji. Sanacyjni patrioci puszyli się i nadymali, ku podziwowi patriotycznie wzmożonego społeczeństwa, że nie oddadzą ani guzika – a potem, ni z tego, ni z owego, przyszło oddać całe gacie. Obie te tradycje właśnie się spotkały i uściskały. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Przygoda na Manhattanie

Znajomy mój uczestniczył niedawno w tyleż przykrym, co ciekawym zdarzeniu podczas krótkiego pobytu w Nowym Jorku. Szedł rano z kolegą 52. ulicą, gdy nagle rozmowę przerwała im przechodząca obok dobrze ubrana pani koło pięćdziesiątki. Po polsku, tyleż prostym, co kwiecistym językiem (wprost z repertuaru „ruchu wyp…dalać") kazała im się wynosić do „swojej Polski", tam oblewać farbą dyplomatów, a najlepiej jechać na Ukrainę, skoro tak bardzo chcą wojny i nie wiedzą, że Putin ma głowice nuklearne.

Było to krótko po 9 maja, więc – jak widać – echo ekscesów pod sowieckim pomnikiem poniosło ze Żwirki i Wigury za ocean. Gdybym nie znał bohatera tej historii, sam bym nie uwierzył. Oczywiście uliczne awantury to nie powód do politycznych generalizacji, ale warto mieć świadomość, jak nas i naszą historię widzą inni.

Nie wiem, czy nowojorską sympatyczkę „ruchu wyp… dalać" pobudził wywiad prezydenta Dudy dla „The Wall Street Journal", w którym zachęcał Amerykanów, by nie bać się nuklearnych gróźb Putina. Wiem jednak, że polska akcja za granicą powinna mieć świadomość stereotypów na nasz temat, tym bardziej jeśli utrwala je rosyjska propaganda. Przywódcy państw muszą groźby rozważać trzeźwo, ale muszą też dawać publiczne dowody odpowiedzialności i troski o życie i bezpieczeństwo swych obywateli. Co może być cnotą porucznika (choć on też może odpowiadać za swój pluton) – nie jest cnotą głowy państwa.

O konieczności solidarności ze sprzymierzeńcami, wspierania aktywnej roli NATO i presji na Rosję piszę bez przerwy nie od 100 dni, ale od pierwszych sygnałów, że może dojść do wojny. Czym innym jednak jest wsparcie, solidarność i budowanie roli Polski jako solidnego czynnika porządku międzynarodowego, czym innym – natrętne zabiegi o rolę „reżyserów sankcji" albo wręcz – scenarzystów wojny. Tym bardziej jeśli aktorzy, którzy mieliby w tym dramacie zagrać – wcale tych scenariuszy nie zamawiają. ©℗

eprasa.pl f269829617

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O nostalgii

25 maja cała Italia stanęła w miejscu, a wojna na Ukrainie na chwilę poszła w kąt. Italia, jej media i elity, świętowały 100-lecie urodzin Enrica Berlinguera, przywódcy Komunistycznej Partii Włoch w latach 1972–1982.

Deifikacja komunisty trwała od świtu przez cały Boży dzień niemal we wszystkich kanałach włoskich telewizji. Lukrowane wspominki, pełne rewerencji wypowiedzi polityków i historyków zdominowały programy publicystyczne. Hagiografia, często idąca w parze z nieznośną grafomanią, ciągnęła się stronami najważniejszych włoskich gazet. Można było odnieść wrażenie, że Enrico Berlinguer był darem Pana Boga dla Italii i każdego Włocha w osobności.

Dziedzictwo Berlinguera, jego poprzedników i następców jest smutne, tragiczne i irytujące

Rozmiary tej histerii, a właściwie ekstazy, były porażające i przerażające. Uświęcano przecież wodza partii, która dziewięć lat po jego odejściu zbankrutowała finansowo i ideologicznie. Berlinguer był wyznawcą idei, które wrzucono do lamusa historii i zabito wieko ćwiekami. Huczne obchody trudno traktować inaczej niż nostalgię za KP Włoch, za czasami, gdy głosował na nią co trzeci Włoch.

Jednak dziedzictwo Berlinguera, jego poprzedników i następców jest smutne, tragiczne i irytujące. Radykalna komunistyczna młodzież sięgnęła po terror – słynne Czerwone Brygady. Jak się okazało, dzięki Wasilijemu Mitrochinowi, który zbiegł na Zachód wraz z archiwum KGB, blisko tysiąc włoskich lewicowych intelektualistów, w tym znani ludzie kultury, szpiegowało i sporządzało raporty dla ambasady ZSRS. Za darmo.

Co prawda Berlinguer stawiał się Sowietom, ale brał od nich grube pieniądze – od państwa, którego rakiety były wycelowane w Italię. Przecież to zdrada stanu. Gdy źródełko wyschło i sponsor skonał, KP Włoch natychmiast się rozwiązała. Komuniści ogłosili śmierć komunizmu i przepoczwarzyli się w socjaldemokratów. Jak pisał jeden z włoskich publicystów: „To tak, jakby papież na placu św. Piotra ogłosił, że Pana Boga nie ma". Ale włoskie elity i media uważają, że nadal trzeba fetować komunistycznych przywódców. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl f269829617

SZANGHAJ WRACA DO ŻYCIA PO COVID-19

Mieszkańcy gospodarczej stolicy Chin po dwóch miesiącach surowego lockdownu wreszcie mogą nieco odetchnąć. Od 1 czerwca władze zdecydowały się częściowo złagodzić restrykcje, którym objęto wcześniej 25-milionowe miasto.

Wcześniej, w ramach polityki „zero COVID-19", mieszkańców zamknięto w domach i mieszkaniach, a na pustych ulicach można było jedynie obserwować pracowników służb, którzy ubrani w specjalne białe kombinezony regularnie odkażali miasto. Osoby zakażone koronawirusem były przewożone do zamkniętych ośrodków. Lokalne bunty oburzonych polityką władz mieszkańców tłumili zaś policjanci w ubraniach ochronnych. Tak restrykcyjną politykę chińskiego rządu skrytykowała nawet Światowa Organizacja Zdrowia.

Gdy więc władze w Pekinie ogłosiły zwycięstwo nad pandemią koronawirusa i o północy 1 czerwca złagodziły surowy lockdown – w zamknięciu pozostaje jednak wciąż nieco ponad pół miliona osób – wielu mieszkańców azjatyckiej metropolii skorzystało z okazji i wyszło na ulice. Część świętowała w parkach. Inni z dawno niewidzianymi znajomymi robili sobie pamiątkowe zdjęcia (w maseczkach, które wciąż pozostają obowiązkowe). Jeszcze inni już spakowani próbowali jak najszybciej wyjechać z miasta, aby nie zostać ponownie więźniem w swoim własnym domu. Aby mieć pewność, że nie obejmą ich podobne restrykcje, musieliby jednak wyprowadzić się z ojczystego kraju, bo podobne lockdowny wprowadzono w ostatnich miesiącach również w innych chińskich miastach. ***(jap)*** © ℗

FOT. NG HAN GUAN/AP/EAST NEWS

eprasa.pl #26982

eprasa.pl f269829617

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, w miejscowości Tylawa na Podkarpaciu polscy funkcjonariusze Straży Granicznej zatrzymali trzy osoby uchodźcze z Maroka, które myślały, iż są już w Wiedniu, do którego chciały dotrzeć. Bardzo nas porusza wielostopniowy tragizm tej sytuacji.

Po pierwsze, polskie media uparcie piszą, iż zatrzymani zostali „trzej młodzi mężczyźni". Tymczasem mówimy o osobach, co do których przecież nie mamy pełnej pewności, jakich zaimków używają, jak się same czują i identyfikują, dlatego postulujemy, iżby każdorazowo mówić o „osobach uchodźczych", dobrze?

Po drugie – no staramy się wczuć w to, co one, te osoby, przeszły i nie jesteśmy w stanie do końca sobie tych uczuć zwizualizować. No bo patrzcie sami: chcieli do Wiednia, do Australii, na Zachód, a trafili na Podkarpacie. Do, podkreślmy to jeszcze raz, miejscowości Tylawa w gminie Dukla.

Przecież to tak, jakbyście poszli sobie na jakiś modny koncert, a na scenie pojawiłaby się Golec uOrkiestra. Albo chcielibyście sobie włączyć serial na Netflixie, a tam „Ranczo". Albo poszlibyście na wegeburgera z buraka, a dostalibyście podwójny krwisty stek z bekonem (przepraszamy co wrażliwszych za to porównanie, ale chcemy Was sprowokować do myślenia).

Tak w ogóle to może byłby jakiś sposób, iżby osoby uchodźcze pozwały Podkarpacie za podszywanie się pod Wiedeń? Na pewno znalazłby się na to jakiś paragraf.

Wszyscy teraz, kochani, chcą pracować zdalnie albo hybrydowo – my zresztą też. Widzieliśmy nawet badanie, którego wyniki mówiły, iż co trzeci Polak chciałby w całości pracować spoza biura swojej firmy.

Jest to zachowanie skrajnie nieodpowiedzialne, iż choćby w naszym Krakowie jeszcze przed pandemią rozpoczęła się budowa wielu nowych, szklanych, pięknych biurowców, które na stałe upiększyły nam przestrzeń miejską, przypominając, iż jesteśmy europejskim liderem w obszarze outsourcingu niedrogich zasobów ludzkich dla zachodnich korporacji.

No i teraz jak to ma być – będą te piękne biurowce stały puste i się marnowały? To by oznaczało, iż deweloperzy będą zmuszeni do stawiania kolejnych bloków wyłącznie mieszkalnych, które są – owszem – użyteczne i pomysłowo lokalizowane, ale jednak bez takiego rozmachu.

Miejmy więc nadzieję, iż chociaż jakieś kolektywy anarchistyczne, lewicowe i antyfaszystowskie będą mogły pozyskać wolno stojące, porzucone przez millennialsów biura, na swoje skłoty lub wegespółdzielnie. Tak w zasadzie byłoby to właściwe redystrybuowanie kapitału.

Lol, w ogóle jaka siara w piłkarskim świecie. Przypadkiem, nie myślcie sobie, trafiliśmy na mecz, który reprezentacja tego kraju rozgrywała przeciwko Walii w ramach, uwaga, Ligi Narodów.

Kto by to pomyślał, iż w XXI w. będą jeszcze dochodziły do głosu takie chore idee jak rozgrywki sportowe pod taką nazwą. Przecież to jest w ogóle przesada, wbrew temu, co chcielibyśmy myśleć o zjednoczonej Europie. Komu na rękę jest takie dzielenie Europejczyków na narody, budowanie tej dychotomii wygrani – przegrani? Chyba się domyślacie, kto obserwując to wszystko, zaciera ręce z zadowolenia…? ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Chodnik w KPO

Waldek, ty czytałeś w ogóle ten KPO?
Mati, no co ty? Kto by czytał ponad 200 stron, jeszcze po angielsku?

Bo chciałem zapytać, czy tam jest w końcu coś o wyrównaniu chodnika w Ostrowi Mazowieckiej, nie pamiętam ulicy.
A co tam się stało?

Oj, bo Becia Mazurek mi suszyła głowę, że tam chodnik jest nierówny i czy dałoby się to z Funduszu Odbudowy sfinansować. Lokalna patriotka. Taka była upierdliwa, że w końcu kazałem włączyć do negocjacji.
A co na to ludzie z Komisji?

Nic. Może byli trochę zdziwieni, ale powiedzieli, że nie ma problemu, jeśli się w zamian zgodzimy na ten podatek od aut spalinowych. To co miałem robić? Przecież ta by mi spokoju nie dała.
Ty, ale byłby numer, jakby się okazało, że my się zgodziliśmy na podatek, a tego chodnika nie ma w KPO. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Co się tak cieszycie ze zwycięstw Igi? Co macie z nią wspólnego? […] Nic wam nie zawdzięcza i nic ją z wami nie łączy. Poza tym, że mówicie podobnym językiem".

MAREK MIGALSKI, *polityk, były europoseł, na Twitterze o zwycięstwach polskiej tenisistki Igi Świątek*

eprasa.pl f269829617

Niektórzy ważni PiS-owcy sarkali, że jeszcze trzy dni przed konwencją PiS nie było wiadomo, gdzie się odbędzie. W Warszawie, pod Warszawą, z dala od Warszawy? A przecież ludzie chcieliby sobie jakoś zaplanować weekend, w końcu też mają zakupy do zrobienia, mają rodziny i dzieci. Odrzucamy ze wzgardą te narzekania: waszym pierwszym i najważniejszym dzieckiem jest Polska!

Przypominamy. O tym, że Donald Tusk straci stanowisko szefa Europejskiej Partii Ludowej i że zastąpi go Manfred Weber, pisaliśmy w naszej rubryce jesienią 2021 r. Dokładnie objaśniając, z jakich powodów. Wieści z jutra podajemy dziś. Wieści pozagrobowe zajmują nam nieco więcej czasu.

Ciekawa rzecz. Kiedy Tuska wybierano na szefa EPP, Manfred Weber mówił: „Jednym z zadań dla Tuska będzie zdefiniowanie na nowo, co znaczy chrześcijańska demokracja w dzisiejszych czasach". Skoro Weber musiał przedterminowo zastąpić Tuska, to się definiowanie Donaldowi raczej nie udało. Co nas specjalnie nie dziwi.

Ursula von der Leyen pożegnała Tuska słowami: „Drogi Donaldzie, jesteś uosobieniem naszych wartości". Uosobienie wartości, których nie potrafił zdefiniować? Tak, to idealne podsumowanie drogi Donalda, który nie jest już teraz ani Złym Donaldem z Brukseli, ani Złym Donaldem z Zagrzebia, tylko zwykłym Donaldem balonowym.

Grzegorz Skorpion Schetyna powitał powracającego na dobre do Polski Donalda słowami: „Wygralibyśmy wybory, gdyby na czele PO stanął Siemoniak". My też uważamy, że kiedy ktoś traci robotę, jak Donald, to najlepiej poprawić mu humor jakimś żartem. A w trudnych czasach szczególnie w cenie jest humor czarny i absurdalny.

Wracamy do sprawy Lisa. Nasze info sprzed tygodnia mówiące o tym, że przyczyną wywalenia Tomka były zbyt bliskie stosunki z kobietą, której imię rymuje się ze słowem „fregata", okazały się niepełne. Wiewiórki twierdzą, że w grę wchodzi bowiem jeszcze inna kobieta. My oczywiście nie wierzymy, gdyż jesteśmy fanami Lisa. Ale po kolei. Jakiś czas temu wydawca „Newsweeka", czyli Ringier Axel Springer Polska, zaczął szkolenia z tzw. kultury korporacyjnej. W ich ramach informowano o procedurach antydyskryminacyjnych i antymobbingowych oraz zapobiegających molestowaniu seksualnemu w pracy. Takie tam lanie wody. Ale – co za pech – wiewiórki mówią, że pewna dziewczyna potraktowała szkolenia poważnie.

Nowym naczelnym „Newsweeka" został Tomasz Sekielski. Znany m.in. z filmów dokumentalnych

dwaj panowie g

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

o tym, jak to nieobyczajnie zachowują się księża. Rozumiemy, że fuchę przyjął w ramach zbierania materiałów do nowego filmu na podobny temat, tylko rozgrywającego się w innym środowisku. Mamy nawet tytuł. Zamiast „Tylko nie mów nikomu" powinno być „Tylko nie pisz nikomu". W końcu mówimy o mediach pisanych, tzn. tfu, drukowanych.

Jeśli już jesteśmy przy kulturze korporacyjnej, to w innym korpo powoli też narasta inna aferka. I też chodzi o korpo medialne. Na zewnątrz firma prezentuje się jako gay-friendly. Jej dziennikarze pojawiają się na paradach równości, używają tęczowych przypinek i głoszą: „Miłość nie wyklucza". Miłość nie, ale firma wykluczać może. Czego ofiarą miał paść pewien miły chłopiec o orientacji nieheteronormatywnej. Określanie go mianem pewnej części od roweru to tylko część praktyk, z którymi się spotykał każdego dnia. On też uwierzył w zapewniania o praktykach równościowych i antydyskryminacyjnych. I zgłosił przełożonym, że go poniżają. I co? I nic. Facet już nie pracuje. Sprawą jednak zaczęły się interesować organizacje LGBT. Doświadczenie podpowie nam, że sprawa na tym się nie skończy.

Tymczasem na wojnie. Nasze służby mają kłopot z ruskimi. A zaczęło się to od tego, że to ruskie miały kłopot z naszymi służbami. Otóż po wydaleniu 40 z okładem „dyplomatów" Federacji Rosyjskiej Łubianka, Jeseniewo i Akwarium, czyli trzy najważniejsze rosyjskie służby, musiały uruchomić swoje zasoby przygotowane na tzw. sytuację W. Czyli wojnę. W praktyce oznacza to, że ruscy wybudzili tzw. śpiochów, czyli agenturę najgłębiej zakonspirowaną. Problem polega na tym, że owe zasoby były tak głęboko zakonspirowane (i od tak dawna), że prawie zapomniały wszystkiego, czego ich przed laty uczono. Co jest przyczyną kłopotów.

Mówiąc wprost, powyższe rozleniwienie sprawiło, że nasze służby odniosły wiele mało nagłaśnianych (z przyczyn oczywistych, sukcesów), łapiąc kilku takich wybudzonych ancymonków. Jest nam bardzo przykro, ale trzeba być wyjątkowym durakiem, sądząc, że nikt nie zwróci uwagi na gości, którzy nagle ni z tego, ni z owego zaczęli się pojawiać w okolicach najważniejszych instalacji NATO w naszym kraju.

Może od razu dodajmy, że nasze służby zwróciły też uwagę na lepiej zakonspirowaną agenturę określaną w Rosji przed laty jako perspektywiczna. To politycy kilku ugrupowań, którzy byli hodowani od maleńkości przez ruskich, a obecnie zlecono im odgrywanie pierwszych wrogów Rosji. Ma to nawet swój termin – maskirowka. W związku z tym zachęcamy do uważnego śledzenia sytuacji, naszej rubryki oraz zakupu popcornu. Albo nawet burgera marki Wujaszek Wania. ©℗

eprasa.pl f269829617

Musk kontra Gates: spór o przyszłość Zachodu

Jakub Wozinski

Trwający od lat konflikt między Elonem Muskiem a Billem Gatesem to coś więcej niż sprzeczka multimiliarderów. Ich spór, ogniskujący się wokół kwestii kluczowych dla losów wolności zachodniej cywilizacji, znów rozgorzał po zapowiedzi przejęcia przez Muska Twittera

Co za ch….e posunięcie!" – to nie komentarz internetowego hejtera, lecz słowa użyte przez najbogatszego człowieka świata wściekającego się na swojego przeciwnika. Musk i Gates wymieniali uszczypliwości co najmniej od kilku lat, ale w ostatnich tygodniach całkowicie zrezygnowali z kurtuazji. Ich konflikt przerodził się w regularną wojnę, gdyż szef Tesli ośmielił się naruszyć medialne

eprasa.pl f269829617

FOT. ALEXANDRA BEIER/GETTY IMAGES; BRITTA PEDERSEN/POOL/GETTY IMAGES

status quo zapewniające lewicy idealną formę cenzury.

Pochodzący z RPA Elon Musk od samego początku swoich oszałamiających sukcesów biznesowych lubi kreować się na swego rodzaju Prometeusza, który udostępnia szerokiemu gronu konsumentów najnowsze osiągnięcia nowoczesnych technologii. Zarezerwowane dotąd jedynie dla garstki kosmonautów loty w przestrzeń kosmiczną mają za sprawą jego SpaceX stać się usługą dostępną masowo, z biletami kosztującymi od 100 tys. do 500 tys. dol. Podczas gdy rządowa NASA największe sukcesy odnosiła w czasach konfrontacji z Sowietami, Musk chce zbudować na Marsie prawdziwe miasto wykorzystujące do swej egzystencji zasoby dostępne na Czerwonej Planecie. Równie prometejski charakter ma projekt megakonstelacji satelitów Starlink, który docelowo zapewni dostęp do Internetu szerokopasmowego w dowolnym miejscu na świecie.

KTO BOGATEMU ZABRONI

Zapewniając ludziom dostęp do najnowocześniejszych technologii, Elon Musk nie działa oczywiście charytatywnie. Obliczono, że w ciągu ostatnich 20 lat powiększył swój majątek aż 1557-krotnie, zwiększając go średnio w tempie 42 proc. rocznie. Dysponując majątkiem szacowanym na 265 mld dol., amerykański przedsiębiorca uznał niedawno, że warto wykorzystać go do realizacji kolejnego prometejskiego czynu w postaci odzyskania dla ludzi wolności słowa w Internecie. Najpierw Musk zamieścił na swoim koncie na Twitterze ankietę, pytając użytkowników, czy ich zdaniem popularny serwis respektuje zasady swobody wypowiedzi, zastrzegając, że wynik ankiety będzie miał wpływ na coś bardzo ważnego. Wynik był jednoznaczny i potwierdzał, że w powszechnym odbiorze portal z niebieskim ptakiem w logo kojarzy się z cenzurą. Niedługo potem Musk ogłosił, że za 44 mld dol. zamierza kupić pakiet kontrolny Twittera.

Decyzja ta wywołała w środowiskach lewicowych prawdziwy szok, a wielu celebrytów ogłosiło, że rozważa bojkot serwisu. Jedno z anonimowych badań wykazało nawet, że 27 proc. pracowników Twittera wprost nienawidzi swojego przyszłego pracodawcy. Najbardziej zawiedziony głośnym przejęciem okazał się jednak nie kto inny, jak Bill Gates, który rozpętał przeciwko Muskowi wojnę na kilku poziomach jednocześnie. Być może Gates nie może wciąż pogodzić się z faktem, że półtora roku temu Musk zepchnął go na trzecią pozycję w rankingu najbogatszych Amerykanów oraz że to właśnie Musk odebrał mu status największego geniusza nowych technologii. Z pewnością jednak główną rolę w okazywanej sobie przez nich od niedawna wrogości odgrywają różnice światopoglądowe i wizja tego, jak ma wyglądać przyszłość ludzkości.

Decyzja o przejęciu Twittera wywołała w środowiskach lewicowych szok. Najbardziej zawiedziony przejęciem okazał się nie kto inny, jak Bill Gates, który rozpętał przeciwko Muskowi wojnę na kilku poziomach jednocześnie

ABSOLUTYSTA WOLNOŚCI SŁOWA

Elon Musk określa siebie mianem „absolutysty wolności słowa" i właśnie ta jego cecha tak bardzo razi personel Twittera, Gatesa i całą światową lewicę. Ów absolutyzm sprowadza się zwyczajnie do tego, że zdaniem właściciela Tesli stosowane przez popularny serwis algorytmy i zasady moderacji są krzywdzące dla swobodnej dyskusji. Dopytywany w czasie niedawnej konferencji TEDx, jak będzie sobie radził z tzw. mową nienawiści, Musk stwierdził, że Twitter powinien zachować ostrożność przy blokowaniu treści „Jeśli pojawią się wątpliwości, to niech zostanie zachowana swoboda wypowiedzi" – podsumował.

Musk od samego początku zastrzegał, że nie kupuje Twittera po to, aby zarabiać pieniądze. Przejęcie kontroli nad serwisem traktuje wyłącznie jako swego rodzaju misję i wskazuje, że głównym przedmiotem jego uwagi pozostają wciąż Tesla i inne projekty (w jednym z tweetów napisał, że zakup Twittera pochłania mniej niż 5 proc. jego czasu). „Mam w sobie silne, intuicyjne poczucie, że posiadanie publicznej platformy cieszącej się maksymalnym zaufaniem i będącej bardzo inkluzywną jest niesłychanie ważne dla przyszłości cywilizacji" – powiedział we wspomnianym już

eprasa.pl f269829617

wywiadzie. Słowa te stanowią z pewnością element biznesowego marketingu multimiliardera, gdyż częścią jego pomysłu na Twittera jest wprowadzenie płatności za użytkowanie. Jednakże nawet jeśli popularny serwis stanie się płatny, to i tak można zakładać, że nie odnotuje odpływu użytkowników, gdyż dzięki nowemu właścicielowi może się stać oazą swobodnej wymiany poglądów w głównym nurcie. Twitter ma szansę stać się pierwszym portalem społecznościowym tej wielkości, który nie stara się występować w roli lewicowego politruka.

Możliwość pojawienia się tak sporej wyrwy w moderowanej przez lewicę przestrzeni wirtualnej od samego początku postawiła na nogi Billa Gatesa, który wedle raportu opublikowanego przez serwis Breitbart News miał aktywnie wspierać środowiska mające możliwości doprowadzenia Twittera do bankructwa. Tuż po ogłoszeniu przez Muska zamiaru przejęcia firmy opublikowany został list otwarty organizacji pozarządowych, które ostrzegały, że krok ten doprowadzi do „dalszego zatrucia naszego ekosystemu informacyjnego" i będzie stanowić „bezpośrednie zagrożenie dla bezpieczeństwa publicznego". Sygnatariusze wezwali wszystkich reklamodawców do bojkotu Twittera i tym samym zniszczenia biznesowych podstaw jego funkcjonowania, jeśli Musk wprowadzi na nim swobodę wypowiedzi. Zdaniem dziennikarzy Breitbart News aż 11 z 26 organizacji, które podpisały się pod listem, otrzymywało środki z Fundacji Billa i Melindy Gatesów. W niektórych przypadkach wsparcie Gatesów stanowiło wręcz główne źródło utrzymania, dlatego można zasadnie stwierdzić, że wspomniany list otwarty wyrażał tak naprawdę poglądy samego Gatesa.

GRA NA SPADEK

O tym, jak bardzo Gates nienawidzi swojego przeciwnika, świadczą kwestie finansowe. Niedawno Musk ujawnił, że Bill Gates postawił aż pół mld dolarów na spadek notowań Tesli i skonfrontował go z tym faktem publicznie. Założyciel Microsoftu potwierdził, przyznając się tym samym pośrednio do ogromnej straty, gdyż – jak policzył sam Musk – zamknięcie pozycji przy obecnym kursie akcji kosztowałoby założyciela Microsoftu nawet do 2 mld dol. Co ciekawe, tzw. shortowanie Tesli, czyli gra na spadek kursu, stało się w ostatnim czasie modnym sposobem na manifestowanie swojej dezaprobaty wobec poglądów wyrażanych przez Muska, a jedną z osób przyznających się do tego jest były prezes FED Alan Greenspan. Na razie jednak na złość wszystkim kurs Tesli nie chce spaść, nawet pomimo fatalnych dla niej wysokich cen litu, niklu czy kobaltu, przy których elektryczne auta mogą niedługo stać się towarem luksusowym.

Niedawno Elon Musk zamieścił na swoim profilu zdjęcie Billa Gatesa z wydatnym brzuchem tuż obok słynnego emotikonu przedstawiające mężczyznę w ciąży. To i inne szyderstwa pod adresem założyciela Microsoftu mogłyby tworzyć złudne wrażenie, że to Musk jest stroną agresywną i zaczepną. Jeśli jednak uwzględnimy wolę zniszczenia Twittera przez odebranie mu zysku z reklam czy też stawianie potężnych sum na spadek kursu Tesli, to realną szkodę swojemu przeciwnikowi chce wyrządzić właśnie Gates. Nie wiadomo, czy szefowi Tesli uda się odeprzeć wszystkie ataki, lecz na razie wydaje się mieć na pewno przewagę nad swoim adwersarzem w utarczkach słownych, o czym świadczy choćby ujawniony w mediach zapis wymienionych między nimi wiadomości tekstowych. Zaczepiony o grę na spadek firmy Muska Gates odpowiedział lekceważąco, że mógłby co najwyżej porozmawiać o kwestiach filantropijnych. Wówczas Musk zripostował, że nie traktuje poważnie jego deklaracji, gdyż Tesla to firma, która w kwestii walki z globalnym ociepleniem zrobiła najwięcej ze wszystkich, i nie rozumie, jak można grać na spadek jej kursu.

Profil działalności Muska sprawia, że skrajnie lewicowy establishment miał do tej pory stosunkowo niewiele okazji do tego, aby się do niego przyczepić. Musk kupił kilka lat temu producenta paneli fotowoltaicznych Solar City, a produkowane dla niego auta to najbardziej popularne pojazdy elektryczne na świecie. Projekty miliardera silnie współgrają z agendą ekologizmu i zrównoważonego rozwoju, a mimo to głoszone przez niego poglądy wykazują coraz dalej idącą rozbieżność w porównaniu z narastającym radykalizmem całej klasy właścicieli wielkich korporacji.

CENTRYSTA ZANIEPOKOJONY RADYKALIZMEM

Elona Muska trudno zaliczyć do grona osób o ściśle prawicowych czy konserwatywnych poglądach. On sam twierdzi, że jest politycznie neutralny, a prawdziwym problemem jest coraz bardziej skrajny światopogląd forsowany przez środowiska lewicowe. Uwielbiający memy miliarder zamieścił niedawno na swoim profilu grafikę ukazującą, że osoby o poglądach centrowych i konserwatywne światopoglądowo mają zawsze mniej więcej ten sam zestaw przekonań, lecz w ostatnich latach to właśnie lewica oddaliła się na tak ekstremistyczne pozycje. Musk wyśmiewa więc ratingi ESG, które nazywa wprost barometrem skrajnej lewicowości, a jakiś czas temu wywołał prawdziwą burzę, określając transgenderowe zaimki niecenzuralnym określeniem (za co skrytykowała go ostro nawet ówczesna życiowa partnerka). „Miesiąc dumy" przywitał zaś prześmiewczym memem ukazującym ruch LGBT jako niszczycielskie tornado. Ogromne słowa krytyki spadły na niego również w czasie pandemii, gdy nieustannie kwestionował mainstreamową narrację opartą na sianiu strachu.

O tym, że coraz bardziej prawoskrętny kurs Muska to bardziej efekt niespotykanej dotąd radykalizacji lewej strony sceny politycznej, świadczy najlepiej to, że jeszcze niedawno szef Tesli popierał otwarcie Barracka Obamę. Lewica w czasach Obamy była jednak pod wieloma względami dość umiarkowana w porównaniu z czasami obecnymi. Neomarksistowska rewolucja przyspieszyła w ostatnich latach tak bardzo, że Musk wyraźnie odmawia ugięcia się przed jej postulatami. Świadczy o tym chociażby to, że po wielu latach przeniósł się z demokratycznej Kalifornii do republikańskiego Teksasu. Nową siedzibę w stanie Teksas wybrał także dla Tesli, a ostatnio pojawiły się pogłoski, że do najbardziej dynamicznie rozwijającego się stanu mógłby się przenieść Twitter.

O tym, jak bardzo Bill Gates nienawidzi Elona Muska, świadczą kwestie finansowe. Niedawno Musk ujawnił, że Bill Gates postawił aż pół miliarda dolarów na spadek notowań Tesli, i skonfrontował go z tym faktem publicznie. Założyciel Microsoftu potwierdził

eprasa.pl f269829617

Jedna z podstawowych różnic dzielących Billa Gatesa i Elona Muska dotyczy kwestii populacyjnych. Podczas gdy założyciel Microsoftu od wielu lat sponsorował programy ograniczające wzrost liczby ludności na świecie, prezes Tesli od dłuższego czasu bije na alarm, że za 20 lat największym problemem całego globu będzie niedobór ludności. Musk głosi przekonania, które idą całkowicie pod prąd głównego nurtu, krytykując fakt, że większość ludzi, których zna, posiada jedno dziecko lub nie ma ich wcale. On sam jest ojcem aż ośmiorga, choć z trzech różnych związków (w tym jedno z dzieci zostało urodzone przez matkę surogatkę). Zdaniem Muska media głównego nurtu przekazują oczywiste kłamstwa na temat przeludnienia, a brak wystarczającej liczby osób do pracy może stanowić poważną barierę rozwojową dla całej ludzkości. Perspektywy Gatesa, który był uwikłany w kontakty z pedofilem Jeffreyem Epsteinem, są zupełnie inne. Jego fundacja wspiera finansowo m.in. prace nad opracowaniem nowych, tańszych środków antykoncepcyjnych, a ostatnio wyrażała ubolewanie nad tym, że pandemia, ograniczając dostęp do antykoncepcji w biednych krajach, doprowadziła do ok. 1,4 mln niezamierzonych ciąż. Całkowicie odmienne podejście do kwestii populacyjnych obu biznesmenów to coś więcej niż zwykła rozbieżność w poglądach. W pronatalistycznej postawie Muska odbija się właściwy mu optymizm i przekonanie, że ludzkość może żyć szczęśliwie oraz cieszyć się wolnością; antynatalizm Gatesa przekłada się zaś nieustannie na to, że snuje kolejne wizje nadchodzącej katastrofy, przed którą ludzkość może się uchronić, jedynie poddając się mechanizmom odgórnej kontroli.

Gates marzy o zniewoleniu całego świata za pomocą skoordynowanego globalnie systemu wprowadzania lockdownów, obowiązkowych szczepień, cenzury Internetu i powszechnej inwigilacji

DWAJ WIZJONERZY

Jeżeli obu multimiliarderów cokolwiek łączy, to z pewnością zamiłowanie do tworzenia nieustannych wizji dla całej ludzkości. Ich wizjonerstwo różni się jednak diametralnie, ponieważ o ile Gates marzy o zniewoleniu całego świata za pomocą skoordynowanego globalnie systemu wprowadzania lockdownów, obowiązkowych szczepień, cenzury Internetu i powszechnej inwigilacji, o tyle Musk chciałby rozwijać nowe technologie na użytek milionów konsumentów, a w nagrodę za wysokiej jakości produkt świetnie na tym zarabiać. Społeczeństwo przyszłości Muska jest z pewnością odległe od ideałów prawicowo-konserwatywnych, lecz w zestawieniu z dystopijną wizją Gatesa, w której pod pozorem walki z globalnym ociepleniem i pandemiami postuluje się wprowadzenie cyfrowego totalitaryzmu, przedstawia się ono wręcz jako kraina szczęśliwości.

Źródeł tak wielkich różnic w wizjach tworzonych przez obu miliarderów można się do pewnego stopnia doszukiwać w sposobie, w jaki zgromadzili tak wielką fortunę. Bill Gates od samego początku nie stronił od zagrań poniżej pasa, a jego model biznesowy polegał głównie na zapewnieniu sobie za pomocą podstępu oraz zapisów prawnych odpowiednich przywilejów i wyłączności dla dystrybucji jego flagowego systemu operacyjnego. W odróżnieniu od niego Elon Musk to biznesmen wizjoner, który, mimo że wiele zawdzięcza bogatym rodzicom, stawiał zawsze na dostarczanie ludziom jak najbardziej doskonałych i nowoczesnych produktów. Windows był od zawsze smutną koniecznością dla niemal wszystkich użytkowników komputerów; pojazdy Tesli to przedmiot aspiracji i symbol prestiżu.

W sporze multimiliarderów Elon Musk reprezentuje sobą amerykański mit o wolności i możliwości wejścia na sam szczyt dzięki własnej pomysłowości i ciężkiej pracy. Ten mit i związany z nim etos korporacyjna elita amerykańska chce w ostatnich latach zniszczyć za pomocą transgenderowej rewolucji, ratingów ESG, cenzury mediów i polityki inkluzywności. Elon Musk ma w rzeczywistości przeciwko sobie nie tylko Billa Gatesa, lecz także całą klasę miliarderów.

BIZNESMEN, KTÓREGO NIE DA SIĘ ANULOWAĆ

Na pozór starcie to wydaje się dla Muska z góry przegrane, gdyż możliwy bojkot reklamodawców może momentalnie doprowadzić nawet do upadku całego Twittera. Szef Tesli jest jednak amerykańskiemu establishmentowi niezwykle potrzebny, gdyż jego osiągnięcia mają ogromne znaczenie w kontekście technologicznej rywalizacji z Chinami. Elon Musk to prawdziwy geniusz, a jego kolejne pomysły mają istotny wkład w rozwój całej gospodarki. Koledzy miliarderzy muszą go więc tolerować choćby dlatego, że od jego inwencji zależy także ich własna przyszłość. Mark Zuckerberg umiał znaleźć się we właściwym miejscu o właściwym czasie, Jeff Bezos stworzyć wielką machinę sprzedaży – ale to Elon Musk ma rzeczywiście największy talent, którego zazdroszczą mu inni.

Pewną namiastkę świata, z jakim Musk zetknął się w ostatnim czasie w biurowcach Twittera, dają ujawnione przez Project Veritas nagrane potajemnie rozmowy z pracownikami firmy. Jeden z nich stwierdza otwarcie, że Twitter cenzuruje prawicę, i przyznaje, że pracownicy są „komuszkami". Drugi zaś przekonuje, że on i jego koledzy „wierzą w coś, co jest dobre dla planety, a nie w to, żeby dawać ludziom wolność wypowiedzi". W jego wypowiedzi znalazła się też złośliwa uwaga wobec Muska i jego zespołu Aspergera.

W opublikowanych rozmowach znalazła się także sugestia, że Twitter nie wykazuje obecnie zysków właśnie dlatego, że wyżej stawia sobie ideologiczną misję anulowania i cenzurowania prawicowego światopoglądu. Trudno stwierdzić, czy to prawda, lecz czyszcząc lewicową stajnię Augiasza, Elon Musk ma szansę nie tylko odzyskać dla ludzi część wolności słowa, lecz także przy okazji świetnie na tym zarobić. Kto wie, czy ewentualny komercyjny sukces tego głośnego przejęcia nie zachęci kiedyś Muska do kolejnych kontrowersyjnych z punktu widzenia lewicy zakupów w dziale „media społecznościowe"? Gdyby tak się miało kiedyś stać, przeciwko szefowi Tesli wytoczono by z pewnością większe działa. Najpierw czeka go jednak trudna batalia o przejęcie sterów nad Twitterem, która jest w istocie jedną z ważniejszych batalii naszych czasów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f269829617

Jedna lista, czyli temat ucieczkowy

Piotr Semka

Tusk wciąż nie potrafi zrozumieć, że w oczach coraz większej grupy młodych Polaków jawi się jako postać z minionej, niezbyt sympatycznej epoki. A ponieważ lider PO nie ma zbyt wielu atutów, to w kółko przypomina wszystkim, że jako szef największej partii opozycyjnej musi być liderem

Z funkcją szefa Europejskiej Partii Ludowej Donald Tusk pożegnał się 31 maja na kongresie EPP w Rotterdamie. Wybory jego następcy nie były specjalnie emocjonujące – wszystko ustalono w kuluarach przed rozpoczęciem zjazdu. Manfreda Webera wybrało 89 proc. delegatów na zjazd. Żegnając się ze stanowiskiem, Tusk złożył tajemniczo brzmiącą zapowiedź. Obiecał „powrót w nowej roli, gdy tylko wygra wybory w Polsce". Jaką to nową rolę miał na myśli? Premiera czy patrona koalicji? Tusk wyraźnie nie chciał stawiać żadnej kropki nad i, ale ta wypowiedź pokazuje, że jego ambicje sytuują się na bardzo wysokim poziomie.

Nic dziwnego, że w tej sytuacji Donald Tusk od półtora miesiąca lansuje w Polsce hasło jednej listy opozycyjnej. Tusk, argumentując zasadność tej decyzji, powołał się na sondaż – jak to powiedział – „renomowanej agencji IBRiS", by udowodnić, że połączona lista opozycji otrzymałaby 50 proc. w porównaniu z 30 proc. dla PiS. Konkurenci z opozycji natychmiast wytknęli mu, że sondaż IBRiS założył przynajmniej 88-procentową frekwencję, na którą w Polsce nie ma żadnych szans.

Mimo to lider PO na wszystkich swoich, ostatnio częstych, spotkaniach w terenie wraca z uporem do tematu jednej listy. Tuska wspiera w tym dziele wiele wpływowych mediów. Na czele jest oczywiście „Gazeta Wyborcza", która entuzjastycznie forsuje hasło jednej listy. Wśród publicystów dominuje tonacja: „Przede wszystkim odsunąć PiS od władzy, a potem się zobaczy".

Co więcej, Agnieszka Kublik, komentatorka „Wyborczej", chętnie przejęła rolę politycznego zagończyka, który rozlicza liderów opozycji ze zbyt mało entuzjastycznego stosunku do idei Tuska. W specjalnym komentarzu zadała pytanie: „A może Hołownia wcale nie chce w najbliższych wyborach znaleźć się w obozie władzy?". Jak wskazuje Kublik, kolejna kadencja przebiegać będzie w cieniu wyjątkowo trudnych wyzwań: wojny na Ukrainie, inflacji i ewentualnych nawrotów pandemii. W tej sytuacji, według Kublik, Hołownia może chcieć wzmacniać swoją partię, ale bez wyniszczającego udziału we władzy. I – jak sugeruje kąśliwie publicystka „GW" – poczekać, aż coraz starszy Tusk wycofa się z polityki i zostawi pole dla młodszego Hołowni.

Do niedawna mocnym sojusznikiem idei jednej listy był Tomasz Lis. Ten już w styczniu tego roku pisał: „Projekt (listy) zjednoczonej opozycji jest w realizacji wybitnie trudny. Ale łatwych już nie ma i nie będzie. Wszystkie łatwe, a w każdym razie łatwiejsze (opcje) jako naród sami zrzuciliśmy ze stołu albo zniszczyliśmy. Dwa razy władzę dając PiS i nie protestując z odpowiednią siłą przeciw niszczeniu państwa prawa i jego bezpieczników. Swatanie to trudna sztuka. Gdy pojawia się miłość od pierwszego wejrzenia, swat jest niepotrzebny. Ale gdy jej nie ma, to on musi często wziąć na siebie zadanie znalezienia pasujących do siebie połówek". Tomasz Lis wyraźnie sugerował, że tym swatem musi być Donald Tusk jako lider opozycji.

Jednak politycy PSL, partii Hołowni czy Lewicy trafnie wskazują, że polityka Tuska jest z ich punktu widzenia dosyć perfidna. Niegdysiejszy „król Europy" bez końca powtarza wezwania do wspólnej listy, a jednocześnie nie jest zbyt aktywny w zakulisowych rozmowach mogących prowadzić do poważnych ustaleń. Jedyny raz Tusk wystąpił w towarzystwie innych liderów opozycji na konferencji 25 maja przy okazji podpisania deklaracji samorządowców z ruchu TAK! Dla Polski. Tusk

eprasa.pl f269829617

FOT. ADAM CHELSTOWSKI/FORUM

nie wyglądał na specjalnie szczęśliwego, że musi siedzieć na równych zasadach obok Szymona Hołowni, Włodzimierza Czarzastego i Władysława Kosianiaka-Kamysza. Szefów innych partii opozycyjnych irytowała z kolei sytuacja, w której przy stole prezydialnym było trzech liderów opozycji i tyle samo polityków Platformy Obywatelskiej. Tyle że członek Platformy, prezydent Sopotu Jacek Karnowski, zasiadał przy zielonym suknie jako prezes ruchu TAK! Dla Polski, a Rafał Trzaskowski, wiceprzewodniczący PO, był w prezydium jako szef rady politycznej ruchu samorządowców.

KŁOPOTLIWY LIDER

Andrzej Stankiewicz, publicysta, którego trudno posądzać o specjalną niechęć do Platformy Obywatelskiej, dość trzeźwo wskazuje: „Przywództwa Donalda Tuska w obozie opozycji chcą tylko Donald Tusk i jego ścisły dwór". Nie zmienia to faktu, że Donald Tusk powtarza to na każdej swojej konferencji i jest to przekaz skierowany do sondażowych 25 proc. jego twardych zwolenników i wyznawców.

Tusk w ten sposób zabezpiecza się przed coraz bardziej naturalnym postulatem rozliczenia go z efektów przejęcia przez niego władzy w PO 3 lipca 2021 r. Przez te 10 miesięcy jedyne, czego dokonał, to wyciągnięcie swojej partii z sondażowego dołka na poziomie 17 proc. do poziomu ok. 25 proc.

To dosyć skromny wynik jak na nadzieje, jakie wiązano z jego powrotem z Brukseli. Triumf Tuska miał być błyskotliwy i uderzający. W imię tego założenia usprawiedliwiano jego wręcz dyktatorskie przejęcie pełnej władzy nad partią. Tyle że pełna władza to także pełna odpowiedzialność. A Rafał Trzaskowski, mimo że nie znalazł w sobie tyle siły, by rzucić wyzwanie Tuskowi w głosowaniu na szefa PO, nadal zachował status alternatywnego lidera partii. Już niedługo to wrażenie wzmocni kolejny Campus Polska, który organizuje prezydent Warszawy.

Na dodatek Tusk musi zmagać się jeszcze z wyzwaniami w szeregach PO. Oto były prezydent Bronisław Komorowski bardzo zdecydowanie odrzuca ideę jednej listy. Jak argumentuje, musi być jakaś oferta dla tych wyborców PiS, którzy rozczarowani są jakością rządzenia Jarosława Kaczyńskiego, a nie chcą tracić z oczu wartości konserwatywnych. Poważny kłopot widzą też liderzy innych partii opozycyjnych w wizerunku Tuska jako polityka odpowiedzialnego za zbiednienie Polaków w latach 1997–2014. Szymon Hołownia zapytany w programie „Kropka nad i", czy chce Tuska jako przyszłego premiera, odpowiedział: „Musielibyśmy się nad tym poważnie zastanowić, jakie będą koszta społeczne. Myślę, że mogą być poważne". Podobne doświadczenia ma PSL Władysława Kosiniaka-Kamysza. Lider ludowców nie jest w stanie zapomnieć, że kiedyś Tusk wcisnął mu „brudną robotę" w postaci realizowania reformy emerytalnej. Zmian, które starsze pokolenie Polaków wspomina dzisiaj jako dowód na bezwzględność i brutalność niegdysiejszego lidera kongresu liberałów.

Problem dla Tuska leży w tym, że najwygodniejszy dla niego byłby schemat, w którym Platforma startowałaby w jednym bloku z PSL i ruchem Hołowni – pozostawiając lewicy osobny start. Tylko że akurat Hołownia i Kosiniak-Kamysz bardziej skłonni są startować ze sobą niż wspólnie z Tuskiem. Wyraźnie widać też pokoleniową niechęć Hołowni do wiązania się ze starzejącym się (65 lat) i obciążonym polityczną hipoteką z przeszłości liderem PO. Z Tuskiem ewentualnie gotowy byłby iść do jednego bloku Włodzimierz Czarzasty, ale akurat tego polityka lider PO wyjątkowo nie trawi. Wszystko więc wskazuje na to, że pojawić się mogą trzy bloki – Platforma, Hołownia z PSL i tzw. Koalicją Polską oraz idąca osobno Lewica. Tyle że takie rozbicie w myśl ordynacji D'Hondta sprzyjać będzie PiS. Tak źle i tak niedobrze.

CHÓR RADZĄCYCH WUJÓW

Tusk w swojej walce o przeforsowanie jednej listy może pokładać nadzieję w perswazyjnej sile liberalnych mediów. One mają bardzo prosty postulat. Nie dopuścić do trzeciej kadencji PiS za wszelką cenę. Jacka Żakowskiego, Marka Beylina czy Piotra Pacewicza tak naprawdę nie obchodzi to, jaki będzie program nowego bloku, wymaga od niego tylko odsunięcia Jarosława Kaczyńskiego od władzy. Tusk może też liczyć na nacisk ze strony Europejskiej Partii Ludowej, do której należy też PSL (Hołownia należy do liberalnej międzynarodówki Emmanuela Macrona). Tyle że tacy politycy jak Hołownia stawiają wyżej swoje interesy niż rady rozmaitych wysłanników z Brukseli, Berlina czy Paryża. Niegdysiejszy gwiazdor TVN bardzo wyraźnie stawia kwestie swej kandydatury w wyborach prezydenckich w 2025 r. A trudno mu będzie prezentować się jako ktoś spoza układów, niezużyty sprawowaniem władzy, jeśli wejdzie do koalicji pod wodzą hipotetycznego przyszłego premiera Donalda Tuska już przed wyborami do Sejmu.

O wiele wygodniejszy byłby ewentualny podział – Trzaskowski na premiera, Hołownia na prezydenta. Tylko że to wymagałoby od Trzaskowskiego rzucenia prywatnego wyzwania Tuskowi. A na to się na razie nie zanosi.

Tusk wciąż nie potrafi zrozumieć, że w oczach coraz większej grupy młodych Polaków jawi się jako postać z minionej, niezbyt sympatycznej epoki. A ponieważ lider PO nie ma zbyt wielu atutów, to w kółko przypomina wszystkim, że jako szef największej partii opozycyjnej musi być liderem. Ale nawet w tej kwestii bywa niekonsekwentny. W programie „Kropka nad i" Monika Olejnik zadała mu celne pytanie: „Liderem wspólnej listy opozycji musi być jakiś lider? Pan?". Zanim Tusk odpowiedział, minęło zaskakująco dużo sekund. Gdy wreszcie zabrał głos, wyjaśnił: „Kwestie personalne wydają mi się infantylne w sytuacji, gdy stawka jest tak wysoka. Jeszcze raz powtarzam, moja oferta szefa partii wyraźnie największej, żeby połączyć siły, jest ofertą bardzo uczciwą. Jest ofertą, która wymaga poświęcenia ze strony ludzi, którzy budują Koalicję Obywatelską".

Jak widać, polityk z Gdańska nadal uważa, że robi innym partiom opozycji wielką łaskę, proponując im start w wyborach pod swoim przewodnictwem. Ciekawe, kiedy wielki Donald spuści z tonu?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f269829617

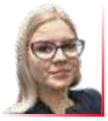

Zuzanna Dąbrowska

Negocjator kompromisu

Waldemar Buda, minister rozwoju i technologii

FOT. MINISTERSTWO ROZWOJU I TECHNOLOGII

Był jednym z negocjatorów Krajowego Planu Odbudowy, a niedawno jego nazwisko pojawiło się na giełdzie „kandydatów na kandydatów" PiS w wyborach prezydenckich. Czy Waldemar Buda ma szansę zostać jedną z silniejszych postaci obozu władzy?

W tym roku z części pożyczkowej i grantowej otrzymamy ponad 4 mld euro […]. Końcówka sierpnia, początek września pojawiłby się pierwszy przelew z Brukseli – zapowiedział minister rozwoju Waldemar Buda w ubiegłym tygodniu. Kolejne decyzje zapadły kilka dni później – najpierw w środę kolegium unijnych komisarzy zatwierdziło Krajowy Plan Odbudowy, a następnie w czwartek do Polski przyjechała Ursula von der Leyen.

To bezsprzecznie najważniejsze wydarzenia minionego tygodnia. Po ponad roku oczekiwania, zwrotów akcji i przedwczesnego ogłaszania sukcesu w końcu mamy konkret: KE pozytywnie oceniła KPO (z zastrzeżeniem, że płatności będą uruchomione po wypełnieniu tzw. kamieni milowych, czyli pewnych zadań realizowanych przez Polskę). W żmudne negocjacje zaangażowano cały zespół ludzi. Jednym z głównym negocjatorów był Waldemar Buda – najpierw jako wiceminister funduszy i polityki regionalnej, później jako szef resortu rozwoju.

CZTERDZIESTOLATEK

Jak na standardy polskiej polityki Buda jest młody – w tym roku kończy 40 lat. Urodził się w Turku w Łódzkiem. Z wykształcenia jest radcą prawnym, ukończył Uniwersytet Łódzki. I to właśnie z Łodzią był związany na początku swojej działalności. Od roku 2014 był miejskim radnym.

Pierwsze szlify w PiS zdobywał u boku Janusza Wojciechowskiego (wówczas europosła PiS, dziś unijnego komisarza ds. rolnictwa). Rok później Budzie udało się wejść do Sejmu. Sukces powtórzył w kolejnych wyborach parlamentarnych. Pasmo wygranych przerwała przegrana w wyborach samorządowych 2018 r., gdy ubiegał się o fotel prezydenta Łodzi. Jego kandydaturę przedstawił sam Jarosław Kaczyński, jednak to nie pomogło – Waldemar Buda przegrał z łódzką „wyjadaczką" Hanną Zdanowską. Zdaniem dr. Sergiusza Trzeciaka w przypadku młodego i niezbyt rozpoznawalnego polityka nie należy traktować tego jako poważnej porażki. – Odmówienie startu w wyborach bardziej osłabia pozycję w partii, niż ją wzmacnia. Jeżeli kierownictwo skierowało polityka na dany odcinek i postawiło zadanie uzyskania jak najlepszego wyniku, nawet jeżeli przegra, to niewystartowanie jest strzałem w kolano – tłumaczy „Do Rzeczy" ekspert ds. marketingu politycznego i prezes fundacji Polski Instytut Liderów.

– Waldemar Buda jest uważany za człowieka Mateusza Morawieckiego. Premier stawia na niego od dłuższego czasu i dba, aby był w rządzie – wskazuje eurodeputowany PiS Ryszard Czarnecki.

Ministerialna podróż Budy zaczęła się w 2019 r. od Ministerstwa Inwestycji i Rozwoju, w którym był wiceministrem.

eprasa.pl f269829617

Później przeszedł do resortu funduszy i polityki regionalnej, aby w kwietniu tego roku objąć tekę szefa Ministerstwa Rozwoju i Technologii. – Jeśli PiS dalej będzie rządzić, to ktoś taki jak Waldemar Buda będzie zapewne kandydatem do istotnych funkcji ministerialnych – uważa prof. Rafał Chwedoruk politolog z Uniwersytetu Warszawskiego. – PiS może szczególnie zależeć po pierwsze – na legitymizacji technokratycznej, czyli pokazaniu polityków mających przymioty urzędnicze, zdolnych do ponoszenia odpowiedzialności, czego symbolem jest premier Morawiecki; po drugie – na legitymizacji międzynarodowej, biorąc pod uwagę to, że siła PiS w polityce krajowej jest niewspółmierna do jej słabości na arenie międzynarodowej. Wszelkie sukcesy na tej niwie wzmacniają partię.

– Nie jest typem karierowicza, a raczej człowieka spokojnie, choć uparcie dążącego do celu. Wydają się to potwierdzać jego wizerunek i medialny styl bycia – słyszymy od jednego z kolegów Budy z ław poselskich. Nie jest postrzegany jako „fighter", który lubi wdawać się w pyskówki z dziennikarzami czy politykami opozycji. Pracuje raczej na wizerunek osoby stonowanej i wyważonej, choć niekiedy bywa uszczypliwy. – Lubię Rafała Trzaskowskiego. Jedzie do USA, prosi, żeby nie przekazywać pieniędzy dla rządu, nikt go tam nie słucha, słyszałem nawet, że się z niego śmieją. To samo z Ursulą von der Leyen. Rafała tak się odbiera na świecie. Nic z jego wizyt nie wynika i są mało efektywne – tak Buda komentował głośną wypowiedź prezydenta Warszawy na temat rozmów z szefową KE w kontekście dodatkowych warunków wypłaty środków z KPO. W jego wystąpieniach publicznych trudno jednak znaleźć ostrzejsze tony.

Czy taki brak wyrazistości nie jest przeszkodą w karierze politycznej? To zależy, jakie minister rozwoju ma ambicje i plany. Mimo licznych prób nie udało się nam skontaktować z Waldemarem Budą, aby porozmawiać i zapytać, czy postrzega sam siebie jako polityczną nadzieję obozu władzy.

PRZEPOWIEDNIE W SONDAŻACH?

Uwagę mediów skupiają wokół Budy kolejne sondaże. Najpierw w badaniu przeprowadzonym przez IBRiS na zlecenie Radia Zet jego nazwisko zostało ujęte w zestawieniu możliwych kandydatów PiS w kolejnych wyborach prezydenckich. Co prawda, Buda, podobnie jak Mariusz Błaszczak, Mariusz Kamiński, Ryszard Terlecki i Marlena Maląg, nie uzyskał poparcia respondentów, ale jego nagłe pojawienie się w takim kontekście wzbudziło zainteresowanie.

Oliwy do ognia dolał „Super Express", który podał, że prezes PiS coraz poważniej rozważa postawienie w wyścigu prezydenckim właśnie na młodego ministra rozwoju. – Teraz ma 40 lat, więc w 2025 r. będzie miał 43, czyli tyle, ile Duda miał, kiedy wygrał wybory prezydenckie – wskazał informator „SE". W kolejnym sondażu, opublikowanym pod koniec maja przez tabloid, Buda po raz pierwszy znalazł się wśród potencjalnych kandydatów PiS na prezydenta. Tym razem z czteroprocentowym poparciem, co uplasowało go przed Joachimem Brudzińskim i Jackiem Sasinem.

– Polityk politykowi nierówny. Na przykład dla Mateusza Morawieckiego pojawienie się na takiej prezydenckiej giełdzie nazwisk może być dodatkowym obciążeniem, biorąc pod uwagę skalę wyzwań i to, że przez część prawicy nigdy nie był do końca traktowany jako „swój człowiek". Ale dla kogoś, kto dla większości opinii publicznej, nawet tej prawicowej, jest anonimowy, jest to forma wielkiego awansu. To też ułatwienie dalszej kariery – mówi prof. Rafał Chwedoruk.

ROZBUDOWA „NAMIOTU" WŁADZY

Politolog z UW wskazuje, że Jarosław Kaczyński może nie tyle chcieć stawiać na Budę w kontekście prezydenckim, ile inwestować w niego ze względu na teren, z którego pochodzi. – Województwo łódzkie, gdyby zastosować kategorie amerykańskie, jest jednym ze swing states polskiej polityki, sygnalizującym to, co może się dziać w kraju. Poza aglomeracją łódzką w ostatnich kilkunastu latach PiS mocno zyskał na tym terenie. Z tych powodów lansowanie polityków z regionu ma większy polityczny sens niż promowanie działaczy z miejsc, w których wiadomo w większym stopniu, jak rozłożą się głosy – wyjaśnia ekspert.

Europoseł Ryszard Czarnecki zauważa, że prezes PiS chce rozbudowywać „namiot" obozu rządzącego i dlatego lubi stawiać na nowe, niezgrane twarze. – Prezes jest człowiekiem mądrym. A ta mądrość polega na tym, że stara się poszerzać formułę PiS. Jarosław Kaczyński nie boi się podejmowania ryzyka personalnego – wskazuje Czarnecki. Podejmowanie ryzyka nie zawsze kończyło się dla PiS sukcesem – wspomnieć można choćby Kazimierza Marcinkiewicza. Waldemar Buda wydaje się jednak człowiekiem o zupełnie innym charakterze i lepszym wyczuciu.

– Piastował i piastuje funkcje, które mogły mu pomóc zbudować sojusze, kontakty z samorządami, relacje z biznesem – wskazuje z kolei dr Sergiusz Trzeciak. – Resort funduszy czy rozwoju nie jest „gorącym fotelem" ministra zdrowia, gdzie wszystkich ma się przeciwko sobie i wciąż się jest pod ostrzałem. W tych ministerstwach, przez które przeszedł, można się dobrze zaprezentować i pokazać się jako „dobry wujek", który rozdaje pieniądze na konkretne projekty. O ile np. resort finansów jest postrzegany jako ten zły, który zabiera pieniądze w formie podatków, o tyle resorty związane z inwestycjami i rozwojem kojarzą się z przyznawaniem środków i wsparciem dla biznesu – dodaje.

W mediach społecznościowych Buda nie pokazuje zbyt wiele swojej prywatności. Ma żonę i dwoje dzieci. Tym, czym lubi się chwalić, jest pasja do biegania. Organizuje Biegową Pielgrzymkę Charytatywną do Częstochowy i chętnie włącza się w różne biegowe akcje pomocowe. – Bieganie, w przeciwieństwie do takich dyscyplin jak golf czy nawet tenis, to sport egalitarny, niebudujący barier. Biegać każdy może, a nie każdego stać, aby posyłać dziecko na lekcje tenisa lub grać w golfa. Ponadto jest to sport popularny – mówi dr Trzeciak. – Lubimy głosować na osoby, które mają energię, są aktywne. Politycy coraz częściej pokazują inną, nie tylko polityczną twarz. Można wywołać skandal, ale to może być samobójstwo, bo polityka to nie show-biznes. Pokazywanie się np. podczas gotowania obiadu z dziećmi w domu może być z kolei postrzegane jako tzw. ustawki. Sport jest kompromisem, bo pokazuje, co robimy w wolnym czasie, i ukazuje niepolityczną stronę osobowości.

Polityczna przyszłość obecnego ministra rozwoju zależy nie tylko od niego samego. Istotnym czynnikiem będzie rozkład sił w obozie władzy. Waldemar Buda buduje swoją pozycję przy premierze, który mimo licznych kryzysów obecnie pozostaje niezachwiany. I wydaje się, że jest jedynym w tej chwili realnym spadkobiercą po Jarosławie Kaczyńskim.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f269829617

Uciszyć lekarzy

FOT. ADOBE STOCK

Jan Pospieszalski

Nie dziennikarze, redaktorzy, pisarze, ale lekarze znaleźli się dziś na pierwszej linii walki o wolność słowa. Wkrótce zaczną stawać przed sądami lekarskimi

Zakończyły się postępowania przed izbami lekarskimi wobec 116 medyków, którzy odważyli się mieć inne zdanie na temat polityki zdrowotnej dotyczącej COVID-19. Należy się spodziewać, że wszyscy dostaną wezwania do stawienia się w sądach lekarskich. Zarzuty wobec nich nie odnoszą się do błędów medycznych czy szkód wyrządzonych pacjentom (bo przecież żadnych zgłoszeń nie było), ale dotyczą formułowanych opinii. Dlatego rozstrzygnięcia w tych procesach (gdzie stawką jest utrata uprawnień zawodowych) nie tylko będą kwestią branży medycznej, lecz także dotyczą nas wszystkich.

Zakaz wypowiadania się w sprawach fundamentalnej wagi, jaką jest zdrowie Polaków, zmuszenie do milczenia lub powtarzania tylko tych opinii, które prezentują władze izb lekarskich, jest pogwałceniem wolności słowa. Pikanterii dodaje to, że życie pozytywnie zweryfikowało większość twierdzeń uznawanych uporczywie przez NIL za „nienaukowe" czy „promujące postawy antyzdrowotne". Zatem nie chodzi tylko o nasze zdrowie, ale o swobodę uczestnictwa w debacie publicznej.

STAWKA JEST WYSOKA

Sprawa jest ważna dla nas nie tylko jako pacjentów, lecz także jako obywateli demokratycznego państwa prawa. Od tego, jak zareagujemy na szykany wobec medyków, może zależeć bardzo wiele. Coraz więcej przesłanek świadczy o tym, że może nam grozić powtórka jakiejś kolejnej „pandemii". Mówił o tym otwarcie w Davos Bill Gates. WHO przygotowuje narzędzia do globalnego zarządzania „zdrowiem". Ponadto obecna w Davos australijska komisarz ds. bezpieczeństwa elektronicznego – Julie Inman Grant – uznała, że za dużo wolności i indywidualizmu jest w sieci, i wzywa globalnych regulatorów do „przekalibrowania"

eprasa.pl f269829617

zakresu praw człowieka dotyczących używania Internetu. Wobec coraz potężniejszych mechanizmów kontroli, wobec międzynarodowych porozumień, które tworzą sprzysiężenia do walki z rzekomymi fake newsami, właśnie medycy są tymi, którzy bronią dziś wartości demokratycznych i wolności wypowiedzi.

OBOWIĄZEK NOWORODKA

Szykanowanie lekarzy nie z tytułu popełnianych błędów medycznych czy szkód, jakie odnieśli pacjenci, ale ze względu na wypowiedzi i wygłaszane opinie nie jest historią, która zaczęła się po ogłoszenia pandemii.

W 2016 r., gdy poseł Patryk Jaki zorganizował spotkanie dla rodziców dzieci poszkodowanych wskutek szczepień, i potem, gdy z inicjatywy posłów Kukiz'15 powstał parlamentarny zespół zajmujący się tym tematem, jako przedstawicieli strony społecznej zaproszono dr Katarzynę Bross-Walderdorff i dr Dorotę Sienkiewicz. Fakt powołania takiego zespołu i udział w nim lekarzy został zignorowany i przemilczany, by nagle, w kampanii wyborczej w 2018 r., gdy Patryk Jaki ubiegał się o prezydenturę

Zakaz wypowiadania się w sprawach fundamentalnej wagi, jaką jest zdrowie Polaków, jest pogwałceniem wolności słowa

Warszawy, media wyciągnęły mu, że kandydat na prezydenta stolicy zadaje się z ruchem antyszczepionkowym, publicznie mówi o dyskryminacji polskich rodziców wobec niemieckich (którzy sami mogą decydować o szczepieniach dzieci) oraz że popiera nienaukowe poglądy. Obie lekarki zostały wezwane przez Rzecznika Odpowiedzialności Zawodowej Naczelnej Izby Lekarskiej.

SPRAWA DR BROSS-WALDERDORFF

Katarzynie Bross-Walderdorff jako niedopuszczalne poczytano to, że ostrzegała rodziców przed szczepieniem noworodków w pierwszej dobie życia, że ośmieliła się skrytykować praktykę szczepienia wcześniaków i dzieci z niską punktacją Apgar, że zwróciła uwagą na lekceważenie powikłań występujących po pierwszych szczepieniach dzieci i aplikowanie takim noworodkom kolejnych dawek, a także że wspomniała o powszechnej praktyce ignorowania niepożądanych odczynów i niezgłaszaniu takich przypadków. Bross-Walderdorff postulowała, by część bardzo rozbudowanego u nas kalendarza szczepień pozostała, tak jak w Niemczech, dobrowolna.

Zostało to potraktowane jako promowanie postaw antyzdrowotnych (czyli groźna herezja) i uruchomiono postępowanie dyscyplinarne. Ponieważ wyciągnięto przy okazji to, że pani doktor zajmuje się także homeopatią klasyczną (uznawaną od kilku lat przez Naczelną Izbę Lekarską za terapię nielegalną), rzecznik odpowiedzialności zawodowej wnioskował o postawienie pani doktor przed sądem lekarskim. Sprawa przez kilka lat toczyła się przed różnymi instancjami, gdzie dochodziło do wielu (skandalicznych – zdaniem mecenasa Arkadiusza Teteli, obrońcy pani doktor) naruszeń procedur. Proces zakończył się – już po ogłoszeniu pandemii – odebraniem

REKLAMA

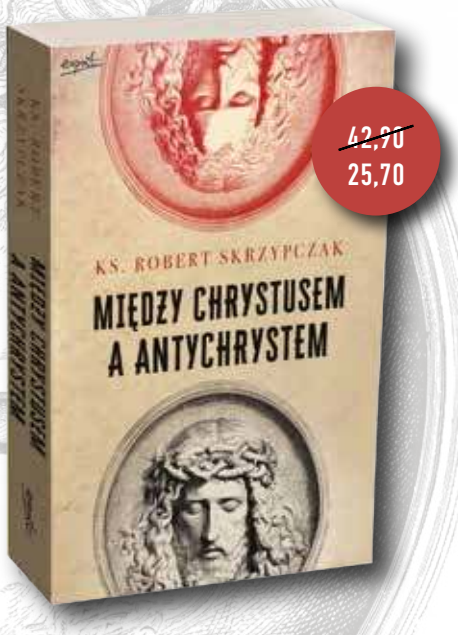

~~42,90~~
25,70

esprit

CZY ANTYCHRYST JEST JUŻ WŚRÓD NAS?

Ksiądz Robert Skrzypczak to jeden z najwybitniejszych chrześcijańskich apologetów w Polsce na początku XXI wieku. Jego książka „Między Chrystusem a Antychrystem" pozwala nam lepiej odczytywać znaki czasów i dokonywać duchowego *rozeznania otaczającej nas rzeczywistości.*

GRZEGORZ GÓRNY
dziennikarz, publicysta, pisarz

odbierz dodatkowy rabat* na hasło: DO RZECZY -5%

*promocja ważna do 30 czerwca 2022 roku

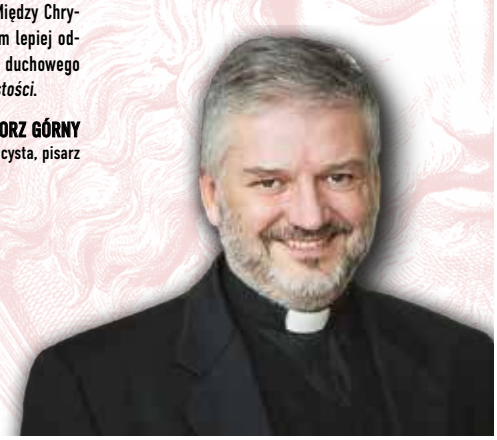

Zapisz się do Katalogu Dobrych Książek i otrzymuj specjalne gratisy!
Zamów książkę na esprit.com.pl lub pod numerem telefonu 12 267 05 69.

Darmowa dostawa od 99 zł.

eprasa.pl f269829617

uprawnień na rok. Pani Katarzyna złożyła kasację do Sądu Najwyższego i po dwóch posiedzeniach 17 i 30 maja Sąd Najwyższy kasację oddalił. Przewodniczący składu sędziowskiego przedstawił tylko uzasadnienie ustne, oznajmiając, że pisemnego nie będzie. Nie odniósł się w ogóle do kilku podnoszonych przez obronę naruszeń procedury, jakimi były m.in. brak prawidłowo postawionego zarzutu, fałszowanie dokumentów czy pomijanie istotnych wniosków dowodowych.

MONOPOL NA POGLĄDY

Oddalenie kasacji przez Sąd Najwyższy nie kończy sprawy. Lekarka i jej pełnomocnik już wcześniej wnieśli sprawę do Trybunału Konstytucyjnego, który czekał na wynik postępowania przed SN. Teraz, w Trybunale, mogą być badane nie tylko kwestie proceduralne, lecz także merytoryczne. Wśród nich problem nieproporcjonalności, jakim jest obowiązek przynależności lekarzy do Izb Lekarskich, przy jednoczesnym przyznaniu sobie przez władze samorządu lekarskiego uprawnień i monopolu do wyłącznego kreowania poglądów swoich członków. Obrońca Arkadiusz Tetela tuż po wyjściu z sali SN zaznaczył, że na rozprawę przed Trybunałem Konstytucyjnym czeka z nadzieją, bo w tej sprawie chodzi o coś więcej niż tylko wykazanie naruszeń procedur. Chodzi o uwolnienie zawodu lekarza i prawo do wolności głoszenia poglądów.

LUDZIE CZYTAJĄ, CO CHCĄ...

Choć grupa lekarzy objętych postępowaniem liczy 116 osób, to wielu z nich ma poczucie, że zostali sami. Wśród nich są wybitni specjaliści, ludzie z tytułami profesorskimi, autorzy licznych publikacji, lekarze z wieloletnią praktyką zagraniczną, wykładowcy akademiccy... Trudno jednak odnieść wrażenie, że stanowią realną siłę. Są bowiem rozproszeni, mieszkają w różnych miastach, często jedni o drugich nie wiedzą i tylko część z nich utrzymuje stały kontakt z Polskim Stowarzyszeniem Niezależnych Lekarzy i Naukowców.

W kontekście przesłuchań lekarzy wielokrotnie zwracałem uwagę na arogancję i butę przedstawicieli Izb. Brak instancji odwoławczej i obojętna wobec postępowań dyscyplinarnych lub wręcz kibicująca szykanom fachowa prasa medyczna i stygmatyzowanie terminem „antyszczepionkowcy" – wszystko to rodzi u rzeczników odpowiedzialności zawodowej poczucie bezkarności. Szczególnym przykładem takiej postawy jest były rzecznik odpowiedzialności zawodowej Naczelnej Izby Lekarskiej Grzegorz Wrona. W wywiadzie dla „Rynku Zdrowia" dał pokaz arogancji, mówiąc, że medycy kwestionujący obostrzenia czy szczepienia to ludzie, którzy nie czytają, nie aktualizują swojej wiedzy medycznej, jednym słowem – nieuki i dyletanci. „Nie można zmusić ludzi, w tym i lekarzy, żeby poszerzali wiedzę, uczyli się – mówił Wrona. – Będą więc tacy, podobnie jak w całym społeczeństwie, którzy czytają to, co chcą czytać...". Dalej dywagował, że wolność słowa, owszem, tak, ale skoro ktoś się wypowiada pod imieniem i nazwiskiem jako lekarz... to już nie. Przypominam, że mówił to lekarz bez tytułu naukowego, o kompetencjach specjalisty organizacji służby zdrowia. Wrona zignorował wszelkie naukowe publikacje, na które powoływali się objęci postępowaniami medycy, próbując dołączyć je jako wnioski dowodowe.

Choć grupa lekarzy objętych postępowaniem liczy 116 osób, to wielu z nich ma poczucie, że zostali sami

Także moje pytania o przebieg, szczegóły i liczbę postępowań dyscyplinarnych zostały zignorowane przez Naczelną Izbę Lekarską. Na żadne z nich do dziś nie udzielono mi odpowiedzi.

NIE DOTYKAĆ TEMATU SZCZEPIEŃ

Pretekstem do wszczęcia postępowań było pojawienie się listów otwartych do władz, a potem apele i wypowiedzi lekarzy, w tym aktywność w mediach społecznościowych.

Widoczna jest jednak pewna prawidłowość. Dopóki chodziło o krytykę testów, teleporad, lockdownu, maseczek, zamykania przychodni czy poddawania zdrowych ludzi kwarantannie, dopóty sprawa raczej uchodziła na sucho. Represje ruszyły z kopyta, gdy lekarze wyrazili obawy wobec szczepień, nazywając (zgodnie z charakterystyką produktu leczniczego na ulotce) szczepienia na COVID-19 eksperymentem medycznym. W grudniu 2020 r., po pamiętnej sejmowej komisji, gdy Adam Niedzielski nazwał zachowanie covidosceptyków „kołtuństwem", Izby Lekarskie zgodnie z wytyczną prezesa NIL, Andrzeja Matyi, rozpoczęły „przesłuchania". Przypomnę, że podobnie było kilka lat temu w TVP. Gdy w listopadzie 2016 r. w programie „Szeptem" prowadzący Anna Popek i Dariusz Kowalski podjęli temat obowiązku szczepień noworodków i związanych z nimi powikłań, program zniknął z anteny. Miesiąc później Maciej Pawlicki w Studiu Polska (TVP) również zaryzykował ten sam temat i znów wywołało to interwencje NIL, ministerstwa i branżowej prasy. Dwa miesiące później Pawlicki (choć podobno pretekstem był inny program) pożegnał się z telewizją. Przypadek „Warto rozmawiać" na łamach „Do Rzeczy" został już omówiony – wspomnę tylko, że program zdjęto, gdy obok obrony lekarzy pojawiły się krytyczne wypowiedzi na temat szczepień, m.in. dr. Zbigniewa Hałata.

ZDĄŻYĆ PRZED KOLEJNĄ „PANDEMIĄ"

Na razie cisza... Doktor Paweł Basiukiewicz, a wcześniej dr Sienkiewicz i dr Rossudowski w jednym z kilku prowadzonych przeciw nim postępowań zostali uniewinnieni. Pozostali czekają na wezwania informujące o terminie rozpraw, które jednak nie przychodzą. Jeśli nastąpi teraz fala wezwań do sądów lekarskich i posypią się wyroki skazujące (niekoniecznie musi to oznaczać cofnięcie uprawnień – skala kar zawiera kilka innych dokuczliwych restrykcji), to oznaczać to może działanie prewencyjne i zastraszające innych lekarzy przed ogłoszeniem kolejnej pandemii.

Z drugiej strony, widząc determinację przynajmniej części lekarzy gotowych walczyć o swoje prawa do końca i przyjmując, że są duże szanse na pozytywne rozpatrzenie sprawy dr Bross-Walderdorff przed Trybunałem Konstytucyjnym, trzeba przypomnieć członkom sądów lekarskich, że mogą personalnie ponieść odpowiedzialność za podjęte przez siebie decyzje. Lekarze zasiadający w sądach lekarskich chyba nie mają świadomości, że nie chroni ich żaden immunitet, mogą więc być pozywani przez szykanowanych teraz lekarzy na drodze zarówno cywilnej, jak i karnej – a wtedy nie wiadomo, czy ich obecni polityczni patroni staną w ich obronie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f269829617

Już 13 czerwca w „Do Rzeczy" dodatek

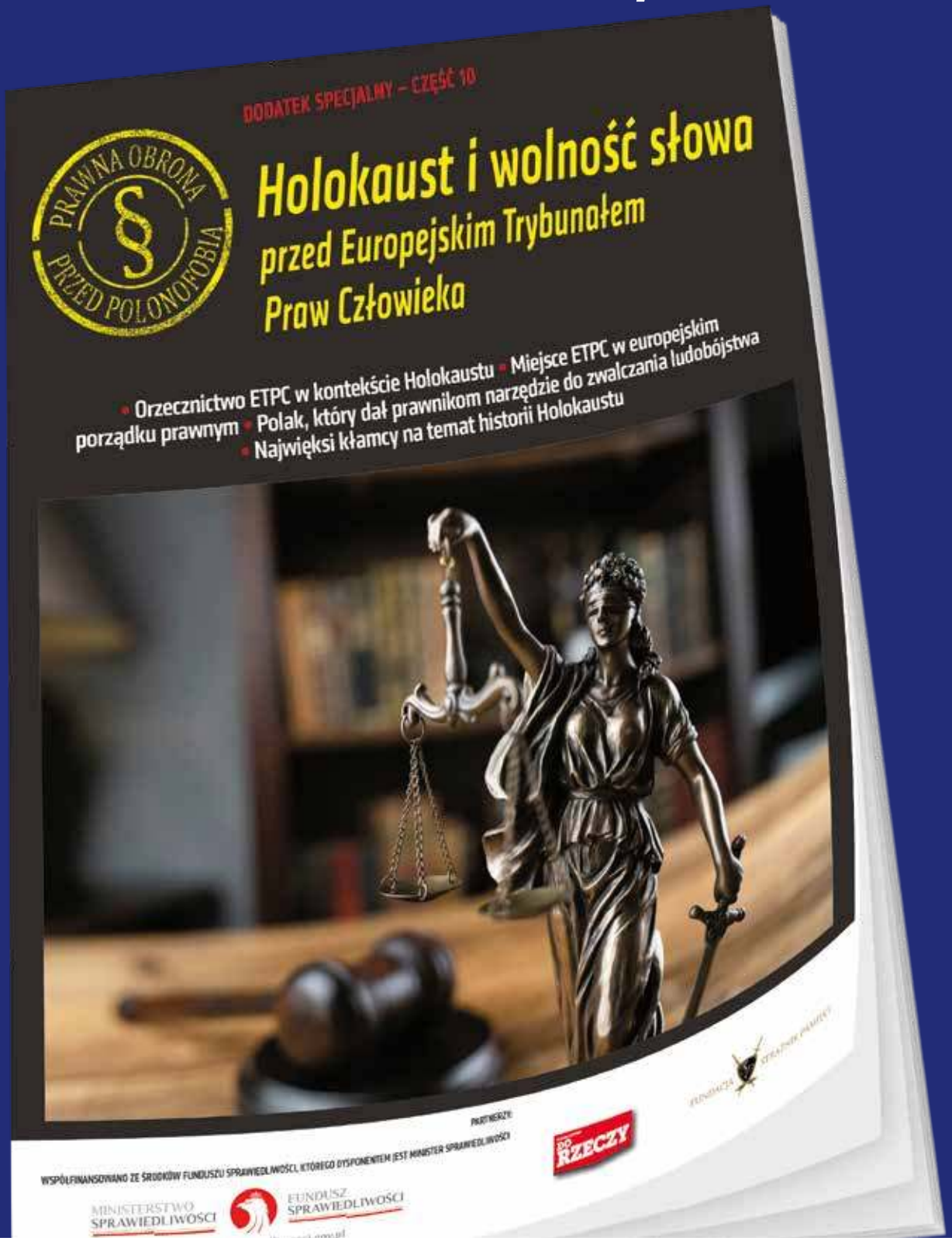

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawedliwosci.gov.pl

eprasa.pl f269829617

Z księdzem profesorem Dariuszem Oko, filozofem i teologiem
rozmawia Ryszard Gromadzki

Droga samozatracenia

RYSZARD GROMADZKI: Kilka dni temu sąd w Kolonii zamknął sprawę, którą wytoczył księdzu niemiecki kapłan katolicki Wolfgang Roth, jednocześnie aktywista gejowski, który oskarżył księdza o „mowę nienawiści" wobec homoseksualistów po publikacji na łamach periodyku teologicznego „Theologisches" artykułu o „lawendowej mafii" w Kościele. Komentując to na gorąco, powiedział ksiądz, że werdykt sądu odebrał jako remis. Czy to oznacza, że nie jest ksiądz w pełni usatysfakcjonowany decyzją sądu?

KS. PROF. DARIUSZ OKO: W pierwszej reakcji rzeczywiście mówiłem o „zwycięskim remisie". Jednak patrząc na sprawę z pewnego dystansu, po rozmowach z prawnikami, koryguję swoją pierwszą ocenę. Werdykt sądu w Kolonii jest naszym zwycięstwem. Tym bardziej że w sądzie w zasadzie stanąłem sam wobec całej potęgi aparatu przemocy niemieckiego państwa. Widać było, że dla samego sądu ta sprawa była trudna, trochę jak dla Piłata. Media niemieckie już mnie skazały i oczekiwały jak najbardziej surowego wyroku, jeszcze gorszego niż w pierwszej instancji. Sąd jednak nie miał przekonujących podstaw do skazania, a gdyby to jednak uczynił bez wystarczającej podstawy prawnej, zespół naszych świetnych adwokatów by to wykazał, a polskie media rozgłosiłyby na cały świat.

Ponadto pani sędzia, która prowadziła sprawę, wykazywała duże zrozumienie dla naszych racji [razem z ks. prof. Oko przed sądem stanął redaktor naczelny pisma „Theologisches", 90-letni niemiecki ks. Johannes Stohr – przyp. red.]. Widać to choćby w sposobie, w jaki przez pełne trzy godziny czytała cały artykuł, aby wybrzmiał on w pełni, a nie tylko tendencyjnie dobrane fragmenty. Dziennikarze niemieccy zapewne pierwszy raz poznali jego treść w całości. Także na tym polegało nasze zwycięstwo – prawda mojego artykułu wybrzmiała w środku niemieckiego sądu. Zresztą było to widać po reakcji drugiej strony. Ja wychodziłem z sądu szczęśliwy, a nasz przeciwnik bardzo smutny.

Dlaczego mówię o ich przegranej? Otóż cały proces służył temu, żeby nas zakneblować, zmusić do milczenia do końca świata. Zastraszyć każdego, kto chciałby coś takiego pisać, mówić i publikować. Tymczasem efekt, jaki osiągnęli nasi oskarżyciele, okazał się zupełnie odwrotny. Zrobili nam reklamę wartą miliony euro. Normalnie taki artykuł czyta kilkanaście czy kilkadziesiąt osób, a nasz tekst przeczytało kilkadziesiąt tysięcy. Po werdykcie sądu mogę tym bardziej publikować w Niemczech, z wyłączeniem dwóch słów, które zakwestionował sąd.

Chodzi o słowa „rak" i „pasożyty", których użył ksiądz, opisując skutki działania homoseksualnego lobby w Kościele...

Tak, chodzi o te dwa sformułowania. Natomiast sędzia wyraźnie powiedziała, że nie ma zastrzeżeń co do samego tekstu. To, że sprawa oparła się o niemiecki sąd, sprawiło, że idea, którą nagłośniłem w książce, stała się znana dla milionów ludzi. To bezdyskusyjne zwycięstwo.

eprasa.pl f269829617

Ksiądz profesor Dariusz Oko FOT. PIOTR GUZIK/FORUM

Czy wyrok zobowiązuje księdza profesora do jakiejś formy przeprosin ks. Rotha?

To nie była sprawa między mną a księdzem Wolfgangiem Rochem, ale między mną a niemieckim państwem. On odegrał tylko rolę donosiciela, wydał nas tej władzy, a wielu osobom kojarzy się tu wydanie pana Jezusa przez Judasza.

Przeprosiłem na sali sądowej za nieświadome użycie słów, które dla Niemców mogły brzmieć obraźliwie. Nie zdawałem sobie sprawy, że po niemiecku, ze względu na nazistowską przeszłość tego społeczeństwa, te sformułowania brzmią jakby trzy razy mocniej niż po polsku, a tego nie chciałem. Natomiast innych określeń, których użyłem w tekście, jak „homoseksualne kliki" i „lobby" w Kościele, „homomafia", „lawendowa mafia" czy „Cosa Nostra", sąd już nie zakwestionował. To są wystarczająco mocne określenia, których mogę używać niejako „z błogosławieństwem" niemieckiego sądu.

Jednym słowem może ksiądz głosić publicznie w Niemczech bez przeszkód ze strony tamtejszych sądów swoje poglądy dotyczące destrukcyjnej roli homoseksualnego lobby w Kościele.

Tak jest. Kardynał Gerhard Müller powiedział, że moje teksty powinny być jak najprędzej przetłumaczone na niemiecki. A to znakomicie wykształcony hierarcha, najlepszy kandydat na przyszłego papieża. Bez tego procesu nie miałbym takiego wsparcia. Rozstrzygnięcie sądu w Kolonii narzuciło w końcu jakieś granice „lawendowej mafii". Okazało się, że sąd nie spełnił jej życzeń. Jej przedstawiciele domagali się dla nas surowego wyroku, najlepiej osadzenia w więzieniu obydwu profesorów, to się im jednak nie udało. Sąd nie ugiął się pod ich presją.

Oskarżenie księdza profesora i redaktora naczelnego niemieckiego periodyku teologicznego przypadło w samym środku zawieruchy, która targa niemieckim kościołem. Oczywiście mam na myśli inicjatywę „drogi synodalnej". Czy werdykt sądu w Kolonii może być jakimś przyczynkiem do krytycznej refleksji na temat kierunku obranego przez – jak się wydaje – zdecydowaną większość niemieckich katolików?

Moją zasadniczą intencją publikacji w Niemczech tekstu o „lawendowej mafii" w Kościele była krytyka „drogi synodalnej". Dzięki temu procesowi ta krytyka wybrzmiała tysiąc razy mocniej. Ale nie mam żadnych złudzeń co do jej skutków, bo sprawy zaszły za daleko. Ta publikacja może przyczynić się do umocnienia w wierze 10 może 20 proc. duchownych w Niemczech, którzy trwają w wierze katolickiej. Jednak 80 proc. zdecydowało się na odejście od Chrystusa dla rewolucji seksualnej. Po ludzku to już jest nie do zatrzymania. Lutra nie dało się zatrzymać, tak i ich nie da się zatrzymać. Tym bardziej że Niemcy, jak zwykle, uważają się za najlepszych i najmądrzejszych, których nikt nie ma prawa upominać. Nawet papież i sam Chrystus nie mają tego prawa wobec ludzi aż tak „idealnych".

Niemiecki Kościół nieuchronnie zmierza w stronę schizmy?

Ta schizma już właściwie zaszła. Tu nie chodzi tylko o sferę seksualną. Od Soboru Watykańskiego niemieccy katolicy prawie się nie spowiadają, a popełniają grzechy ciężkie jak wszyscy inni, przyjmując powszechnie Komunię Świętą. Formalnie rzec biorąc, mamy do czynienia ze świętokradztwem pomnożonym przez miliony przypadków. I oni teraz z samej głębi tego świętokradztwa chcą pouczać cały Kościół. Dlatego to jest dziś bardziej Kościół według Hegla niż według Chrystusa. Do dzisiaj wielu Niemców uznaje Hegla za największego filozofa ich narodu, a według niego on sam był najmądrzejszym człowiekiem w całych dziejach ludzkości, a Prusy najlepszym państwem w tych dziejach. Wszystko, co było wcześniej, było tylko stopniem do ich wielkości – także sam Pan Jezus. On tam coś mądrego powiedział, ale to niewiele wobec prawdziwej mądrości Hegla – prawdziwego szczytu ludzkości. A Niemiecki Episkopat właśnie tak się zachowuje, jakby oni byli mądrzejsi od Pana Jezusa, jakby oni wszystko lepiej od Niego wiedzieli i dlatego mogli mu się w twarz sprzeciwiać, czyli bluźnić.

Szczególnie mocne związki z państwem też zapewne tu nie pomagają.

Tak, co gorsza, to jest równocześnie taki Kościół arcypaństwowy, o wiele za bardzo państwowy, a o wiele za mało chrześcijański. Luter zrywając z papiestwem, tym bardziej oddał Kościół w niewolę państwu. Widzimy, jak bardzo rosyjski kościół prawosławny zależny jest od państwa, gdzie wyżsi duchowni to bardziej urzędnicy Putina niż apostołowie. W Niemczech jest podobnie. Tak zawsze było u luteran, a teraz na drodze fałszywego ekumenizmu, na drodze pseudoekumenicznego równania w dół niemiecki Kościół katolicki sam coraz bardziej staje się luterański i protestancki. Poddaje się światu, pada na kolana nie przed Bogiem, ale przed państwem. Jak państwo głosi ideologię gender, to oni też głoszą gender. Ważne jest, co mówi kanclerz – o wiele bardziej niż to, co powiedzieli Jezus, sobór czy papież. Wielki triumf Hegla.

Mówił ksiądz o wsparciu ze strony kard. Müllera. Petycje w obronie księdza podpisało w Polsce kilkadziesiąt tysięcy osób. Po stronie księdza opowiadali się duchowni i świeccy z innych krajów. Czy nie brakowało księdzu solidarności i poparcia ze strony polskiego episkopatu?

Można było oczekiwać tego poparcia, ale każdy widzi, jak jest. Cieszę się z poparcia świeckich. Szacuje się, że jeden podpis poparcia w petycji odpowiada poparciu ze strony 200 osób. O ile wiem, większość biskupów popiera mnie, ale woli to robić dyskretnie, po cichu.

eprasa.pl f269829617

Czy to tylko oportunizm czy już początek procesu, który dziś dewastuje Kościół w Niemczech?

Częściowe wytłumaczenie może być takie, że ja piszę o „lawendowej mafii", która ma wielką władzę w Kościele. Ta mafia chciałaby mnie unicestwić, tak jak ks. Roth. Ci hierarchowie, którzy mnie popierają, wiedzą, kto ma władzę, dlatego nie chcą się niepotrzebnie narażać. Ja to rozumiem. Zareagują, jeśli sytuacja się zaostrzy.

„Lawendowa mafia" to palący problem polskiego Kościoła?

I światowego, i polskiego. Tacy biskupi, jak Paetz, Wesołowski, Janiak czy Gulbinowicz nie wzięli się znikąd. To szczyt systemu, który trwa i umacnia się, bo nie natrafia na wystarczający opór.

Wróćmy do kwestii semantycznych. Czy takie sformułowania jak „grzech sodomski", „sodomici" są dopuszczalne w debacie dotyczącej nie tylko homoseksualnego lobby w Kościele, lecz także politycznej aktywności środowiska gejowskiego czy szerzej LGBT? Czy stoimy już wobec perspektywy, w której nazywanie rzeczy po imieniu nieuchronnie prowadzić będzie do konfliktu z prawem w związku z szerzeniem „mowy nienawiści" i homofobii?

W Polsce to jeszcze jest możliwe, ale jak widać w Niemczech można narazić się na procesy za tego rodzaju sformułowania. Jeśli za użycie w kontekście, o którym pan mówi, słów „rak" czy „pasożyty" można mieć proces, to tym bardziej za sformułowania, które pan przywołał. Trzeba odpowiednio dobierać słowa, bo mamy do czynienia z nowym totalitaryzmem. Tak jak w czasach komuny za krytyczne zdanie na jej temat trafiało się do więzienia, tak teraz mamy nowy totalitaryzm, w którym za głoszenie prawdy o nim też idzie się do więzienia.

Rozumiem, że publikując po polsku na temat „lawendowej mafii", ksiądz profesor nie wycofa się z określeń w rodzaju „propagowanie Sodomy i Gomory"...

W Polsce nie. Zresztą w Niemczech mówię też wprost, że „droga synodalna" to droga wprost do Sodomy i Gomory. Ksiądz, który nas oskarżał, głosi Sodomę i Gomorę. Ksiądz Roth opowiada publicznie, że gdy był rektorem seminarium, zalecał homoseksualnym klerykom, żeby stosunki homoseksualne uprawiali w pokojach, a nie na korytarzach. Ksiądz Roth był w Monachium w klubie gejowskim, który jest jednocześnie domem publicznym, w którym współżyją geje, nie znając się, nie widząc swoich twarzy. Ksiądz Roth zrobił sobie tam zdjęcie wraz z prezerwatywą i żelem do niej, ogłaszając wszem wobec, że nie zachowuje celibatu. Ostatnio w diecezjalnym radiu w Limburgu ks. Roth mówił, że nauczanie moralne Kościoła na temat seksualności już zupełnie nikogo nie obowiązuje, a biskupi powinni jak najszybciej zaaprobować konkubinaty księży czy to homo, czy to hetero. A Limburg to diecezja, którą kieruje bp Georg Bätzing, przewodniczący Episkopatu Niemiec. Jak z tego widać, ks. Roth cieszy się pełnym poparciem Episkopatu Niemiec. Kiedy biskup austriackiego Sankt Pölten chciał usunąć Rotha z kapłaństwa po głośnej, homoseksualnej aferze z jego udziałem w seminarium, ten znalazł schronienie u kard. Reinharda Marxa w Monachium. Kiedy Kuria Monachijska była pytana, czy zamierza coś zrobić po wizycie ks. Rotha w gejowskim domu publicznym, odpowiedź brzmiała: Nie. Czyli w pełni akceptują takie zachowanie i płacą jeszcze za to ks. Rothowi sutą pensję.

Jeżeli w Kościele jest bunt przeciwko Bogu, publiczne zaprzeczanie jego słowom, to taki Kościół jest nie do uratowania

Czyli w niemieckim Kościele mamy Sodomę i Gomorę w pełnym wymiarze.

Jeszcze nie w pełnym, bo może być jeszcze dużo gorzej, ale mamy jej akceptację. Ich teologowie przekonują, że problem Sodomy i Gomory sprowadzał się do braku gościnności. Taka jest ich „egzegeza". Można ironicznie powiedzieć, że w tym ujęciu dwaj aniołowie w gościnie u rodziny Lota byli jakby obrzydliwymi homofobami i stąd powstał cały kłopot. Szkoda, że nawet Pan Jezus o tym nie wiedział, mówiąc o tych miastach w klasycznym „homofobicznym" sensie. Dobrze, że chociaż teraz wiedzą to biskupi niemieccy. Taka jest dziś teologia niemiecka. Dlatego ks. Rotha można uznać za wizytówkę niemieckiego Kościoła, prawdziwą twarz „drogi synodalnej". On bryluje w mediach i tych państwowych, i kościelnych. Co charakterystyczne, niemieckie media państwowe z zasady wrogie wobec Kościoła popierają „drogę synodalną", bo ta prowadzi do samozniszczenia Kościoła. Ksiądz Roth to nie przypadek, to ksiądz zdecydowanie popierany przez episkopat niemiecki.

Ubocznym skutkiem naszego procesu jest pokazanie, do jakiego stanu upadku doszedł niemiecki Kościół. Jak powiedziałem,„droga synodalna" jest drogą do Sodomy i Gomory, jest to raczej droga „sodomalno-gomoralna". Dzięki temu mojemu przerwanemu procesowi mamy tym większe szanse, żeby bronić się przed samozniszczeniem Kościoła. Tak jak obroniliśmy się przed reformacją i Lutrem, który poważnie zniszczył Kościół i oddał go w ręce państwa, tak mamy szanse obronić się teraz. Także dzięki temu przerwanemu procesowi. To jest dzieło Boże. Pan Bóg z wielkiego zła może wyprowadzić wielkie dobro. Chodziło o to, żeby mnie zniszczyć, uciszyć, a mój głos stał się miliony razy bardziej słyszalny.

Niemieckie media rozmawiały z księdzem po wyroku sądu w Kolonii?

Widać było, jak oni boją się prawdy, jak są jednostronni, nie respektując podstawowej dziennikarskiej zasady, czyli wysłuchania drugiej strony. Rozmawiali z ks. Rothem, ze mną wymienili parę zdań na schodach do sądu. Wszyscy rozmawiali z nim. Bardzo chętnie uczestniczyłbym w publicznej dyskusji, zapraszam ks. Rotha właśnie w mediach niemieckich, ale oni boją się prawdy, budując na kłamstwie o homoseksualizmie, o Biblii. To jest straszne, to bluźnierstwo, jeśli Bóg nam coś objawia, a my dla wygody temu zaprzeczamy, bo ma rządzić żądza, a nie On. Jak oni mają odwagę zaprzeczać Bogu w twarz, bluźnić Jego objawieniu, to cóż tam dla nich znaczą takie żuczki jak ja. Jeśli Boga nie chcą słuchać, to tym bardziej nie posłuchają grzesznych, słabych ludzi. Dlatego to jest droga do samozatracenia. Jeżeli w Kościele jest bunt przeciwko Bogu, publiczne zaprzeczanie Jego słowom, otwarte bluźnienie prawdzie, to taki Kościół jest nie do uratowania. O takich ludziach św. Paweł Apostoł mówił: „Ich losem – zagłada, ich bogiem – brzuch, a chwała – w tym, czego winni się wstydzić. To ci, których dążenia są przyziemne" (Flp 3,19). Można dodać, że dla wielu osób dzisiaj „bogiem" jest już nawet nie tyle brzuch, ile podbrzusze. I na tym właśnie polega duża część tragedii i samounicestwienia Kościoła naszych czasów.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f269829617

Rozwiązania dla Twojego wnętrza

Jan Nowak

jannowak.com

eprasa.pl f269829617

FOT. KRYSTIAN MAJ/KPRM

Mały krok w złą stronę

Tomasz Rowiński

Jeśli PiS – nawet instrumentalnie – podejmuje grę przeciwko opartej na prawie naturalnym cywilizacji chrześcijańskiej w Polsce, to należy patrzeć na to z podejrzliwością. Nie mają wtedy znaczenia ani minione zasługi, ani środowiskowe sympatie czy interesy

Czy przyjęta przez Radę Ministrów 24 maja br. uchwała w sprawie ustanowienia Krajowego Programu Działań na rzecz Równego Traktowania na lata 2022–2030, czyli tzw. uchwała antydyskryminacyjna, będzie wstępem do wprowadzania w naszym kraju polityki równościowej? Mam na myśli tę zideologizowaną politykę zgodną z dominującymi na Zachodzie lewicowymi standardami? I czy rzeczywiście może to nastąpić jeszcze w tej dekadzie?

Jednoznacznie twierdzącą odpowiedź na tak postawione pytanie można było przeczytać kilka dni temu na portalu pch24.pl w formie komentarza do informacji o działaniach rządu podanej przez PAP. Warto jednak sprawę szerzej rozważyć. Z jednej strony możemy założyć, że wcale tak nie będzie, ponieważ Jarosław Kaczyński raczej instrumentalnie traktuje programy, uchwały czy deklaracje. Nie jest także osobiście skłonny do popierania radykalizmu społecznego, choć lubi radykalne metody w polityce. Nieprzypadkowo Marek Jurek sformułował przed laty określenie „radykalnej centroprawicy".

Z drugiej zaś strony pojawia się oczywiście inna, niepokojąca, odpowiedź, że jest wielce prawdopodobne, iż tak właśnie się stanie. PiS bowiem, chcąc być w oczach swoich wyborców tamą, która staje na drodze toczącej Zachód rewolucji moralnej, nieustannie zmaga się z pokusą, by samodzielnie także przykładać rękę do wzmacniania poczucia zagrożenia. Można podać przynajmniej jeden bardzo poważny przykład takiego „budowania zagrożenia" z minionych lat. Tego typu polityczna gra na ostrzu noża może skończyć się utratą kontroli nad sytuacją.

O jaki przykład mi chodzi? Ktoś mógłby sądzić, że brak wypowiedzenia przez PiS tzw. antyprzemocowej konwencji stambulskiej – co partia Kaczyńskiego zapowiadała, gdy była jeszcze w opozycji – jest przypadkiem lub wynika ewentualnie z niedopatrzenia czy też słabości obozu rządzącego. To bardzo wątpliwe. Prędzej można by się spodziewać, że Jarosław Kaczyński rzeczywiście uważa konwencję za dokument w jakiejś mierze pożyteczny lub na tyle pozbawiony znaczenia politycznego, że nadający się do prowadzenia wewnętrznych rozgrywek z własnym elektoratem. Mówił o tym w jednym ze swoich najważniejszych „doktrynalnie" przemówień, które miało miejsce w 2018 r. w Trzciance. Wyłożył wtedy słuchaczom wiele swojej politycznej filozofii. O konwencji stambulskiej mówił tak:

„Z polskiego punktu widzenia jest ona do niczego niepotrzebna. Jeżeli chodzi o prawo karne, to wszystko jest tak, jak powinno być. Ale wycofanie się wywołałoby kolejny atak na Polskę, a żadnych skutków tego nie ma. Po co robić sobie kolejną awanturę?".

WYSPA WOLNOŚCI

Zostawmy na chwilę kwestię, że PiS robił awantury ze znacznie bardziej błahych powodów. Jak to jednak jest z tymi skutkami konwencji? Gdyby brać poważnie polski system prawny, co w czasach PiS nie zawsze jest łatwe, nikt nie mógłby powiedzieć, że ratyfikowany dokument o randze międzynarodowej, którego realizacja jest i będzie monitowana przez czynniki zewnętrzne, nie niesie ze sobą żadnych skutków. Dodajmy, że konwencja stambulska, choć nie przyniosła nigdzie na świecie wymiernych skutków antyprzemocowych, to skutecznie przyczynia się tam, gdzie została zaaplikowana, do demontażu opierającego się na prawnonaturalnych kategoriach języka prawnego.

Odpowiedź – specyficzną – na takie wątpliwości Jarosław Kaczyński dał w kolejnych zdaniach swojego przemówienia w Trzciance. „A póki my rządzimy, żadnych »małżeństw« homoseksualnych u nas nie będzie. Będziemy czekać, aż inne kraje otrzeźwieją. W Polsce będzie wyspa wolności i będzie można mówić w różnych sprawach to, co [się] uważa, bo w Europie tej wolności nie ma. W Polsce tego nie będzie, chyba że dopuścicie

eprasa.pl f269829617

do władzy tamtych". Tamtych, czyli PO czy może Lewicę, stronnictwa Szymona Hołowni nie było wtedy jeszcze w grze.

W podobnym kluczu zapewne traktowane są takie działania jak przyjęcie uchwały w sprawie Krajowego Programu Działań na rzecz Równego Traktowania. Nikt w PiS nie będzie robił awantury o kawałek papieru, który nie ma znaczenia dopóty, dopóki partia ta jest przy władzy. Jednocześnie można tę uchwałę w razie potrzeby wykorzystać – wobec czynników brukselskich – by pokazać, że coś się jednak robi w zgodzie z tzw. wartościami europejskimi.

DROGI KORZYŚCI

Jeśli chodzi o potrzeby wewnętrzne, to otwierają się dwie, a może nawet trzy drogi osiągnięcia korzyści za pomocą uchwał czy programów równościowych. Jedna jest prostsza, będąca odwzorowaniem linii realizowanej przy okazji konwencji stambulskiej. Otóż, gdyby PiS poukładał sprawy państwa z zakresu moralności publicznej w zgodzie z prawnonaturalnymi czy też chrześcijańskimi zasadami, wówczasz zmalałoby poczucie zagrożenia, że zmiana władzy może wszystko z dnia na dzień wywrócić. Zniknęłoby poczucie, że wszystko zależy od partii Kaczyńskiego.

Druga możliwa korzyść jest bardziej złożona, trudniejsza do osiągnięcia i skierowana do liberalnego czy też lewicowego elektoratu. Pamiętajmy, że w roku 2015 PiS zebrał nieco głosów lewicy, nawet tej obyczajowej, zniecierpliwionej niby-liberalnym stylem rządów Platformy Obywatelskiej. Zatem gra, w której – choćby w minimalnym zakresie – spełnia się oczekiwania elektoratu pragnącego rewolucji, może zmiękczać jego antypisowskie stanowisko przed zbliżającymi się, trudnymi wyborami parlamentarnymi w roku 2023.

Jest wreszcie i trzecia kwestia. Jest prawdopodobne, że spektrum politycznych opinii w sprawie tego, co można nazwać konstytucją społeczną, przesunie się w Polsce w najbliższych latach na lewo. Wtedy – mając pod ręką różnego rodzaju równościowe i genderowe dokumenty – przełożenie wajchy będzie dla następców Kaczyńskiego w PiS dużo łatwiejsze. Już dziś można powiedzieć, że prawnonaturalny charakter polskiej konstytucji społecznej, a także prawnej wisi w dużej mierze na woli politycznej partii rządzącej. Łatwo jest sobie wyobrazić, że PiS kiedyś podąży śladem np. brytyjskich konserwatystów, którzy w pewnym momencie przyjęli za własne te poglądy, które dziś w Polsce wciąż uważamy za lewicowe.

Czy to tylko fantazja publicysty? Spójrzmy na wydarzenia, które miały miejsce w ostatnich latach w Irlandii. Państwo to – słusznie czy nie – było przez długi czas przedstawiane jako model syntezy katolicyzmu i nowoczesności. Tymczasem w roku 2015, w ramach ponadpartyjnego konsensusu, doprowadzono do referendum i wprowadzenia w Irlandii „małżeństw" homoseksualnych. Trzeba tu jeszcze koniecznie dodać, że większość partii w tym kraju jeszcze nie tak dawno łatwo można byłoby określić mianem „katolickich". Niestety, korupcja wyznawanych i głoszonych zasad dokonuje się często niezauważalnie albo małymi kroczkami. Jakkolwiek nisko byśmy oceniali rangę niedawnej uchwały Rady Ministrów, jest ona małym kroczkiem w złą stronę.

Przemówienie w Trzciance miało miejsce 15 kwietnia 2018 r., a 29 marca tego samego roku ówczesna rzeczniczka PiS Beata Mazurek wygłosiła głośną deklarację, mówiąc o swoim ugrupowaniu: „Jesteśmy partią katolicką". Polemizowałem wtedy z jej wypowiedzią na łamach dziennika „Rzeczpospolita": „Partią katolicką nie jest ta, która najchętniej pokazuje się publicznie w towarzystwie hierarchii kościelnej, ale ta, która w swojej polityce kieruje się konkretnymi zasadami. Beata Mazurek już w samej swojej wypowiedzi zawierającej »deklarację katolickości« tym zasadom zaprzeczyła. Przede wszystkim zgodnie z doktryną PiS określiła kwestię ochrony życia na każdym etapie rozwoju jako kwestię »światopoglądową«, podczas gdy kwestia ta nie należy do obszaru wolnych opinii".

Zasady się nie zmieniły. Jeśli PiS – nawet instrumentalnie – podejmuje grę przeciwko opartej na prawie naturalnym cywilizacji chrześcijańskiej w Polsce, to należy patrzeć na to z podejrzliwością. Nie mają wtedy znaczenia ani minione zasługi, ani środowiskowe sympatie czy interesy.

W wywiadzie dla dorzeczy.pl redaktor naczelny portalu pch24.pl Krystian Kratiuk wyraził z całą mocą obawy wielu Polaków: „Niestety, jestem absolutnie przekonany, że rząd Mateusza Morawieckiego stwierdził, iż pójdzie na całość w liberalną agendę obyczajową Unii Europejskiej, ponieważ musi w jakiś sposób spłacić wszelkie należności. […] W tej chwili mamy wojnę i podczas niej premier stara się najwidoczniej za plecami Polaków uchylać bardzo szeroko furtkę do tego, aby cała agenda LGBT zaistniała w Polsce".

Opinia ta wydaje się nieco zbyt mocna. Sądzić należy, że – tak jak zarysowałem to w poprzednich akapitach – toczy się rodzaj wielostronnej gry, która może się dla Polski skończyć głęboką społeczną dekompozycją. Tak jakbyśmy dotąd mieli mało problemów z demografią czy ze spójnością społeczną. Nawet jeśli PiS zachowa do końca swoich rządów resztki światopoglądowej stabilności, to jednocześnie flirtując z ideologią politycznego ruchu homoseksualnego czy gender, przygotowuje grunt pod instytucjonalną rewolucję w naszym państwie, do której będą dążyć przyszłe liberalne czy lewicowe rządy. Czy wątpimy, że kiedyś one przyjdą? Raczej nie, taka jest logika ustroju demokratycznego.

PROSTO W PUŁAPKĘ

Na koniec warto zauważyć, że punktem odniesienia dla Krajowego Programu Działań na rzecz Równego Traktowania na lata 2022–2030 ma być ustawa o wdrożeniu niektórych przepisów Unii Europejskiej w zakresie równego traktowania, którą polski parlament przyjął już 3 grudnia 2010 r. Ustawa ta mówi o różnych formach dyskryminacji – bezpośredniej, pośredniej, molestowaniu, molestowaniu seksualnym i nierównym traktowaniu „ze względu na płeć, rasę, pochodzenie etniczne, narodowość, religię, wyznanie, światopogląd, niepełnosprawność, wiek lub orientację seksualną". W ustawie mowa jest także o „zasadzie równego traktowania", którą definiuje się przez „brak jakichkolwiek zachowań stanowiących nierówne traktowanie". Za nierówne traktowanie, dyskryminację uważa się, ogólnikowo, traktowanie „mniej korzystnie, niż […] byłaby traktowana inna osoba w porównywalnej sytuacji".

W tych ogólnikach jest pułapka. Ewolucja ideologiczna, której podlega Unia Europejska, sprawia, że zakres znaczeniowy tego, co „mniej korzystne", ulega nieustannej zmianie. Razem z eskalacją oczekiwań formułowanych przez kolejne politycznie emancypujące się mniejszości będą też rosły oczekiwania wobec polskich władz, by implementować nowe prawa. Mimo tego rząd Zjednoczonej Prawicy w tę pułapkę idzie. Trudno sądzić, by wyszło z tego coś dobrego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f269829617

Kto tu ma dość?

Agnieszka Niewińska

Marianna Schreiber objawiła się światu w TVN-owskim show dla aspirujących modelek. Teraz chce zasiąść w sejmowych ławach. Założyła partię Mam Dość

Dwóch Schreiberów w polityce to za mało? Do tego wniosku doszła najwyraźniej Marianna Schreiber, żona Łukasza Schreibera, polityka PiS, szefa stałego komitetu Rady Ministrów, synowa Grzegorza Schreibera, również wpływowego polityka PiS, obecnie marszałka województwa łódzkiego. Zwołała konferencję prasową, ogłosiła powstanie nowej partii pod dźwięczną nazwą Mam Dość i już pisze odezwy do ugrupowań opozycyjnych, bo te pokpiwają z jej inicjatywy. „NAPISZĘ TO WYRAŹNIE! Stoimy po stronie opozycyjnej i chcemy ją wesprzeć. Szydzicie z naszych działań. I nie mówcie potem, że nasze głosy pójdą na PiS – bo to tylko Wasza wola, że nas poniżacie. Wielu Waszych działaczy jest już po cichu u nas".

Cisza jest jednak tak głucha, że trudno nawet o jedno nazwisko polityka, który zdecydował się na transfer do Mam Dość.

„BYŁAM ZOBACZYĆ DYKTATORA"

Polityczna droga pani Marianny zaczęła się w studiu TVN. Pojawiła się w programie dla aspirujących modelek „Top Model". Już w pierwszym odcinku wyszło na jaw, że jest żoną polityka PiS, który nawet nie wie o jej uczestnictwie w programie. – Mąż mnie zabije – rzuciła pani Marianna, ruszając na telewizyjny wybieg. Szybko odpadła z programu, ale w mediach pozostała. Udzielała wywiadów, opowiadała o reakcji męża na jej telewizyjny występ, publikowała kolejne posty, które wzbudzały zainteresowanie plotkarskich mediów. Zasiadła nawet na kanapie u Kuby Wojewódzkiego, którego szczególnie interesowała sypialnia państwa Schreiberów.

Do wejścia do polityki miała ją zainspirować Magdalena Środa. – Jak to mówiła pani profesor Magdalena Środa podczas naszej rozmowy: choćby na ulicę wyszło tysiąc strajków, to nie będzie-

FOT. PIOTR MOLĘCKI/EAST NEWS

eprasa.pl f269829617

my w stanie aż tak wpłynąć na pewne decyzje, choćby odnośnie do praw kobiet i ograniczenia tych praw, kiedy kobiet nie będzie w polityce. Ja sobie wzięłam to do serca i na ten moment się tym kieruję – opowiadała Schreiber w wywiadzie dla Onetu.

– Mianowano mnie na celebrytkę. No cóż, już trzeba się pogodzić z tym, że tak jest – żaliła się na inaugurującej partię konferencji prasowej. Skarżyła się też na to, że portale odmawiały publikacji wywiadów z nią zilustrowanych jej zdjęciem w koronie, a PAP nie chciała jej wynająć sali na konferencję. Ubolewała nad zalewającym ją hejtem, podkreślała, że PiS to partia antykobieca, w której obowiązuje patriarchat. Krytykowała wypowiedź Krystyny Pawłowicz o tym, że UE powinna zniknąć z powierzchni ziemi. – Pani Krystyno, to po prostu nie wypada, na pewno nie na takim stanowisku jak pani. Ale w końcu ktoś ją wybrał, nie? – rzuciła Schreiber. Opowiadała o swojej wyprawie na obchody rocznicy smoleńskiej. – Specjalnie byłam tam zobaczyć dyktatora, który stara się przez swoje fanaberie pogłębiać podziały w Polsce.

Swoją partię Mam Dość zaprezentowała jako proeuropejską i wspierającą osoby LGBT. – Chcemy, żeby miały prawo do założenia rodziny, do małżeństwa, do spokojnego życia w Polsce – opowiadała Schreiber. Lista tego, co uczyni Polakom jej partia, jest dużo dłuższa. Pani Marianna obniży inflację i stopy procentowe, przywróci praworządność i uruchomi fundusze unijne z KPO, uporządkuje system edukacji i ochronę zdrowia, a pracownicy obu sektorów mogą liczyć na podwyżki. Jakby tego było mało, ustanowi świeckie państwo, by nikt nie ingerował w sumienia obywateli.

Po politycznym debiucie partii Mam Dość „Super Express" umieścił ją w sondażu poparcia dla partii politycznych. Mam Dość uzyskała 2,07 proc. poparcia i wyprzedziła Porozumienie Jarosława Gowina. Pani Marianna nie kryła radości. „Dopiero występujemy o rejestrację partii, a już mamy ponad 2 proc." – emocjonowała się na Instagramie. I zapowiedziała: „Już nigdy się nie poddam, nie dam się stłamsić, zniszczyć. Polityka to ciężki kawałek chleba i walka, ale ja będę walczyć o innych".

– W polityce jest miejsce dla kobiet, zwłaszcza że mężczyźni zawodzą. W Skandynawii kobiety w polityce błyszczą, zajmują eksponowane stanowiska. Pani Marianna Schreiber najwyraźniej dostrzegła ten trend. 2 proc. poparcia na wstępie to dużo, ale sukcesu tej inicjatywie nie wróżę. Jej autorka nie ma nic do zaproponowania. Polacy na coś takiego się nie nabiorą – komentuje prof. Kazimierz Kik, politolog z Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach. Podkreśla, że polityk potrzebuje profesjonalnego przygotowania, charyzmy i empatii. – Tego u pani Schreiber nie widzę. Jest żoną polityka, ma dostęp do mediów i z tego korzysta, ale to za mało. Szybko się znudzi – ocenia prof. Kik. Ma jednak nadzieje, że inicjatywa Marianny Schreiber zmotywuje inne panie do zaangażowania się w politykę. – Na razie kobiety pełnią w niej funkcje wykonawcze. Rzadko same ją kreują.

KWARANTANNA MORALNA

Marianna Schreiber nie jest pierwszą żoną polityka PiS, która podjęła próbę budowy własnego ugrupowania politycznego. Pięć lat temu głośno było o projekcie Anny Kamińskiej pod nazwą Polska Parafialna. Jej inicjatorka była żoną byłego już dziś posła PiS Mariusza Antoniego Kamińskiego (jednego z bohaterów tzw. afery madryckiej). Po tym, jak Kamiński z partyjną koleżanką zdradził żonę, ta rozpoczęła zbieranie podpisów pod obywatelskim projektem ustawy, wedle której za udowodnioną w sądzie zdradę parlamentarzyście miałby grozić Trybunał Stanu. Chciała też, by zdradzających polityków wykluczać z parlamentu. Z Polską Parafialną chciała wejść do Sejmu. Organizowała konferencje prasowe, z tabletu odczytywała odezwy do biskupów. Doszła też do wniosku, że katolicy nie powinni startować z list PO i PiS. – Niech żaden katolik, prawdziwy katolik, dobry mąż i ojciec rodziny nie waży się startować z PiS, PO czy innej listy niż z naszej Polski Parafialnej! Nie dajmy się odwieść od tego Wielkiego Dzieła przez szykany i podstępy PiS, PO i innych partii, które niczym wilki będą atakować mnie i nas, by rozbić nasze dzieło – apelowała Kamińska.

Projekt Polski Parafialnej siadł, zanim zaczął pojawiać się w sondażach poparcia dla partii politycznych. Po tym, jak Kamińska wystąpiła w sesji zdjęciowej dla „Super Expressu", w której wyeksponowała biust, została zawieszona w prawach członka przez Radę Założycieli Polski Parafialnej „na okres trzymiesięcznej kwarantanny moralnej".

Polityczna droga pani Marianny zaczęła się w studiu TVN. Pojawiła się w programie dla aspirujących modelek „Top Model".
Już w pierwszym odcinku wyszło na jaw, że jest żoną polityka PiS, który nawet nie wie o jej uczestnictwie w programie

Polskiej Hillary Clinton, która bycie pierwszą damą przekuła we własną karierę polityczną, dotąd się nie doczekaliśmy. – Wśród żon polityków najbliżej do własnej kariery politycznej było Jolancie Kwaśniewskiej – zaznacza prof. Kik. – Po zakończeniu prezydentury Aleksandra Kwaśniewskiego mogła wystąpić z własną inicjatywą. Miała popularność i charyzmę. Tyle że nie była zainteresowana polityką.

BEZ ŻARTÓW

Marianna Schreiber zapowiedziała spotkania w wielu miastach w Polsce. Na razie przy odrobinie szczęścia można ją spotkać na warszawskiej Patelni. Rozdaje smycze i znaczki z partyjnym logo, zbiera podpisy poparcia i deklaracje członkowskie. Ten, kto już się czuje przekonany, deklarację członkowską może pobrać on-line. Wiadomo jednak, że męża do politycznego transferu pani Schreiber nie przekonała. – Czy pan wystartuje z list PiS czy z list partii żony w następnych wyborach? – pytał Łukasza Schreibera w RMF FM Robert Mazurek. – No niech pan sobie nie żartuje – odpowiedział polityk. Działań żony nie chciał komentować.

Skomentowali je za niego internauci po tym, jak Marianna Schreiber podzieliła się zdjęciem z urodzin męża. Siedząc nad okazałym urodzinowym tortem, wyglądał na strapionego. „Gość ma dość" – skwitował jeden z użytkowników mediów społecznościowych.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f269829617

Rosyjski sfinks

Wiesław Chełminiak

Gala zostanie zapamiętana jako zły duch Salvadora. Książka Dominique Bony „Gala. Niebezpieczna muza" jest ewenementem. Wcześniej pisano o kobiecie cieniu Éluarda, Ernsta i Dalego. Bona sugeruje, że tych trzech surrealistów należy traktować jako statystów w życiu kobiety

Salvador Dalí ze swoją żoną Heleną, nazywaną Galą, 1934 r.

FOT. BETTMANN ARCHIVE/GETTY IMAGES

Milczenie jest fatalną strategią. Kobieta, bez której historia surrealizmu wyglądałaby zgoła inaczej, chciała pozostać w cieniu. Skryta i nieskora do zwierzeń, nie pisała pamiętników, skrupulatnie niszczyła listy i pamiątki przeszłości. Miała w nosie, co ludzie o niej pomyślą. Wykorzystali to wrogowie, wyrabiając Gali opinię femme fatale, pazernej, wiecznie naburmuszonej i aroganckiej jędzy, złego ducha paryskiej oraz nowojorskiej awangardy. Jednego tylko nie mogli jej odmówić: siły charakteru.

Urodziła się w Kazaniu, w 1894 r., jako Helena Dmitrijewna Diakonowa. Ojciec był urzędnikiem w ministerstwie rolnictwa, rodzina matki miała kopalnie złota na Syberii. Stać ich było na francuskojęzyczną piastunkę, prywatną szkołę i wakacje na Krymie. Helena, nazywana Galą, wyrosła na dziewczę tyleż oczytaną, co anemiczną. Wysłano ją więc do luksusowego sanatorium w Szwajcarii, gdzie poznała i pokochała (z wzajemnością) książkowego mola, Eugène'a Grindela.

Rodzicom rozpieszczonego jedynaka, publikującego poezje pod pseudonimem Paul Éluard, nie spodobała się rosyjska muza. On jednak i tak zaprosił ją do Paryża i się jej oświadczył. Gdy luba wyrzekła się prawosławia, by móc wziąć ślub w katolickim kościele, w jej ojczyźnie zaszły wielkie zmiany. Car stracił władzę, a rodzina Gali cały majątek. Musieli uciec przed bolszewickim terrorem za granicę. Ona nie miała powodu, by trapić się o przyszłość. Interes teścia, handlarza nieruchomości, prosperował znakomicie. Do końca życia zachowała rosyjski akcent, słabość do ikon, samowarów i prozy Dostojewskiego, lecz komunizm był jej wstrętny. Wiosną 1927 r. odwiedziła Moskwę i Petersburg, upewniając się, że decyzja o emigracji była ze wszech miar właściwa.

TRÓJKĄT PARYSKI

Éluard, który wstydził się ojcowskiego bogactwa, łatwo znalazł wspólny język z rówieśnikami – radykałami, potępiającymi w czambuł kapitalizm, liberalną demokrację oraz „mieszczańską" kulturę. Gala nie chciała być kurą domową. Córkę oddała na wychowanie teściowej i towarzyszyła mężowi w dadaistycznych ekscesach oraz kawiarnianych nasiadówkach. Gdy młodzi poeci i malarze, sącząc aperitify, debatowali, jak zmienić świat, rzadko zabierała głos, świadoma niechęci, jaką wzbudza w kolegach Paula. Świdrujące spojrzenie czarnych jak węgiel oczu zbijało ich z pantałyku. Dadaiści popierali wolną miłość, jednak mieli problem z uznaniem kobiet za istoty myślące i równorzędne mężczyznom.

Éluard stał za nią murem. Wspólnie trwonili fortunę Grindelów, ale Gala coraz częściej samotnie wizytowała Lazurowe Wybrzeże i modne alpejskie kurorty. Paul zaczął bowiem wcielać w życie ideę małżeństwa otwartego. Sypiał z innymi paniami, o czym informował ją, nie unikając pikantnych szczegółów. „We wszystkich kobietach odnajduję tylko ciebie: kobietę w całej pełni" – pocieszał żonę i zachęcał, by poszła w jego ślady. Nie posiadał się ze szczęścia, gdy zawarła bliższą znajomość z zaprzyjaźnionym niemieckim malarzem.

Max Ernst, tak jak ona, zerwał z ojczyzną i rodziną. Zamieszkał w domu Éluardów, pokrył freskami jego ściany, drzwi i sufity. Ménage à trois przestawało jednak odpowiadać poecie, gdy odkrył, że jest najmniej pożądanym elementem trójkąta. Załamany, ruszył w podróż dookoła świata i dał się namówić do powrotu dopiero wtedy, gdy Max się wyprowadził. Był to koniec pięknej przyjaźni oraz harmonii w związku Gali i Paula.

Proces rozpadu małżeństwa nabrał tempa, gdy poznali młodego, egocentrycznego artystę z Katalonii i przyjęli propozycję spędzenia wakacji w jego rodzinnych stronach. Panią Éluard początkowo irytowały dziwactwa, obsesje, tudzież nieukrywane uwielbienie, jakim obdarzył ją gospodarz. Po namyśle zgodziła się jednak zostać muzą Salvadora Dalego. Paryscy dadaiści, nawróceni tymczasem na surrealizm, byli oburzeni. Paul wciąż ją kochał, na rozwód zgodził się niechętnie i jeszcze przez wiele miesięcy pisał do byłej połowicy sprośne listy.

ELEMENT FASZYSTOWSKI

Skalisty Port Lligat, dziś oblegany przez rzesze turystów, sto lat temu był miejscem,

eprasa.pl f269829617

gdzie diabeł mówił dobranoc. Kochankowie mieszkali w pozbawionej wygód chacie rybackiej nad brzegiem morza. Salvador tworzył, ona zapewniała mu wikt i opierunek. Na zimę przenosili się do Paryża i Nowego Jorku, gdzie czekali mecenasi z pękatymi portfelami.

Autor „Wielkiego masturbatora" szybko stał się modny, wielcy tego świata cenili sztukę Dalego, nawet jeśli jej nie rozumieli.

Finansowe powodzenie hiszpańskiego parweniusza zaalarmowało francuskich surrealistów, których już wcześniej drażniły jego błazeństwa, prowokacje oraz kontakty z kosmopolityczną śmietanką towarzyską. Dalí wymyślił metodę twórczą, którą nazwał „paranoją krytyczną", uwielbiał dziwaczne symbole, szarady i zabawy językowe. Skandalistą był umiarkowanym, nigdy nie przekraczał granicy, dzielącej ekstrawagancję od pospolitego chamstwa.

Apostołowie awangardy nie zdzierżyli, gdy Salvador zaczął wychwalać dawną sztukę europejską, a krytykować afrykańską, opowiadać się przeciwko równości i rewolucji, tudzież podkreślać swoją apolityczność (co nie przeszkodziło mu wygłosić pochwały Hitlera, gdy ten doszedł do władzy). Deklarował się jako monarchista i katolik. Surrealiści, którzy gremialnie zapisali się do partii komunistycznej, wielbili Stalina albo Trockiego, na dłuższą metę nie mogli tolerować takich herezji. W lutym 1934 r. Dalí został wykluczony z grupy jako „element faszystowski".

Zdumiewający był ten sojusz wolnomyślicieli z zaprzysięgłymi wrogami wolności, także twórczej. Europejscy artyści i literaci ochoczo poddawali się ideologicznemu nadzorowi i (auto)cenzurze. Kolegów, uznanych za wrogów ludu, bojkotowano towarzysko. W przypadku Dalego dochodziła zazdrość o sukces. Łatwiej jednak było powiedzieć, że się sprzedał bogaczom i „reakcji". Katalończyk skomentował anatemę po swojemu: „Jedyna różnica między surrealistami a mną polega na tym, że to ja jestem surrealistą". Potwierdził tym samym swój notoryczny brak powagi oraz talent do autoreklamy.

WARIAT I CZAROWNICA

Gala zostanie zapamiętana jako zły duch Salvadora. „Byli jak dwugłowa hydra. Wszędzie, gdzie pojawiał się malarz, towarzyszyła mu żona, milcząca i tajemnicza" – podkreśla autorka jej biografii, Dominique Bona. Książka, napisana ze swadą godną członkini Francuskiej Akademii, jest ewenementem. Wcześniej pisano o kobiecie cieniu Éluarda, Ernsta i Dalego. Bona przeciwnie: sugeruje, że trójkę surrealistów należy traktować jako statystów w życiu kobiety, przewyższającej ich siłą charakteru, a może również inteligencją. Co z tego, że sama nie tworzyła, skoro jej zachęty i aprobaty potrzebowali artyści tej klasy?

DOMINIQUE BONA
„GALA. NIEBEZPIECZNA MUZA"
TŁUM. MARIA ŻUROWSKA, NOIR SUR BLANC

„Gala. Niebezpieczna muza" w głębszej warstwie jest zbiorowym portretem zachodnich elit pierwszej połowy XX w., opowieścią o szalonej epoce -izmów, jej luminarzach, samozwańczych prorokach, obsesji nowoczesności i oryginalności. Tytułową bohaterkę Bona traktuje ze zrozumieniem, ale bez nadmiernej sympatii. Cóż, sfinks z Kazania trzymał ludzi na dystans, nie dbając o to, że w ten sposób współtworzy własną czarną legendę.

Na pewno Gala była złą matką. Instynkt macierzyński okazywała tylko dużym dzieciom, czyli mężczyznom, z którymi się wiązała. Stereotyp pozbawionej wdzięku i zimnej jak lód zołzy kłóci się jednak z tworzonym (często przez te same osoby) wizerunkiem nimfomanki, demona seksu i hazardu. Źródła owej niechęci były częściowo polityczne: kawiarniani mędrcy dziwili się, że Rosjanka sympatyzuje z Ameryką i generałem Franco, zamiast wierzyć w marksizm-leninizm.

Przy Dalim nie dało się leniuchować. Gala była jego modelką, asystentką, impresariem oraz tłumaczką (mistrz przekręcał słowa i miał paskudny kataloński akcent). Kupowała farby, pędzle i ramy. Negocjowała oraz podpisywała kontrakty. Trzymała kasę. Z pozoru wszystko ich różniło. On – kapryśny histeryk i gaduła, ona – powściągliwa pedantka. Ze stoickim spokojem znosiła wyskoki małżonka, pielęgnowała jego narcyzm.

Nieśmiały Salvador przy niej nabierał pewności siebie. Paradował w dziwacznych strojach, by stać się chodzącym dziełem sztuki, oczywiście surrealistycznej. Ona poprzestawała na klasycznych kreacjach Coco Chanel. Dalí nie ograniczał się do malarstwa. Poganiany przez pazerną Galę projektował dziwaczne wnętrza, kostiumy kąpielowe, krawaty, biżuterię, popielniczki, wystawy sklepowe, ilustrował książki, nie gardził też udziałem w kampaniach reklamowych.

Nie ulegało wątpliwości, kto dominuje w tym duecie. Z powodu żony Salvador zerwał z rodziną. Płótna podpisywał: „Gala-Dalí". Uwieczniał ją jako Maryję, anioła, świętą i żywy sztandar, jednak w sposób pozbawiony czułości. Z obrazów mistrza patrzy nieładna kobieta o przenikliwym spojrzeniu i zaciśniętych ustach.

Salvador, z natury bojaźliwy, opuścił Katalonię natychmiast, gdy zaczęły się polityczne niepokoje. Drugą wojnę światową (której datę wybuchu Gala ujrzała w kartach) małżonkowie przeczekali w Stanach Zjednoczonych. Odnieśli artystyczny sukces przeliczalny na miliony dolarów. Prostoduszni Jankesi mieli jednak Dalego za wariata, a ją za czarownicę.

OSTATNIA PODRÓŻ

Gala brzydko się zestarzała. Zawsze władcza, oschła i nieufna, z wiekiem stawała się coraz bardziej chciwa i żądna luksusu. Wciąż trzymała się zasady: nigdy nie oglądać się za siebie. Zerwała kontakty z dawnymi znajomymi. Gdy umarł Éluard, nie przyjechała na jego pogrzeb. Unikała też córki, która wielokrotnie próbowała nawiązać z nią kontakt. Napadom złości towarzyszyły rozpaczliwe próby zatrzymania czasu. Operacje plastyczne upodobniły Galę do figury woskowej.

Młodszy o 10 lat „Boski Dalí" publicznie pokazywał się z transseksualną modelką Amandą Lear. Podarował żonie zamek w Púbol, który sama odnowiła i udekorowała. Salvador nie mógł jej odwiedzać bez zaproszenia, dla coraz młodszych kochanków drzwi były szeroko otwarte. Galę męczył zgiełk, otaczający męża megalomana, jego dwór złożony z dziwaków i pochlebców. Nie miała już sił niańczyć Dalego, a on nie mógł na nią patrzeć.

Muza surrealistów zmarła, po długiej agonii, w czerwcu 1982 r. w Port Lligat, oddzielona od łoża Salvadora parawanem. Chciała zostać pochowana w swoim zamku, więc by obejść przepisy sanitarne, ciało cichaczem przewieziono do Púbol i dopiero wtedy ujawniono, że señora Dalí nie żyje. Mąż, pogrążony w depresji, przeżył ją o siedem lat. Niczego już nie namalował.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f269829617

Policjant mnie bije

Piotr Gociek

Na pozór „Miasto jest nasze” to po prostu kolejna opowieść o policji, tyle że wybitna. Stawia jednak poważniejsze pytania

Piękne jest przemówienie doświadczonego policjanta w pierwszej scenie serialu. Mocna, męska mowa o tym, co najważniejsze w pracy dobrego gliniarza. O tym, że brutalność nie ma sensu nie dlatego, że zakazują jej paragrafy, ale dlatego, że jest nieskuteczna: stajesz się wrogiem społeczności, którą masz chronić i z którą musisz żyć w symbiozie. To od nich przecież możesz dostać informacje przydatne w zapuszkowaniu naprawdę złych ludzi: handlarzy narkotyków, sprzedawców broni, morderców.

Mowę wygłasza sierżant Wayne Jenkins, legenda policji z Baltimore, szef jednego z najważniejszych zespołów dochodzeniowych – Gun Trace Task Force (GTTF). Brawa są zasłużone, dobrze mówi. Jest tylko jeden problem: w następnej scenie widzimy, jak tenże sam Jenkins, napotkawszy drobnego żulika pociągającego z flaszki ukrytej w papierowej torbie, nie dość, że bez zastanowienia używa policyjnej pałki, to jeszcze robi to z miną nietykalnego króla okolicy. Z każdego cala tej postaci emanuje przesłanie: „Mogę wszystko”. Nie bez powodu nowy serial Davida Simona nosi tytuł „Miasto jest nasze” („We Own This City”). Nim dobiegnie końca pierwszy odcinek, ujrzymy jednak Jenkinsa w kajdankach. I nie będzie to pomyłka.

KTO TU KOGO KRYJE?

Wayne’a Jenkinsa gra Jon Bernthal i jest to jego najlepsza kreacja w karierze. Czterdziestopięcioletni aktor długo występował głównie w teatrze, kilka lat terminował w telewizji, potem jego kariera przyspieszyła dzięki roli w serialu „The Walking Dead”. Ze względu na aparycję (może nie tylko – za młodu też sporo chuliganił) zwykle jest obsadzany w rolach twardzieli w filmach raczej prostych; konia z rzędem temu, kto wierzył, że jest w stanie pokazać coś więcej.

W serialu „Miasto jest nasze” dostał trudne zadanie, z którego wywiązał się znakomicie. Jego Jenkins to człowiek czyniący zło, brutal i pyszałek, ale jednocześnie postać krucha, niepewna siebie. Jego droga od zakładania kajdanek bandziorom do chwili, kiedy sam zostanie skuty, jest bardzo długa. Serial rozgrywa się w kilku planach czasowych. Widzimy Jenkinsa jako świeżaka zaraz po policyjnej akademii – biednego, ambitnego, czupurnego i uczciwego. Widzimy, jak cieszy się z narodzin kolejnych dzieci i jak równie wielką (jeśli nie większą) radość sprawiają mu efektowne rajdy, po których może się pochwalić kolejnymi rekordami: skonfiskował tyle a tyle spluw, tyle a tyle

eprasa.pl f269829617

Nie bez powodu nowy serial Davida Simona nosi tytuł „Miasto jest nasze" („We Own This City")

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

kilogramów narkotyków. Ale widzimy też, jak wprowadzający go w policyjne życie doświadczony oficer mówi, by zapomniał o wszystkim, czego się nauczył.

Równolegle śledzimy losy Nicole Steele (Wunmi Mosaku), przedstawicielki Departamentu Sprawiedliwości zajmującej się łamaniem praw obywatelskich, która w nowym miejscu pracy orientuje się szybko, że mało gdzie są one łamane tak masowo jak w Baltimore, w dodatku przez lokalną policję. I co najbardziej zastanawiające, mimo rozlicznych skarg (oficjalnych i nieoficjalnych), ulicznych protestów, dochodzeń wewnętrznych oraz głośnych deklaracji polityków nikt nie ponosi za to wszystko odpowiedzialności. Czasem jakiś funkcjonariusz zostaje zawieszony (z prawem do pełnej pensji), czasem przesunięty do innego wydziału, czekać go może ewentualnie wcześniejsza emerytura. A kiedy sprawy nie da się zamieść pod dywan, to zamiast czekania na wyroki szefowie policji wolą szybkie ugody i wypłaty milionowych odszkodowań. Co oznacza, że w dalszym ciągu wyroków dla czarnych owiec brak. Kto tu kogo kryje i dlaczego?

MISTRZOWIE DIALOGÓW

Większe możliwości od Nicole Steele ma kolejna bohaterka serialu, agentka FBI Erika Jensen (w tej roli nasza Dagmara Domińczyk, której dobra passa trwa – dopiero co widzieliśmy ją w serialu „Sukcesja" czy w wytrawnym dramacie „Córka" u boku Olivii Colman). Jensen i jej partner rozpoczną śledztwo, które z każdym kolejnym zakrętem akcji będzie obejmowało coraz szersze kręgi podejrzanych i przynosiło coraz bardziej zdumiewające fakty. Wkrótce do rozwikłania sprawy zostaje powołana cała grupa, korzystająca z podsłuchów, przeczesująca archiwa, prześwietlająca życiorysy (i dochody) funkcjonariuszy oraz uzbrojona w najpoważniejszą broń: cierpliwość. To ma być duża sprawa, to ma być udane śledztwo, to ma być potężny cios w osobników, których zachowanie zostanie porównane w finałowym odcinku do gangsterów z lat 30. Zacznie się od drobiazgu, jednego przekupnego gliny, który powie kilka słów za dużo. A potem, ziarnko po ziarnku, zacznie z tego powstawać wielka i przerażająca układanka.

Produkcja HBO Max oparta jest na głośnej książce non-fiction Justina Fentona, reportera „Baltimore Sun". Wersję serialową przygotował David Simon (z pomocą jednego ze swoich stałych współpracowników, scenarzysty George'a Pelecanosa). Simon to w świecie telewizyjnej rozrywki postać legendarna. Serial „Prawo ulicy" („The Wire") do dziś uznawany jest za jeden z najlepszych w historii, a potem przecież przyszły inne nietuzinkowe osiągnięcia: „Generation Kill", „Treme", „Kroniki Times Square", „Spisek przeciwko Ameryce". „Miasto jest nasze" potwierdza, że cieszy się zasłużoną reputacją.

Simon i Pelecanos to mistrzowie dialogów – realizm opowieści jest powalający, ani przez chwilę nie mamy wrażenia, że cokolwiek napisano po hollywoodzku tylko po to, by zostało wygłoszone przez gwiazdora. Wszystko tu płynie naturalnie, brzmi wiarygodnie, a jednocześnie służy sprawnemu niesieniu wielowątkowej narracji. Chwilami możemy poczuć się zagubieni, kiedy na ekranie zmieniają się lata i miejsca; fabuła skacze w tył i w przód, pojawiają się kolejni bohaterowie, każdemu poświęcone są osobne retrospekcje. Ale to nieważne. Mistrzostwo opowieści polega na tym, że nawet jeśli chwilowo stracimy wątek albo nie będziemy w stanie zrozumieć, gdzie pasuje oglądany akurat kawałek układanki, to i tak będziemy tym, co widzimy, zafascynowani. Zmieniają się świadkowie. Każdy kolejny złamany skorumpowany gliniarz sypie następnego. Wracamy do znanych już zdarzeń, by ujrzeć je w innym świetle, z innego punktu widzenia. Panorama korupcji staje się coraz szersza i coraz bardziej szokująca.

Na pozór „Miasto jest nasze" to po prostu kolejny serial o policji, tyle że wybitny. Powracają tematy, które Simon eksplorował nie tylko w „Prawie ulicy". Jak wygląda codzienne życie tych, od których tak wiele wymagamy, a którymi tak rzadko się przejmujemy? Gdzie leży granica? Do czego może posunąć się stróż prawa, czy są sytuacje, które usprawiedliwiają nagięcie reguł? Czy walka z większym złem usprawiedliwia mniejsze zło?

Pytania o odpowiedzialność tych, którzy albo wydają rozkazy, albo przymykają oczy, muszą prowadzić do świata polityki – tak jest i w nowym serialu Simona

Z kolei pytania o odpowiedzialność tych, którzy albo wydają rozkazy, albo przymykają oczy, muszą prowadzić do świata polityki – tak jest i w nowym serialu Simona. To kolejni burmistrzowie naciskają na oczyszczenie ulic z kryminalistów i zaprowadzenie spokoju w mieście, polityka decyduje też o tym, kto zostanie komisarzem policji. Jest prawda kampanii wyborczych i prawda hm… praktyki codziennej.

David Simon stawia sobie tym razem ambitniejszy cel. Nie chodzi tylko o zdemaskowanie niecnego procederu uprawianego przez stróżów prawa oraz wskazanie podejrzanych polityków. Ważniejsze pytanie brzmi: Dlaczego jest, jak jest? Zwróćmy uwagę, że jest to opowieść o korupcji, ale bardzo nietypowa. Nie ma tu żadnych mafiosów, którzy okręcili sobie wokół palca chciwych oficerów. Nie

eprasa.pl f269829617

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ma gangsterów szantażujących albo opłacających szefów policji czy przedstawicieli ratusza. Zatem jak to wszystko działa i dlaczego?

KAŻDA WOJNA WYMAGA OFIAR

Wróćmy do naszego bohatera, Wayne'a Jenkinsa, który nie jest już ani naiwnym żółtodziobem, ani gliniarzem, któremu zdarza się od czasu do czasu zboczyć z właściwej ścieżki. Jak odkryją agenci FBI, grany przez Bernthala policjant dowodzi własnym małym przestępczym imperium, którego parametry funkcjonowania są ustawione tak, by po pierwsze, były zbieżne z celami komendantów i wydających im polecenia polityków, a po drugie, maksymalnie utrudniały udowodnienie czegokolwiek. Możemy śmiać się z hipokryzji Jenkinsa, który jedną ręką oddaje do magazynu dowodów skonfiskowaną forsę i kokainę, a drugą zagarnia dla siebie sporą część. Kiedy podrzuca dowody, składa fałszywe zeznania. Jak tłumaczy swym kolegom wspólnikom, to, co robią, jest właściwie tylko twórczą interpretacją metod wykonywania policyjnych zadań. Nie dlatego, że władze policji oraz miasta Baltimore popierają łamanie prawa, lecz dlatego, że domagają się od funkcjonariuszy przede wszystkim skuteczności. Jak długo masz wyniki (czytaj: konfiskujesz broń, wysyłasz do pudła handlarzy narkotyków, a twoje działania obniżają kryminalne statystyki), tak długo jesteś bohaterem. Jak długo robisz to sprytnie, tak długo wiele rzeczy nigdy nie wyjdzie na jaw, a nawet jeśli, to korzyści z twoich sukcesów przeważać będą nad ewentualnymi wykroczeniami. Każda bezkarność rozzuchwala, więc zachowanie Jenkinsa i jego kompanów stawać się będzie coraz bardziej zuchwałe i zyskowne. Ale nie na tym polega główny kłopot.

Wspomniana prawniczka Steele eksploruje w swych peregrynacjach po urzędach i mieszkaniach skrzywdzonych obywateli wątek rasowy. Tak, zatrzymywani i brutalnie traktowani są przede wszystkim Afroamerykanie. Ale czy można wszystko zrzucić na systemowy rasizm? Otóż nie. Wśród dobrych i złych gliniarzy są zarówno biali, jak i czarni. Pani burmistrz jest Afroamerykanką, ale kiedy przyjdzie czas, by wydać ekstrapieniądze na oczyszczenie policji z elementów przestępczych, odpowie, że nie wyda ani centa, bo musiałaby zabrać pieniądze z programów socjalnych i pomocowych dla czarnej mniejszości. Oznacza to, że obywatele Baltimore z największej etnicznej mniejszości w mieście dalej będą bici i prześladowani przez policjantów, ale za to nie w drodze do urzędu po zasiłek, tylko do centrum kulturalnego. Tak to jest, kiedy wyborcze mechanizmy dyktują wszystkie decyzje. Zatem jak poprawić sytuację?

Kawę na ławę wyłoży wreszcie emerytowany policjant pojawiający się w dwóch ostatnich odcinkach serialu. Brian Grabler, wykładowca policyjnej akademii (gra go Treat Williams), tłumaczy pani Steele, że żadne głośne dochodzenia, czystki, procesy i aresztowania i tak niczego nie zmienią. Winą za rozbicie zaufania między policją a obywatelami obciąża hasło wojny z narkotykami. Gdy prowadzisz wojnę, po drugiej stronie nie masz tych, których chronisz, ale wrogów. A kiedy padają trupy, tłumaczysz, że każda wojna wymaga ofiar. Prowadzi nas to w samo centrum dyskusji nagłaśnianej z jednej strony przez domagającą się legalizacji narkotyków lewicę, z drugiej przez chcących tego samego libertarian. Ale przypomnijmy, że wielce konserwatywny autor thrillerów Frederick Forsyth też udowadniał w swojej powieści „Cobra”, że w tej wojnie są jedynie dwa wyjścia: albo zabrać się do niej na serio, to znaczy uderzyć – właśnie w wojenny sposób – bezlitośnie w producentów i handlarzy, ryzykując, że ulice całego świata spłyną krwią (Czy społeczeństwa Zachodu są na to gotowe? Oczywiście, że nie), albo wybrać drugie wyjście – odpuścić. Jak bardzo? Gdzie nakreślić granicę? Nie sądzę, by David Simon wysuwał hasło „Kokaina dla wszystkich”, ale od tej dyskusji uciec się nie da. Temat wielce kontrowersyjny, wiem.

WOLNOŚĆ CZY BEZPIECZEŃSTWO

„Miasto jest nasze” okazuje się więc finalnie opowieścią o konflikcie fundamentalnym dla zachodnich społeczeństw liberalnych. Ci sami obywatele, którzy domagają się jak największych swobód, domagają się jednocześnie bezpieczeństwa. Nie czas tu i miejsce na powrót do tez Hobbesa i jego przeciwników, bo przecież liczba tomów na ten temat jest niezliczona. Pisał niedawno na łamach „Wszystko Co Najważniejsze” prof. Michał Kleiber, że nie należy pytać, co jest ważniejsze – wolność czy bezpieczeństwo. Właściwe pytania to: „Jaką część mojej wolności mogę poświęcić, aby zwiększyć bezpieczeństwo innych ludzi?” oraz „Jaką część mojego bezpieczeństwa mogę poświęcić, aby zwiększyć poczucie wolności u innych ludzi?”. Wedle profesora to z kolei oznacza konfrontację z dotykającym fundamentu ludzkiej moralności pytaniem: „Co mogę zrobić, aby pomóc innym?”. „Służyć i chronić” – pamiętacie? Jasne się staje, dlaczego do tych rozważań tak wdzięcznym narzędziem stają się rozważania o policji. Każdej policji, nie tylko tej skorumpowanej i nie tylko tej z Baltimore.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

★★★★★☆

„MIASTO JEST NASZE” („WE OWN THIS CITY”)
USA 2022

wyst. Jon Bernthal, Wunmi Mosaku, Dagmara Domińczyk
HBO MAX

eprasa.pl f269829617

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

Wywiad z lotnikiem, który zbombardował Hiroszimę!

Jacek Bartosiak – **Atomowe groźby Putina**
David Holloway – **Wielka bomba Stalina**
Grzegorz Janiszewski – **Świat na krawędzi apokalipsy**
Wiktor Suworow – **Zabójczy urok „Tatiany"**
Tymoteusz Pawłowski – **Jak działa bomba atomowa**
Mikołaj Iwanow – **Wielka czystka w Mińsku**
Tomasz Stańczyk – **Nadbałtyckie Zakopane**
Rafał A. Ziemkiewicz – **Polemika z Mearsheimerem**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl f269829617

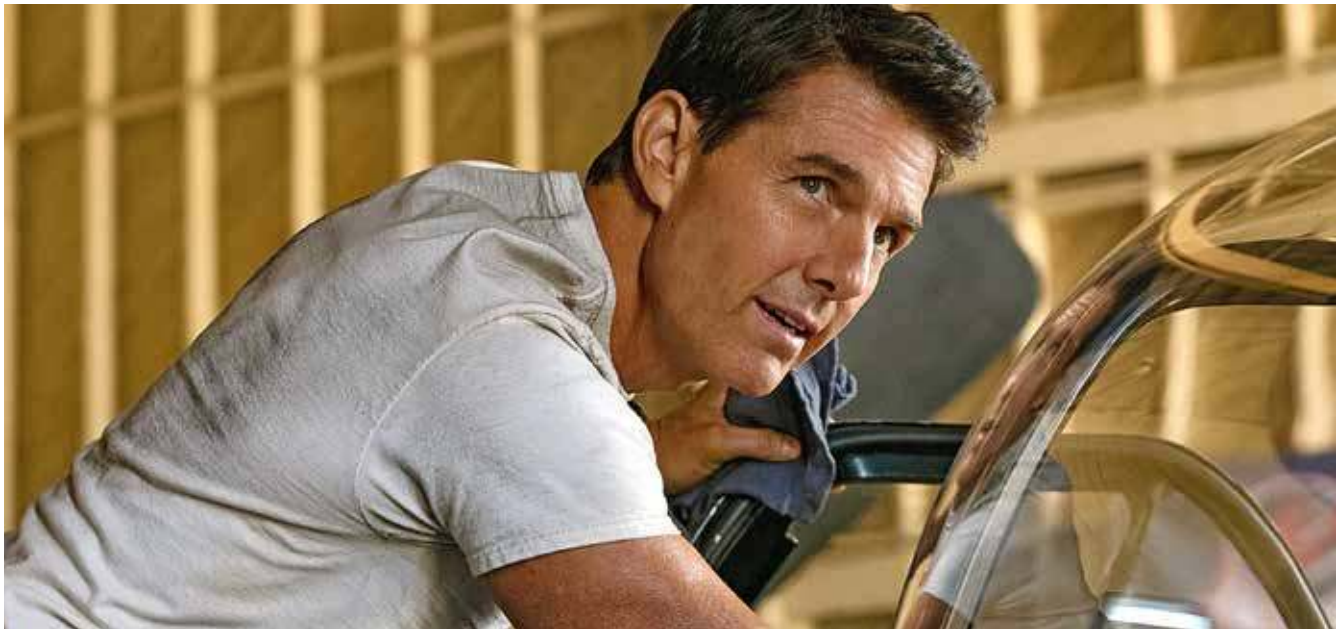

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

KINO

Leć, Tom, leć!

★★★★☆☆

REŻ. JOSEPH KOSINSKI
„TOP GUN: MAVERICK"
USA 2022

wyst. Tom Cruise, Miles Teller, Jennifer Connelly, w kinach

Oryginalny „Top Gun" Tony'ego Scotta był filmem kasowym, ikonicznym, kultowym i niezbyt dobrym (oraz wdzięcznym obiektem parodii). „Maverick" jest filmem lepszym. Reżyser Joseph Kosinski (plus pięciu scenarzystów) zostawił to, co dobre: szybkie samoloty, ekscytującą akcję, muzykę Harolda Faltermeyera (wzbogaconą przez Hansa Zimmera), powiew patriotyzmu oraz charyzmę Toma Cruise'a. Odpuścił natomiast zalatujące homoerotyczną fascynacją sceny z udziałem owiniętych w ręczniki umięśnionych młodzianów i fetysz ich torsów. Z jednym wyjątkiem, bo rozgrywką futbolu na plaży pozwolił sobie nawiązać do słynnej partii siatkówki plażowej w „Top Gun". Zrobił to jednak głównie po to, by dać okazję 60-letniemu gwiazdorowi do zademonstrowania klaty wyrzeźbionej równie dobrze jak przed dekadami.

Pete „Maverick" Mitchell wraca do akademii asów już nie jako pilot, lecz jako instruktor. To koniec jego służby, ostatnie zadanie, na którego wykonanie nalega dawny rywal z kursu, dziś admirał, Tom „Iceman" Kazansky (Val Kilmer). Cel to zbombardowanie wrogiej instalacji jądrowej, dziwnym trafem da się to zrobić jedynie w sposób zadziwiająco przypominający samobójczy lot rebeliantów z „Gwiezdnych wojen" wśród wieżyczek obrony Gwiazdy Śmierci. Sprawa poważna, w dodatku wśród szkolonych pilotów znajduje się Bradley „Rooster" Bradshaw (Miles Teller), czyli syn „Goose'a" Bradshawa (który zginął w pierwszym filmie). Wątek miłosny zapewnia Jennifer Connelly, która pojawia się jako postać, o której w jedynce jedynie mówiono (opowieści o córce admirała Benjamina, której mocno zawrócił w głowie uroczy „Maverick"). To dobry wybór, bo między Cruisem a Connelly iskrzy równie mocno, jak w silnikach F-18.

Film Kosinskiego podzieli publikę, można go pokochać jako arcydzieło eskapizmu albo z niego kpić; to wielka dawka hollywoodzkiego kiczu, lecz przecież kiczu na najwyższym realizacyjnym poziomie (pod koniec trochę w duchu Bondów albo „Mission: Impossible"). Ten eskapizm ma chwilami zalety dawnych produkcji Hollywood, dialogi są dużo lepsze niż w oryginale, a kiedy trzeba, zamiast dialogów dostajemy po prostu powłóczyste spojrzenia gwiazd. Tak to się robi, kiedy film ma być męską bajką. No i kiedy ma zarobić naprawdę duże pieniądze. ©℗

NOWE SERIALE: „IRMA VEP"

Nowa wersja jednego z najciekawszych filmów francuskich lat 90. Miniserię dla HBO nakręcił autor oryginału, Olivier Assayas, powracając do swego konceptu, za który chwalony był w Cannes (1996) i kinach studyjnych całego świata. Film w filmie, metafikcja: amerykańska aktorka (Alicia Vikander) o nadszarpniętej reputacji i w depresji po burzliwym rozstaniu gra główną rolę w nowej wersji wampirycznej klasyki kina niemego. Nie będzie to zwykła rola, a i obyczaje gwiazdy zaczną się niebezpiecznie zmieniać. ©℗ ***Piotr Gociek***

• ***reż. Olivier Assayas „Irma Vep", USA 2022, wyst. Alicia Vikander, Adria Arjona, Carrie Brownstein***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

• *sezon 3* ***„For All Mankind"***, *USA 2022* tv+

• *reż. Jeremiah Zagar* ***„Rzut życia" („Hustle")***, *USA 2022*

• *sezon 5* ***„Lepsze życie" („Better Things")***, *USA 2022* HBO

eprasa.pl f269829617

Kochany papa

KINO

Gdy dzieci zadają niewygodne pytania, dorośli nabierają wody w usta. Czy to możliwe, żeby Claudio, człek małomówny, nieśmiały i sentymentalny, miał coś wspólnego z ndranghetą – lokalną odmianą mafii? Chiara chce jednak wiedzieć, dlaczego auto uwielbianego tatusia spłonęło jak pochodnia, a on sam ulotnił się jak kamfora i to w dniu, gdy jej starsza siostra świętowała urodziny. Gdy zbuntowana 15-latka domaga się prawdy, musi ją dostać na tacy, córka Claudia jest zaś w dodatku wścibska, agresywna i uparta jak kalabryjski osioł. Nie da się zbyć ani spacyfikować. Jonas Carpignano, nadzieja włoskiej kinematografii tudzież pieszczoch jurorów festiwalu w Cannes, znów nakręcił film pozornie nieefektowny, wystawiający cierpliwość widza na ciężką próbę. Zanim narracja ruszy z kopyta, wydaje się kręcić wokół własnej osi. Psychologiczną wiarygodność reżyser osiągnął w nader prosty sposób: rodzinę gra autentyczna familia. Z wyjątkiem tytułowej bohaterki wszyscy noszą prawdziwe imiona. Lubię historie, które pozostawiają cień niepewności, odrzucając pokusę moralizowania, unikając zarazem wpadnięcia w pułapkę cynizmu. Na marginesie: prawo, pozwalające rozbijać rodziny, uznane za przestępcze, dobrze wpisuje się w tradycję sięgającą czasów, gdy pewien Włoch odkrył, że cel może uświęcać środki. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★☆☆☆

REŻ. JONAS CARPIGNANO
„CHIARA" („A CHIARA")
WŁOCHY 2021
wyst. Swamy Rotolo, Claudio Rotolo, Carmela Fumo

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WINONA FOREVER

arte

Johnny Depp broni w sądzie resztek swojej reputacji. A co słychać u jego byłej? Wróciła do łask widzów bocznymi drzwiami jako znerwicowana mamuśka w serialu „Stranger Things". Winona Ryder od 2001 r., gdy przyłapano ją na kradzieży w sklepie odzieżowym, grała ogony. Show-biznes, podobnie jak natura, pustki nie znosi, więc szybko znalazła się następczyni w osobie Natalie Portman. Symbolicznym aktem przekazania pałeczki był wspólny występ obu pań w „Czarnym łabędziu". Winona oprócz urody wniosła na ekran autentyzm. Niestety, zbuntowaną nastolatką można być najwyżej przez dekadę. W dokumencie, poświęconym wzlotom i upadkom muzy „generacji X" ekwiwalentem psychicznego rozchwiania są komiksowe animacje. Karierę Ryder komentują jej biograf, reżyser filmu, w którym debiutowała, oraz autorki podcastu, promującego się hasłem, które Depp wytatuował sobie ongiś na ramieniu: „Winona Forever".

★★★☆☆☆

REŻ. LUKAS HOFFMANN
„WINONA RYDER: MISTRZYNI, OUTSIDERKA" („WINONA RYDER. DIE GEISTER. DIE SIE RIEF")
NIEMCY 2021

SAMA W DOMU

KINO

Miał być dreszczowiec, a wyszło przestylizowane kino terapeutyczne z elementami horroru. Choć trzeba przyznać, że przemawia przezeń duch czasów. Zaczyna się przewrotnie od piosenki sławiącej miłość, po czym ujawnione zostają fatalne skutki uczuciowego wzmożenia. W rankingu dzieł dowartościowujących kobiety film z pewnością zajmie wysoką pozycję. Męska publiczność (zwłaszcza część bez skłonności masochistycznych) będzie mniej zachwycona. Panowie pojawiający się na ekranie są bowiem, co do jednego, popaprańcami, którzy próbują wpędzić panie w poczucie winy, by nimi manipulować. Bohaterka, próbując odreagować zgon małżonka, wynajmuje domostwo na skraju wsi. Dla mieszkanki Londynu to zmiana zbyt radykalna. Jessie Buckley ma w sobie coś, ale „MEN" nie wytrzymują porównania ze starym, ale jarym „Wstrętem" Polańskiego. ©℗ ***Wiesław Chełminiak***

★★★☆☆☆

REŻ. ALEX GARLAND
„MEN"
WIELKA BRYTANIA 2022
wyst. Jessie Buckley, Rory Kinnear, Paapa Essiedu

GRA TYGODNIA: „KANGUREK KAO" (2022)

★★★☆☆☆

Dawno temu to nie wiedźmin, a kangur był symbolem polskiego gamedevu. W stworzoną nad Wisłą platformówkę 3D „Kangurek Kao" zagrywali się posiadacze takich (dziś retro) konsol jak Dreamcast, GameCube, Game Boy Advance, PS2. Czy powrót po latach jest udany? No nie do końca. Kolorowe, ciekawie zaprojektowane plansze i kilka puszczonych oczek dla znających poprzednie odsłony to jednak za mało, by kangur z Polski znów mierzył się z najlepszymi przedstawicielami gatunku. Na starcie gra ma też sporo błędów (np. znikające save'y!), które twórcy obiecali poprawiać w łatkach. ©℗

Radosław Wojtas

- ***Gatunek:*** *Platformówka 3D*
- ***Platforma:*** *XSX, XONE, PS5, PS4, NS, PC*
- ***Producent, wydawca:*** *Tate Multimedia, Cenega*

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl f269829617

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Wielki mały człowiek

W 2005 r. w setną rocznicę urodzin Arthura Koestlera jedną z zaledwie dwóch konferencji mu poświęconych urządzono w rodzinnym mieście pisarza – Budapeszcie, skąd wyjechał w wieku 14 lat. Węgrzy uhonorowali go obywatelstwem swej stolicy, wzniesiony też został jego pomnik. Z kolei na uniwersytecie w Edynburgu, któremu autor sztandarowego dzieła antykomunistycznego, za jakie uchodzi „Ciemność w południe", przekazał cały swój niemały majątek w zamian za stworzenie katedry parapsychologii (!), usunięte zostało popiersie darczyńcy, po tym jak Jill Craigie opowiedziała, że Koestler siłą zmusił ją do stosunku seksualnego. Niezależnie od tego, że ofiara rzekomego gwałtu przypomniała sobie o nim wiele lat po śmierci sprawcy, wiele kobiet będących partnerkami pisarza akcentowało, że stosował on przemoc, będąc przekonanym, że dodaje ona seksowi pikanterii, co zresztą – jak wynika z imponującego dossier jego erotycznych podbojów – wiele jego partnerek akceptowało. Naturalnie, nie wszystkie.

Zarzucano też Koestlerowi odpowiedzialność za śmierć żony, 20 lat od niego młodszej Cynthii. Małżonkowie popełnili razem samobójstwo w 1983 r., popijając alkoholem środki nasenne. Nic nie wskazuje na to, by decyzję tę chory na białaczkę i cierpiący na chorobę Parkinsona pisarz wymusił na Cynthii, niemniej zdarzenie to wywarło wpływ na postrzeganie Koestlera jako seksisty, alkoholika zainteresowanego narkotykami, histeryka i megalomana, do tego wszystkiego propagującego teorie wysoce podejrzane z naukowego punktu widzenia.

Jednak pozostała też o nim pamięć jako o wybitnym pisarzu, więzionym przez generała Franco w Hiszpanii i w czasie wojny przez

FOT. FRED STEIN ARCHIVE/GETTY IMAGES

Francuzów w obozie dla niepożądanych cudzoziemców, niegdyś gorliwym komuniście, później zaś krytyku komunizmu oraz wszystkich innych totalitaryzmów. Znającym każdego liczącego się człowieka swojej epoki, choć raczej niemającym przyjaciół. Mimo powtarzających się sporów ideowych utrzymywał on np. kontakty z Sartre'em, może dlatego, że stanowili oni – jak powiada Michael Scammell – „jednoosobowe partie", tyle że „Koestler nie widział żadnych zalet ZSRS – Sartre tak samo myślał o USA". Nie cierpiała natomiast Koestlera Simone de Beauvoir, po części pewnie ze względu na brutalność czynionych jej przez niego, po pijanemu, awansów.

Był obywatelem świata i poliglotą, mieszkającym latami w Anglii, Francji, USA, w Austrii i Izraelu. Odwiedził też w 1932 r. Sowiety, ale wtedy był jeszcze gorliwym komunistą, który „nie zauważał" głodu na Ukrainie, donosił na ludzi w GPU i nie wahał się wykonywać zadań zleconych mu przez Komintern. Sześć lat później wystąpił z partii, a potem zrobił bardzo wiele, by zaszkodzić komunie.

Michael Scammell, angielski biograf twórcy „Ciemności w południe", przypomina że Anthony Burgess, sam „długoletni emigrant, wkrótce po śmierci Koestlera doszedł do wniosku, że chociaż Koestler »wzbogacił literaturę angielską«, stał się obywatelem brytyjskim i kochał swój przyszywany kraj, »nigdy do końca nie rozumiał Brytyjczyków ani brytyjskiego robotnika«, jak na przykład Orwell, który zresztą wiele mu zawdzięczał". A dziennikarz Hyam Maccoby, zresztą krytyk Koestlera, twierdził, że był on „Żydem aż po sam czubek nosa, nie tylko pod względem wyglądu fizycznego, lecz także sposobu myślenia".

Już na drugiej stronie prologu, wydanej przez PIW, liczącej ponad 750 stron napisanej przez Scammella biografii Koestlera, przeczytałem, że bohater dzieła, podobnie „jak wielu niskich mężczyzn (mierzył zaledwie 170 cm) był wyjątkowo rywalizacyjny i bezwzględnie waleczny, szybko się obrażał i niechętnie przebaczał". Zdziwiłem się, sam mam bowiem ledwie pięć centymetrów więcej, a za liliputa nigdy się nie uważałem. Z dalszego ciągu biografii dowiedziałem się, że Koestler już w szkole był najniższy, a gdy rozmawiał z wyższymi chłopcami, nieświadomie stawał na palcach. Podobnie działo się na studiach, gdzie znany był jako „karzeł". I tak te utyskiwania na niski wzrost przyszłego autora „Ciemności w południe" powtarzają się wielokrotnie, aż w końcu trafiamy na scenę, w której Koestlera w stronę syjonizmu popycha o 30 cm wyższy od niego Wolfgang von Weisl, młody lekarz i dziennikarz. Słowem, jak rozumiem, dwumetrowiec. A może przydałaby się bardziej wnikliwa korekta tej opasłej książki (PEN Club uznał ją za najlepszą biografię 2009 r.) traktującej o facecie, do którego jak ulał pasuje refren dawnego przeboju grupy Dwa Plus Jeden:

Wielki mały człowiek
Zalękniony tak i dumny jak paw
Wielki mały człowiek
Prorok lepszych dni niepewnych spraw. ©℗

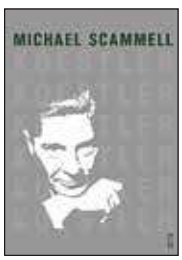

★★★★☆☆

MICHAEL SCAMMELL „KOESTLER. LITERACKA I POLITYCZNA ODYSEJA DWUDZIESTOWIECZNEGO SCEPTYKA"
PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY, WARSZAWA 2022

eprasa.pl f269829617

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Każda istota

Zdradzi nas wszechświat astronomia / rachunek gwiazd i mądrość traw" – pisał w wierszu „Do Marka Aurelego" Zbigniew Herbert. „Pamiętniki Hadriana" Marguerite Yourcenar to list dużo obszerniejszy, do tego samego adresata. Dzieło życia francuskiej pisarki – arcydzieło, nie waham się użyć tego słowa – utrzymane jest w podobnym melancholijnym tonie. Stojący nad grobem Hadrian dokonuje rachunku sumienia. Patrzy na świat i swe dzieło z perspektywy człowieka u kresu i tego kresu świadomego. Sprawia to, że patyna nostalgii i rozczarowania pokrywa nawet te najradośniejsze chwile – pierwsze podróże, fascynacje, miłości.

Jak streścić tę opowieść? Takie pytanie czyni czytelnika i krytyka bezradnym. Bo jak streścić życie? Zgrabną frazą na nagrobku? Skrupulatnym wyliczeniem zasług i win? Jawi nam się Hadrian jako figura pozytywna, a zarazem tragiczna: przekonany, że świat czyni lepszym miejscem, odkrywa, że dla niego samego ratunku nie ma. Czy to przekleństwo czy akt poświęcenia – jest dla Yourcenar cesarz figurą faustowską, czego pisarka nie kryje w arcyciekawym posłowiu.

Ale to też tylko ułomne przybliżenie, „wszystko się nam wymyka i wszyscy, i my sami", dodaje kawałek dalej. Im bardziej studiowała czasy i dzieło Hadriana francuska pisarka, im więcej wiedziała, tym bardziej się wymykał, nie dlatego, że kronikarze podają sprzeczne interpretacje faktów, ale dlatego, że w naturę życia jest wpisana owa nieuchwytność. Czemuż przejmować się tak Hadrianem? „Każda istota, której przyszło przeżyć dolę ludzką, jest mną" – wyznaje Yourcenar. Jest to więc powieść o doli człowieczej; kwestia tego, ile w powieści cesarza, pisarki, kogokolwiek innego, jest doprawdy drugorzędna.

Czytać można tę powieść tak jak „Rozmyślania" Marka Aureliusza – na wyrywki, zatrzymując się przy wybranych fragmentach dla piękna, z jakim je napisano, albo by podążyć za jednym z wywodów bohatera. Powieść życie, powieść kontrastów, wszystko marność nad marnościami, ale nie unieważnia to piękna, poezji i miłości; wszystko pożre czas, lecz nie wymazuje to win. „Szukałem bardziej wolności niż potęgi, zaś potęgi tylko dlatego, że po części sprzyja ona wolności" – pisze Hadrian. Ale wolności nie dla swawoli, lecz by znaleźć miejsce, „w którym nasza wola jest spojona z losem, w którym dyscyplina wspomaga naturę, miast ją hamować". Życie jest wyzwaniem. ©℗

★★★★★★
MARGUERITE YOURCENAR „PAMIĘTNIKI HADRIANA" KARAKTER 2022

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Powieściowa mozaika ułożona już po 1945 r. z opowiadań, które powstawały w okresie międzywojennym. Surowa ocena postaw Niemców czasów Republiki Weimarskiej, ważne uzupełnienie w polskiej recepcji autora „Lunatyków".

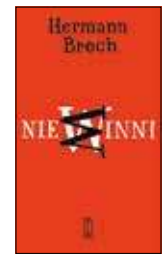

HERMANN BROCH „NIEWINNI" PIW

Nowa powieść cenionego australijskiego pisarza; na pierwszym planie dramat rodzinny (troje rodzeństwa próbuje ocalić matkę przed śmiercią), na drugim, jednak nie mniej ważnym, medytacja nad losem umierającej planety.

RICHARD FLANAGAN „ŻYWE MORZE SNÓW NA JAWIE" WYDAWNICTWO LITERACKIE

Handlowo-gospodarcze tło dziejów Polski do 1572 r. (tom pierwszy), intrygująca praca autora znanego m.in. z „Do Rzeczy". Dlaczego nie udało się zachować tego, co osiągnięto w handlu od czasów Łokietka? Co zmienił protestantyzm?

JAKUB WOZINSKI „OD UJŚCIA WISŁY PO MORZE CZARNE" PROHIBITA

Powieść otwierająca obszerny cykl, którego akcja rozgrywa się w XXVI stuleciu. Kolonizująca kosmos ludzkość próbuje rozwiązać zagadkę wyginięcia niemal milion lat wcześniej obcej cywilizacji Amarantinów. ©℗

poleca Piotr Gociek

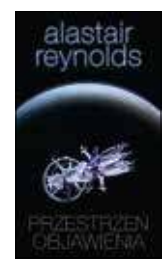

ALASTAIR REYNOLDS „PRZESTRZEŃ OBJAWIENIA" MAG

KOMIKS TYGODNIA: „ZAGOR. PROLOG"

Wydawana od 1961 r. seria „Zagor" zaczęła się jak spaghetti western, by zamienić się w opowieść o superherosie. Jej bohater, syn irlandzkich osadników w Ameryce, szybko nabrał cech niemal nadludzkich, a potem zaczął wikłać się w przygody rodem z fantastyki i horroru. „Prolog. Clear Water" to narysowana na nowo opowieść o pochodzeniu bohatera. Poznajemy też przeszłość Mike'a i Betty Wildingów (rodziców młodego Pata – później Zagora). Cykl to klasyka włoskiej popkultury, seria bardzo popularna także m.in. w krajach byłej Jugosławii i w Turcji. ©℗

BURATTINI, DI VINCENZO, PICCIONI „ZAGOR. PROLOG. CLEAR WATER" WYDAWNICTWO TORE 2022

poleca Piotr Gociek

eprasa.pl f269829617

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Konserwacja z bliska

Podziwiamy obrazy. A ramy? Omiatamy wzrokiem, czasem przyznamy – ładna – ale to pewnie wszystko. A tymczasem obraz bez ramy istnieć nie może. „Co do ram, nie należy mieć wątpliwości, że są one potrzebne, po pierwsze dlatego, że stanowią ochronę obrazów od zewnętrznych uszkodzeń, a następnie dlatego, że przydają obrazom majestatu", zauważał Giulio Mancini, lekarz papieża Urbana VIII.

FOT. SONIA BOBER

Na pierwszej z cyklu wystaw „Z bliska. Spotkania z konserwacją" ramy są głównymi bohaterkami. No może na równi z tymi, którzy o nie dbają. Bo z ramami, drodzy Państwo, jak z obrazami – wymagają uwagi, czujnego oka i sprawnej ręki. A także pokory względem obiektu muzealnego. Pozłotnik to bez wątpienia artysta. Ale musi się on umieć podporządkować poddawanemu konserwacji obiektowi.

W Muzeum Narodowym w Poznaniu, w którym można oglądać wystawę „Rama do obrazu", od 30 lat działa Pracownia Konserwacji Ram i Pozłotnictwa. O konserwację starego i tworzenie nowego obramienia dba tam sześcioosobowy zespół fachowców. ©℗

GDZIE? ***Muzeum Sztuk Użytkowych w Zamku Królewskim w Poznaniu***
KIEDY? ***do 18 września***

FOT. O. JANDO-DZIEDZIC, J. DOBRZAŃSKI

SMOK PO PIĘĆDZIESIĄTCE

Pomnik Smoka Wawelskiego to młodzieniaszek w stosunku do pierwowzoru, ale 50. rocznica jego powstania i tak zasługuje na świętowanie. Jeden z najbardziej rozpoznawalnych symboli Krakowa jest także najbardziej znanym dziełem rzeźbiarza, medaliera, malarza i grafika Bronisława Chromego. W ogrodach Zamku Królewskiego na Wawelu prezentowane są rzeźby plenerowe, przekrój zaś całej twórczości artysty oglądać można w ramach wystawy w Autorskiej Galerii Bronisława Chromego w parku Decjusza w Krakowie. ©℗

GDZIE? ***Kraków***
KIEDY? ***do 30 września***

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Radiowy uśmiech

Odkładając pracę nad nową płytą Radiohead, Thom Yorke i Jonny Greenwood założyli supergrupę, The Smile, której trzecim członkiem jest fantastyczny perkusista zespołu Sons of Kemet Tom Skinner. Nazwa zespołu pochodzi od tytułu wiersza angielskiego poety Teda Hughesa.

W piosence „Open the Floodgates" Thom Yorke ironicznie podśpiewuje: „Nie zanudzaj nas, przejdź do refrenu. […] Chcemy dobrych kawałków, bez waszych bzdur i bez bólu serca". Te wersy muzycy Radiohead słyszą od wydania albumu „OK Computer" w 1997 r. Na debiucie The Smile wciąż nie ma jednak ani jednego refrenu i bardzo dobrze. Natomiast słychać na nim fascynację Greenwooda współczesną klasyką, skomplikowane linie gitar rodem z King Crimson, mgławicowe syntezatory oraz jazzującą w tle sekcję dętą. Ta ostatnia jest zasługą Skinnera, który dodatkowo wybija skomplikowane motoryczne rytmy. W tym kotle brzmień świetne orzeźwienie stanowi post-punkowy „You Will Never Work in Television Again". Leniwe, rozwijające się, smutniejsze utwory mają charakterystyczne dla Radiohead niepokój, strach, gniew i napięcie.

Yorke i Greenwood wreszcie nie są obciążeni koniecznością przekraczania własnych możliwości i wychodzi to płycie na korzyść. Niezależnie od tego, co czeka The Smile w przyszłości, ich debiutancki album jest czymś więcej niż tylko interesującą przerwą w twórczości ambitnych muzyków. ©℗

★★★★★★
THE SMILE
„A LIGHT FOR ATTRACTING ATTENTION"
XL

★★★★★☆
LYLE LOVETT
„12TH OF JUNE"
VERVE

Były mąż aktorki, Julii Roberts, powraca po 10 latach przerwy z orkiestrą Large Band do żywiołowego, swingującego grania. Z uśmiechem i żartem wykonuje standardy jazzowe i bluesowe oraz rozdzierające serce teksańskie ballady. Słuchanie płyty to czysta przyjemność.

★★★★★☆
BELLE & SEBASTIAN
„A BIT OF PREVIOUS"
MATADOR

Najlepsza od 20 lat płyta septetu z Glasgow. Dramaty Stuarta Murdocha zaludniają wrażliwi marzyciele i poszukiwacze. Muzycznie obracamy się w świecie balladowego rocka z lat 70., białego soulu i innych retro nawiązań. Wszystko to podszyte jest uroczymi melodiami i pięknymi wokalnymi harmoniami. ©℗

eprasa.pl f269829617

FOT. MONIKA STOLARSKA

Teatr skeczów meczących Jędrzeja Piaskowskiego

Grzegorz Kondrasiuk

Żal mi Czechowa. Najbardziej szkoda jego postaci, tak jak szkoda innych dawnych dzieł sztuki, których dziś nie umiemy odczuć i zrozumieć, bo straciliśmy potrzebną do tego wrażliwość

Anton Czechow jest po prostu nasz, jest własnością całego świata, jak każdy genialny twórca. Po tak długiej historii obecności w kulturze polskiej nie musimy go traktować jako autora rosyjskiego i chyba nikogo od dawna nie interesuje wystawianie jego dramatów jako sławetnych opowieści o rosyjskiej duszy i melancholii.

Dlatego żal mi Czechowa, tak po ludzku, kiedy biorą się za niego twórcy w rodzaju Jędrzeja Piaskowskiego. Reżyser ten wypracował metodę obróbki, którą można potraktować w zasadzie każdy nowożytny utwór literacki z fabułą, postaciami i konfliktami, choć najlepiej nadają się te z gatunków patetycznych: tragedie, powieści, melodramaty, opowiadające o miłości, śmierci i dramacie egzystencji. Obróbka polega na wystawieniu czegoś z klasyki w manierze skrajnie komediowej, np. w klimacie i jakości polskiego kabaretu, w rozpiętości stylistycznej zaczynającej się od kabaretu Koń Polski, poprzez Grzegorza Halamę, a na Jurkach i Skeczach Męczących kończąc. Reżyseria taka polega na urządzeniu specyficznego konkursu pomiędzy aktorami: wygrywa ten, kto najbardziej skompromituje i obśmieje swoją postać, zagrywając się do granic żenady i udając człowieka niespełna rozumu, przy pomocy kostiumologa, choreografa i kompozytora. Peruki, zaczeski, pożyczki, okulary w rogowych oprawach, za duże lub za małe garnitury, sukienki, garsonki – jakbyśmy już gdzieś to widzieli, aha, w Polsacie i na TVP Kabarety. Przecież do Czechowa pasują znana piosnka „Świat nie wierzy łzom" i pseudonaiwne choreografie i monologi rodem z nieudacznego teatrzyku szkolnego. Do tego dodajemy jakiś element groteskowy, np. aktorkę w kostiumie kury, uczestniczącą w akcji, grającą na instrumentach, odzywającą się znienacka w ważnym momencie. Podkreślamy najgrubszą z możliwych kresek teatralność teatru, pokazujemy, że rekwizyty są sztuczne, scenografia udaje świat, a drzwi prowadzą donikąd. Wybieramy źle brzmiący, anachroniczny przekład Sandauera. Następnie wplatamy kilka scen granych na serio i psychologicznie (aktorzy przecież to umieją doskonale) – no i mamy to.

Tak właśnie, w telegraficznym skrócie, wygląda spektakl „Komedia. Wujaszek Wania", zrealizowany w Teatrze Zagłębia z Sosnowca. I teraz, jako adwokat diabła, mógłbym zapytać – ale przecież Czechowowi nieobce były żywioł niski oraz ironia, ośmieszał niektóre swe postacie i ich małe egzystencje. Może Piaskowski znalazł do Czechowa najbardziej współczesny język, taki, który przyswoją młodziaki wychowane na TikToku? Że przyswoją tanie chwyty, gagi i skecze – nietrudno przewidzieć. Ale byłoby świetnie, gdyby pod spodem znajdowała się jeszcze jakaś warstwa, poza tyleż trafną, co banalną konstatacją, że świat bywa śmieszny, głupi i bez sensu. I po co w ogóle zapraszać do tej roboty autora?

Ale nie tylko dlatego żal mi Czechowa. Najbardziej szkoda jego postaci, tak jak szkoda innych dawnych dzieł sztuki, których dziś nie umiemy odczuć i zrozumieć, bo straciliśmy potrzebną do tego wrażliwość. Albo – jak szkoda zniszczonych pięknych budowli, skradzionych obrazów, spalonych partytur. Szkoda Wujaszka, Astrowa, Soni, Heleny, o których myślach i czynach można sobie to i owo pomyśleć, wychodząc z teatru. Nie zagrał ten przedziwny kwartet miłosnych niespełnień i rozczarowań, szkoda aktorów, którzy nie mogli zbudować tej delikatnej, precyzyjnej konstrukcji. Czechow według Piaskowskiego, przepisany na mało śmieszny kabaret z obcą mu, tanią ironią, przestaje być materiałem dla teatru z prawdziwego zdarzenia, takiego z rolami, niuansami, splatającego sensy, przekazującego namysł. Owszem, można interpretować sens tej inscenizacji, jest to łatwe. Cytując Wujaszka, w gładkiej frazie z przekładu Jarosława Iwaszkiewicza, to „rzeczy, jakie mądrzy od dawna wiedzą, a głupi wiedzieć nieciekawi". Ot, taka sobie, reżyseria po słowach kluczowych. Zaakcentowane, wyciągnięte z dramatu, powtórzone nawet, żebyśmy przypadkiem nie przegapili, są myśli o przyszłości, zderzone z poglądami Astrowa o konieczności sadzenia lasów, co ma ewokować nastrój katastroficzny. Oprócz niego nieco prawa do świadomości otrzymują Wujaszek Wania i Helena (świetnie wymykający się z nałożonych ograniczeń Tomasz Muszyński i Mirosława Żak), jedynie ta trójka zdaje się rozumieć cokolwiek. Reszta znaczeń tekstu jest właściwie unieważniona. To świat tuż przed końcem świata, kiedy logika, prawo (a także staroświeckie przywiązanie do sensu słów) przestają obowiązywać. Ponad dwie godziny spektaklu, godna szacunku praca aktorów Teatru Zagłębia – i sens, który można streścić w kilku zdaniach. To o wiele za mało. ©℗

ANTON CZECHOW, „KOMEDIA. WUJASZEK WANIA"
TEATR ZAGŁĘBIA W SOSNOWCU
REŻYSERIA: JĘDRZEJ PIASKOWSKI
DRAMATURGIA I OPRACOWANIE TEKSTU: HUBERT SULIMA
PREMIERA: 11 CZERWCA 2021 R.
POKAZ NA WARSZAWSKICH SPOTKANIACH TEATRALNYCH: 24 CZERWCA 2022 R.

eprasa.pl f269829617

KISSINGER O UKRAINIE dwugłos DO RZECZY

Sklerotyczny realizm Kissingera

Rafał A. Ziemkiewicz

Wybitni teoretycy rzadko są dobrymi praktykami. Henry Kissinger, którego wystąpienie na Światowym Forum Gospodarczym w Davos wzbudziło ogromny rezonans w światowych mediach, może służyć jako jeden z przykładów tej prawidłowości

FOT. WORLD ECONOMIC FORUM / VALERIANO DE DOMENICO

Kissingerowi uznanie przyniosły przede wszystkim jego książki i wkład w rozmaite przedsięwzięcia akademickie i eksperckie. Praktyczne owoce jego polityki są jednak dla Ameryki gorzkie. Kompromitujące zakończenie wojny w Wietnamie, otwarcie Chinom drogi do zbudowania mocarstwowości i rzucenia wyzwania amerykańskiej dominacji, opóźnienie upadku Związku Sowieckiego o dobre 10 lat… Zbulwersowani tezami wygłoszonymi przez Kissingera w Davos mogą się pocieszyć, że nie ma obawy, by poza światkiem medialno-akademickim ktokolwiek je w Ameryce podchwycił.

REALIZM A CENNIK LUDZKI

Mniejsza zresztą o dawniejsze błędy byłego wpływowego sekretarza stanu, mające zresztą swój wspólny mianownik w konsekwentnym przecenianiu dobrej woli i racjonalności myślenia kolejnych przeciwników USA. Jego ogląd sprawy ukraińskiej dowodzi, że Kissinger zwyczajnie nie nadąża już za faktami i buja w świecie postulowanym. Szkoda, niestety, że w ten sposób uwiarygodnia polityczne iluzje, oddalając perspektywę wyzbycia się przez Zachód złudzeń co do Rosji.

Zarazem jest Kissinger dobrym przykładem słabości pewnego rodzaju politycznego realizmu, który kieruje się wyłącznie zimno pojmowanymi kalkulacjami, zupełnie ignorując „czynnik ludzki". Kalkulowanie na chłodno zysków i strat oczywiście „nie jest nauką łatwą ani małą", szczególnie dla nas, Polaków. Niemniej pamiętać trzeba, że polityka to nie szachy: tworzą ją żywi ludzie, którzy, w przeciwieństwie do szachowych figur, mają swoje słabości, obsesje, idiosynkrazje. Politycy podejmują decyzje, kierując się bagażem tradycji, która ich wychowała, zbiorowych emocji, które wyniosły ich do władzy, presją oczekiwań społeczności lub grup, którym przewodząc, zarazem są od nich zależni. A nawet jeśli starają się kierować tylko zimno pojmowanymi interesami, często zupełnie nietrafnie te interesy postrzegają lub popełniają po prostu błędy, nawet kardynalne, działając na szkodę własną i własnych państw, w głębokim przekonaniu, że jest wręcz przeciwnie.

Mówiąc krótko, jest z polityką podobnie jak z gospodarką, która, jak w genialnym skrócie określał to śp. Krzysztof Dzierżawski, nie jest lokomotywą, tylko mrowiskiem – co znaczy, że jej cykle nie powtarzają się automatycznie, według niezmiennych reguł, tylko wynikają z milionów codziennie dokonywanych przez jednostki subiektywnych wyborów, których ostateczną wypadkową może przesądzić symboliczne dla matematyki chaosu nieprzewidziane machnięcie skrzydełkami przez motyla na drugim kontynencie.

Dlatego zarówno uprawianie, jak i rozumienie polityki (nie tylko gospodarczej – każdej) jest sztuką. A do sztuki sama wiedza nie wystarcza. Gdyby było inaczej, przywódców kształcono by po

eprasa.pl f269829617

prostu na kierunkach „prezydentura", „ministerstwo spraw zagranicznych" etc., wybierałoby się absolwentów z celującymi wynikami egzaminów i świat dawno już byłby rajem.

Przepraszam, jeśli te uwagi wydadzą się komuś banalne – ale warto powiedzieć sobie kilka banałów, by nie wpadać w pułapkę nakładania na świat swoich oczekiwań. A zarówno dawne działania Kissingera, jak i jego postulat, by „nie dążyć do zniszczenia Rosji" i dogadać się z nią na gruncie wspólnoty interesów, są właśnie przykładem takiej pułapki.

Rzecz znana jest na tyle, że chyba możemy zrezygnować tu ze szczegółowych streszczeń, wystarczy wskazać generalną oś myślenia starego teoretyka. Punktem wyjścia jest dla niego założenie, że Ameryka potrzebuje Rosji jako sojusznika przeciwko Chinom, a Rosja potrzebuje jako sojusznika przeciwko Chinom Ameryki. Jeśli Rosja zostanie pozbawiona znaczenia, Chiny urosną nadmiernie, to nastąpi zachwianie światowej równowagi, a to musi doprowadzić do nieszczęść.

BŁĘDNE ZAŁOŻENIA

Problem, którego sędziwy realista nie zauważa, polega na tym, że geopolityka, którą kieruje się Rosja, jest zupełnie inna od „euklidesowej", by tak rzec, geopolityki Zachodu – z racjonalnego punktu widzenia jest po prostu paranoją. Rosja jest według siebie samej unikalną, wielką cywilizacją, której Zachód nienawidzi właśnie dlatego, że jest wielka i unikalna, i chce jej odmienność za wszelką cenę zniszczyć. W związku z tym otacza ją na różne sposoby, spiskuje, by podstępem, przekupstwem i przemocą opanowywać kolejne sąsiadujące z nią kraje pod pozorem ich „demokratyzowania", i szykuje Rosji ostateczną zagładę.

Nie miejsce tu na dokładny wykład o rosyjskiej paranoi, zresztą nasi czytelnicy wiele o tym wiedzą dzięki kolejnym przeglądom rosyjskich mediów dostarczanym im przez Macieja Pieczyńskiego. Dość stwierdzić, że nikt w Rosji nie myśli w sposób, jaki zakłada Kissinger. Wrogiem i zagrożeniem Rosji jest zawsze i zawsze będzie Zachód, a więc NATO. Zagrożenia ze wschodu ani południa, ze strony Chin i świata islamu, Rosja nie dostrzega. Przeciwnie, wszystkie cywilizacje rywalizujące z Zachodem uważa za swojego naturalnego sprzymierzeńca.

Realizm Kissingera jest więc oparty na błędnym założeniu. Podobnie jak swego czasu realizm Chamberlaina, zakładającego, że po zrealizowaniu deklarowanego celu, czyli zebraniu w jednym niemieckim państwie wszystkich obszarów zamieszkanych w większości przez Niemców, Hitler stanie się istotnym i obliczalnym elementem europejskiej równowagi. Albo, z drugiej strony, swoisty realizm samego Hitlera, który zakładał, że Anglicy nie będą z nim walczyć na śmierć i życie, bo jako potomkowie Normanów są naturalnymi sojusznikami ludów germańskich.

Czemu pozwalam sobie dyskredytować sędziwego, ale przecież zasłużonego i piastującego kiedyś wysokie godności eksperta z taką pewnością siebie? Ponieważ fałszywość jego założeń została już udowodniona w praktyce, co on sam najwyraźniej przegapił. Teoria Kissingera była już realizowana – to w imię pozyskiwania sojuszników przeciwko Chinom pogodziły się przecież USA jesienią ubiegłego roku z budową symbolizowanej przez Nord Stream 2 osi Berlin – Moskwa i zgodziły się wycofać na jej rzecz z Europy oraz uszanować jej „strefę wpływów".

Gwałtowną zmianę polityki administracji Bidena przyniosło uświadomienie sobie, że ustępstwo dało skutki przeciwne do założonych. Wszelkie kolejne próby „kupienia" Rosji do sojuszu antychińskiego Rosja przyjmie jako objawy słabości Ameryki i uzna za powód do wzmożenia wojny przeciwko Zachodowi, w której postrzega Chiny jako sojusznika.

Wniosek jest więc prosty: skoro Rosja wybrała rolę junior partnera Chin przeciwko Zachodowi, a nie Zachodu przeciwko Chinom, to należy ją maksymalnie wykrwawić i osłabić, aby niewiele mogła Chinom pomóc, a Zachodowi zaszkodzić. A że traci się przez to wymarzonego sojusznika? Trzeba będzie szukać innego. Tak się składa, że wszystkie rosnące w siłę państwa Azji są w mniejszym lub większym stopniu zantagonizowane z Chinami, czują się przez nie zagrożone i ewentualne włączenie ich w sojusz z Zachodem może dać dużo więcej niż postulowane przez stare pokolenie realistów przekupywanie Rosji ofertą uznania jej za sprzymierzone mocarstwo regionalne.

Amerykanie zdali sobie chyba także sprawę, że Niemcy nie nadają się na ich partnera w Europie. Są bowiem nie tylko uzależnione od Rosji, lecz także w jeszcze większym stopniu – o czym w ubiegłym tygodniu pisał w szeroko relacjonowanym, niezwykle jak na niemieckie stosunki krytycznym wobec własnego rządu artykule „Der Spiegel" – od Chin. Postulowane w imię podtrzymania równowagi „uszanowanie interesów Rosji" w praktyce prowadzi więc do stworzenia silnego antyamerykańskiego bloku chińsko-rosyjsko-europejskiego. A to już jest perspektywa absolutnie dla Ameryki nieakceptowalna. Jedyną zaś metodą zaradzenia jej jest dokładnie to, przed czym w imię swojego realizmu przestrzega Kissinger. Trzeba wykrwawić i maksymalnie osłabić, a w dalszej perspektywie pokonać Rosję, wypychając ją jak najdalej na wschód z Europy i wyrywając z jej orbity coraz bardziej w ostatnich latach satelickie wobec Kremla „mocarstwa europejskie", Niemcy i Francję. To drugie, mówiąc nawiasem, otwiera fantastyczną koniunkturę międzynarodową dla Polski – obyśmy mieli dość rozumu, by ją dostrzec i choć w części wykorzystać.

Jako widać, słowo „realizm" może oznaczać zupełnie różne podejścia. W moim przekonaniu realizm polega na tym, żeby przyjmować do wiadomości fakty, nawet nieoczekiwane czy przeczące żywionym do niedawna przekonaniom. Otóż faktem, udowodnionym przez Putina rankiem 24 lutego 2022 r., jest to, że Rosja prowadzi wojnę przeciwko Zachodowi jako takiemu, a NATO i USA w szczególności; i że prowadziła ją skrycie od dawna oraz zamierza prowadzić do zwycięskiego końca. A ponieważ do wojny nie trzeba dwojga, wystarczy jednostronna agresja, Zachód po prostu jest na wojnie z Rosją. Nieprzyjmowanie tego faktu do wiadomości i wmawianie sobie, że nadal rozgrywamy na chłodno jakieś geopolityczne szachy, prowadzić musi do przegranej.

Realizm czasu wojny kieruje się zaś zasadą, że nie ma strat tak wielkich, których nie byłoby warto ponieść, jeśli dzięki nim uniknie się strat jeszcze większych w przyszłości. Tę zasadę wszyscy przywódcy, liderzy opinii i eksperci Zachodu, także w Polsce, powinni napisać sobie nad biurkiem i podkreślić grubą, podwójną linią. Jednocześnie wyrzucając do śmietnika tezę ukutą w czasach zimnej wojny przez zachodnią lewicę i powtarzaną dziś sklerotycznie przez Kissingera, że warunkiem światowego pokoju jest zaproponowanie Rosji korzystnych dla niej warunków współistnienia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f269829617

FOT. VALERIANO DE DOMENICO/WORLD ECONOMIC FORUM

KISSINGER dwugłos DO RZECZY O UKRAINIE

Realista wielkiej szachownicy

Łukasz Warzecha

Czy Henry Kissinger, przedstawiciel realistycznego nurtu w polityce międzynarodowej, faktycznie wypowiedział w Davos straszliwą herezję? I jak jego podejście ma się do polskiego interesu?

Słowa Henry'ego Kissingera, wygłoszone (zdalnie) na Forum Ekonomicznym w Davos, a dotyczące wojny na Ukrainie, wywołały wzburzenie. A już szczególnie w Polsce, gdzie podejście do agresji Rosji na Ukrainę jest wyjątkowo emocjonalne. Liczącego sobie niemal sto lat byłego sekretarza stanu i głównego doradcę do spraw bezpieczeństwa prezydentów Richarda Nixona i Geralda Forda oskarżono o kapitulanctwo, wtrącanie się w wewnętrzne sprawy Ukrainy, a także – to już polska specyfika, gdzie oponenta się często deprecjonuje, zamiast zwalczać jego tezy – o zdziadzienie i idącą za tym niezdolność do ogarnięcia umysłem pełni wydarzeń.

Przypominano także, że to sam Kissinger był architektem odprężenia na linii Waszyngton – Pekin, które umożliwiło ostatecznie zastąpienie w Radzie Bezpieczeństwa ONZ Tajwanu przez Chiny ludowe w 1971 r. oraz przeniesienia uznania dyplomatycznego USA na Chińską Republikę Ludową w 1979 r. przy zachowaniu amerykańskich zobowiązań do obrony dawnej Formozy. Krytycy zarzucają sędziwemu dyplomacie, że teraz uważa, iż zbyt silne naciskanie na Rosję wepchnie ją całkowicie w chińskie objęcia, a to Chiny są dla Ameryki naczelnym przeciwnikiem, podczas gdy trochę ponad 50 lat temu sam wciągnął ChRL na dobre w orbitę światowych spraw, wprowadzając na drogę obecnej rywalizacji z USA. To jednak zasadnicze nieporozumienie. Pięćdziesiąt lat temu Chiny były Ameryce potrzebne jako równowaga dla Związku Sowieckiego, z którym relacje Chin były gorsze, niż dzisiaj są między Pekinem a Moskwą. Kissinger miał zaś do sprawy podejście pragmatyczne. W swojej pomnikowej „Dyplomacji", wydanej w 1994 r., pisał tak:

„O stosunkach z Chinami mówiono później na Zachodzie jako o »chińskiej karcie«, jakby rzeczywiście Waszyngton mógł kształtować politykę nieustępliwych władców z Zakazanego Miasta. W istocie to Chińczycy sami grali swoją kartą albo takiej karty w ogóle nie było. Rola amerykańskiej polityki polegała na ustanowieniu konstrukcji wzajemnych stosunków, w których obie strony gotowe były udzielić sobie poparcia tam, gdzie ich interesy były zbieżne".

GRA INTERESÓW

Ważne są zwłaszcza te ostatnie słowa. Kissinger jako praktyczny przedstawiciel realistycznego nurtu w polityce międzynarodowej, wywodzącego się od takich klasyków jak Hans Morgenthau czy Kenneth Waltz, widział i widzi nadal porządek międzynarodowy w kategoriach przede wszystkim interesów państw. Dlatego słowa krytyki prezydenta Zełenskiego, skierowane do Kissingera po jego wypowiedzi – że wielcy geopolitycy nigdy nie dostrzegali zwykłych ludzi – były kompletnie bez sensu. Geopolityka, nieodmiennie łącząca się z realistyczną koncepcją stosunków międzynarodowych, nie jest – jakkolwiek cynicznie by to brzmiało – od zajmowania się losem pojedynczych ludzi. Takie podejście wręcz zakłóca obraz, jak to nazywał Zbigniew Brzeziński, wielkiej szachownicy.

Można oczywiście powiedzieć, że ta metafora, której Brzeziński użył jako tytułu jednej ze swoich książek („Grand Chessboard", 1997), nie ma już racji bytu, bo przecież szachownica zakłada istnienie określonych reguł, gdy tymczasem Rosja wszelkie reguły złamała. Byłby to jednak powierzchowny argument. Ta gra zasadza się na założeniu, że nie ma gwarancji, iż jakiekolwiek reguły zostaną zachowane poza najbardziej podstawowymi, takimi jak pacta sunt servanda (aczkolwiek nawet ta zasada nie obowiązuje bezwzględnie). Na wielkiej szachownicy grano z tyranami, takimi jak Hitler i Stalin – i wygrywano.

Tu warto przypomnieć, co pisał Brzeziński – bliższy zdecydowanie nurtowi idealistycznemu niż Kissinger – we wstępie do wspomnianej książki: „Ostatecznym celem polityki amerykańskiej powinna być szlachetna wizja stworzenia świata opartego na międzynarodowej współpracy, zgodnego z długoterminowymi tendencjami dziejowymi i fundamentalnym interesem ludzkości. A tymczasem najważniejsze zadanie polega na tym, aby w Europie i Azji nie pojawił się żaden współzawodnik zdolny zdominować ten kontynent. I rzucić wyzwanie Ameryce".

Tak idealistycznie sformułowane cele byłyby dzisiaj bliskie romantykom, zachęcającym Ukrainę, aby nie oddawała ani centymetra kwadratowego swojego terytorium w granicach sprzed 2014 r. Tak

eprasa.pl f269829617

się składa, że te maksymalistyczne cele są na rękę przynajmniej części amerykańskiego establishmentu, co bardzo wyraźnie zaznaczył w ostatnich dniach prezydent Joe Biden, oznajmiając, że nie będzie namawiał Kijowa do żadnych ustępstw terytorialnych. Trudno nie dostrzegać, że Stany Zjednoczone toczą swoją wojnę ukraińskimi rękami. Taki jest ich interes. Ich – niekoniecznie stuprocentowo nasz, nawet jeśli część wspólna jest duża.

HEREZJA? CZYŻBY?

Czy zatem Kissinger faktycznie wypowiedział straszliwą herezję? I jak jego podejście ma się do polskiego interesu? Zacząć trzeba od poważnego argumentu przeciwko Kissingerowskim tezom, ważnego z naszego, polskiego punktu widzenia: powinniśmy zwalczać pokusę większych i mocniejszych od nas, aby w ekstremalnych okolicznościach rozporządzać polskim terytorium i ewentualnymi polskimi ustępstwami. Dlatego trudno mieć pretensję do rządzących, że pod tezami Kissingera się oficjalnie nie podpisują. Nie oznacza to jednak, że nigdy żadne ustępstwa nie mają sensu albo że nacisków by nie było. Rzeczywistość międzynarodowa jest, jaka jest, a celem państwa jest jak najefektywniejsza ochrona swojego terytorium i swoich obywateli, czasem nawet kosztem ustępstw w tej pierwszej sferze. Musimy jednak starać się tak kształtować międzynarodową opinię, żeby ostatecznie była to w jak największym stopniu nasza własna decyzja.

Ten argument odnosi się jednak tylko do oficjalnych reakcji na słowa byłego sekretarza stanu, a nie do ich treści. Tę już nie tak łatwo odrzucić. Chyba że zamiast analizy przykłada się do niej miarę oficjalnego entuzjazmu i hurraoptymistycznych tweetów, których obfitość jest na polskim Twitterze. Mowa tam o pokonaniu Rosji, wybiciu jej zębów, złamaniu kręgosłupa – tyle że nie za bardzo wiadomo, jak miałoby to zostać dokonane i co w praktyce miałoby oznaczać.

Tymczasem sytuacja wojenna po ponad trzech miesiącach wygląda tak, że Rosja, jakkolwiek ograniczając swoje cele i z wielkim wysiłkiem, jednak robi postępy na wschodzie Ukrainy. Realnym celem staje się zatem zahamowanie jej ofensywy na granicy Donbasu, a nie odzyskanie czegokolwiek, cóż dopiero terenów zajętych w 2014 r. Zełenski tego oczywiście głośno powiedzieć nie może, bo nastroje społeczeństwa ukraińskiego są bardzo bojowe, ale przecież także to świetnie wie. W tej sytuacji koncepcja Kissingera, aby za pożądany uznać status quo ante, czyli zasięg kontroli rosyjskiej sprzed 24 lutego, zaczyna się jawić jako wręcz korzystna dla Ukrainy.

Z tym łączy się drugi wątek wypowiedzi amerykańskiego dyplomaty, czyli powojenna sytuacja Rosji. Kissinger – inaczej niż nasi romantycy – uważa, że Rosja jest niezbędna jako swoisty element równowagi, a zbyt mocne na nią naciśnięcie może oznaczać niemożliwe do opanowania skutki dla całego regionu albo i dalej. Może były sekretarz stanu, którego zawodowe życie trwało w czasach chwiejnej równowagi sił, w tych obawach przesadza. Wiele osób w Polsce uznałoby, że lepiej by nam było bez Rosji na wschodzie lub przynajmniej z Rosją bardzo mocno osłabioną. Problem w tym, że nawet to znaczące osłabienie może być albo w ogóle nieosiągalne, albo osiągalne tak gigantycznym kosztem dla Zachodu, a już zwłaszcza dla Polski, że nasz kraj na tym najzwyczajniej już nie skorzysta.

Rosja jest państwem ogromnym i o gigantycznych zasobach, którego obywatele są w dużej części przyzwyczajeni do życia w podłych warunkach. Na nich zachodnie sankcje wrażenia nie robią, a zasoby własne Rosji pozwolą jej trwać długo. Biedniej, bez kontaktu z Zachodem, opierając się na przestarzałych technologiach, ale jednak. Nie jest zresztą nawet rozstrzygnięta kwestia nowych rynków zbytu dla rosyjskich surowców w Chinach i Indiach. Może się okazać, że jakkolwiek wpływy ze sprzedaży tam ropy i gazu nie są tak znaczne, jak były ze sprzedaży na Zachód, a do tego dojdą problemy infrastrukturalne, wynikające z sankcji, to jednak daleko będzie Rosji do finansowego krachu, malowanego w optymistycznych wypowiedziach polskich i zachodnich idealistów. Odcięcie od zachodnich technologii może też oznaczać – przed tym wydaje się przestrzegać Kissinger – uzależnienie Moskwy na tym polu od Pekinu. Jest właściwie pewne, że tam, gdzie dotąd Rosja korzystała z zachodnich rozwiązań, nie mając własnych, teraz spróbuje sięgać po chińskie. A Chińczycy zapewne chętnie skorzystają. Krachu Rosji nie będzie – będzie uzależnienie od Pekinu.

A gdyby Rosja miała nawet niejako zniknąć, jak życzą sobie niektórzy, to co w zamian? Kto zająłby tę przestrzeń i wypełnił lukę? Czy mamy na to jakikolwiek plan, jakąkolwiek koncepcję? Nawet jeśli Kissinger znaczenie Rosji tutaj przecenia, to jednak prowokuje trafne pytania.

Z polskiego punktu widzenia jest jeszcze jedna zasadnicza kwestia, uparcie pomijana przez rządzących we wszystkich wystąpieniach na temat wojny na Ukrainie: Jak długo wytrzyma Polska? Nie wystarczy tradycyjna, wiecowa odpowiedź, że „benzyna może być nawet po 10 zł, byle bomby nie spadały" (zresztą to życzenie w pierwszej jego części może się już niedługo spełnić). Również ze względu na nasze zaangażowanie stoimy u progu bezprecedensowego kryzysu gospodarczego, największego w historii III RP. Jego społeczne skutki, a także dla naszych zdolności budowania własnego bezpieczeństwa, wydają się mało kogo w elicie władzy zajmować. Czy stać nas na to, żeby konflikt ciągnął się miesiącami, a może i latami? Czy wyznaczyliśmy sobie punkt graniczny, poza którym nasze straty przewyższą zyski? Kissinger swoich słów nie wygłaszał z pewnością z myślą o Polsce, ale powinny nas one skłonić do zadania sobie i tych pytań.

Dla większości polskich elit, ogarniętych zapałem budowania nowej rzeczywistości, wypowiedź Kissingera była nieprzyjemnym zgrzytem. Jakby ktoś puścił gazy w wytwornym towarzystwie, prześcigającym się w moralizatorskich tyradach. Dla takich ludzi dysonansem nie tylko jest Kissingerowski realizm w ocenie sytuacji, lecz także za natrętne psucie podniosłego nastroju uznają coraz głośniejsze pytania o to, jak z reżimem sankcyjnym mają sobie poradzić jego polskie ofiary. Ci, których nie stać na węgiel do ogrzewania domów, którzy muszą zamykać firmy z powodu cen gazu, którzy nie mają pieniędzy na benzynę, żeby dojechać do pracy w wykluczonych komunikacyjnie regionach. To takie nieeleganckie pytać o takie sprawy, kiedy walczymy z Putinem i nadymamy się swoją moralną wyższością nie tylko nad Hiperborejczykami, lecz także Niemcami czy Francuzami.

W „Dyplomacji" Kissinger przywołuje słowa jednego z najwybitniejszych mężów stanu wszech czasów, kard. Armanda Jeana du Plessis de Richelieu: „Człowiek jest nieśmiertelny, jego zbawienie oczekuje go w życiu pośmiertnym. Państwo nie jest nieśmiertelne, a jego zbawienie jest dziś albo nigdy". Można odnieść wrażenie, że nasi liderzy o tej twardej prawdzie zapomnieli i gonią za iluzją geopolitycznego zbawienia, kompletnie nie licząc się z kosztami. Głos starego wygi światowej dyplomacji powinien był ich otrzeźwić.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f269829617

Nowa misja

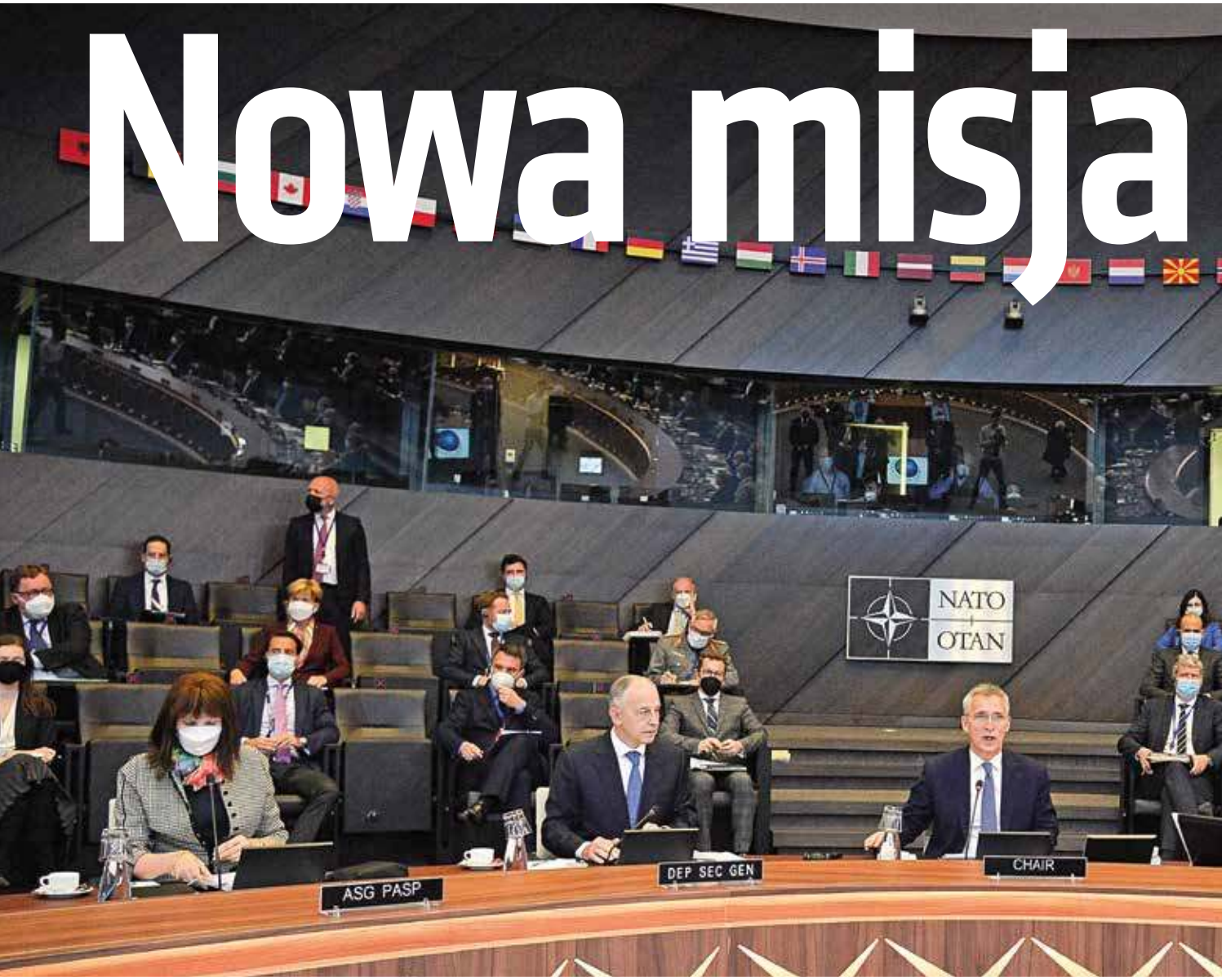

Jan Parys

Sojusz północnoatlantycki potrzebuje nowej doktryny obronnej i nowej polityki zbrojeń. Konieczna jest długofalowa odpowiedź na politykę rosyjskiej agresji

Minęły raptem trzy lata od kiedy Emmanuel Macron ogłosił śmierć mózgową NATO. Europa miała być jego zdaniem bezpieczna, a sojusz niepotrzebny. Kraje flanki wschodniej protestowały. Kraje starej Unii z pogardą odnosiły się do opinii Polski i krajów bałtyckich, które ostrzegały przed zagrożeniem ze strony Rosji. W 2022 r. Putin pomógł rozstrzygnąć ten spór. Agresja Rosji na Ukrainę udowodniła, że to prezydent Francji ma kłopot z analizą rzeczywistości i głęboko się myli.

Po 30 latach od zakończenia zimnej wojny Rosja odrzuciła politykę odprężenia i resetu w Europie. Zrezygnowała z polityki kooperacji z Zachodem. Ukraina nie zagrażała Rosji, a mimo to stała się obiektem niesprowokowanej agresji w celach imperialnych. Tym postępowaniem Rosja przekreśliła wszelkie dotychczasowe porozumienia z NATO. Nie można dalej udawać, że one obowiązują. Od 24 lutego 2022 r. Europa jest zatem w nowej sytuacji, którą trzeba nazwać wprost fazą międzynarodowej konfrontacji. Mamy do czynienia nie tylko z agresją militarną. Należy pamiętać, że już dwa miesiące wcześniej – 17 grudnia 2021 r. – Rosja przedstawiła państwom zachodnim ultimatum geopolityczne. Zażądała zmiany status quo w Europie, czyli powrotu do sytuacji z czasów ZSRS. USA i NATO miałyby ograniczyć swoje wpływy w Europie, a Europa Środkowa miałaby być znów sferą wpływów rosyjskich. Zarówno rosyjskie żądania geopolityczne, jak i rosyjska agresja militarna tworzą zupełnie nową sytuację

eprasa.pl f269829617

NATO

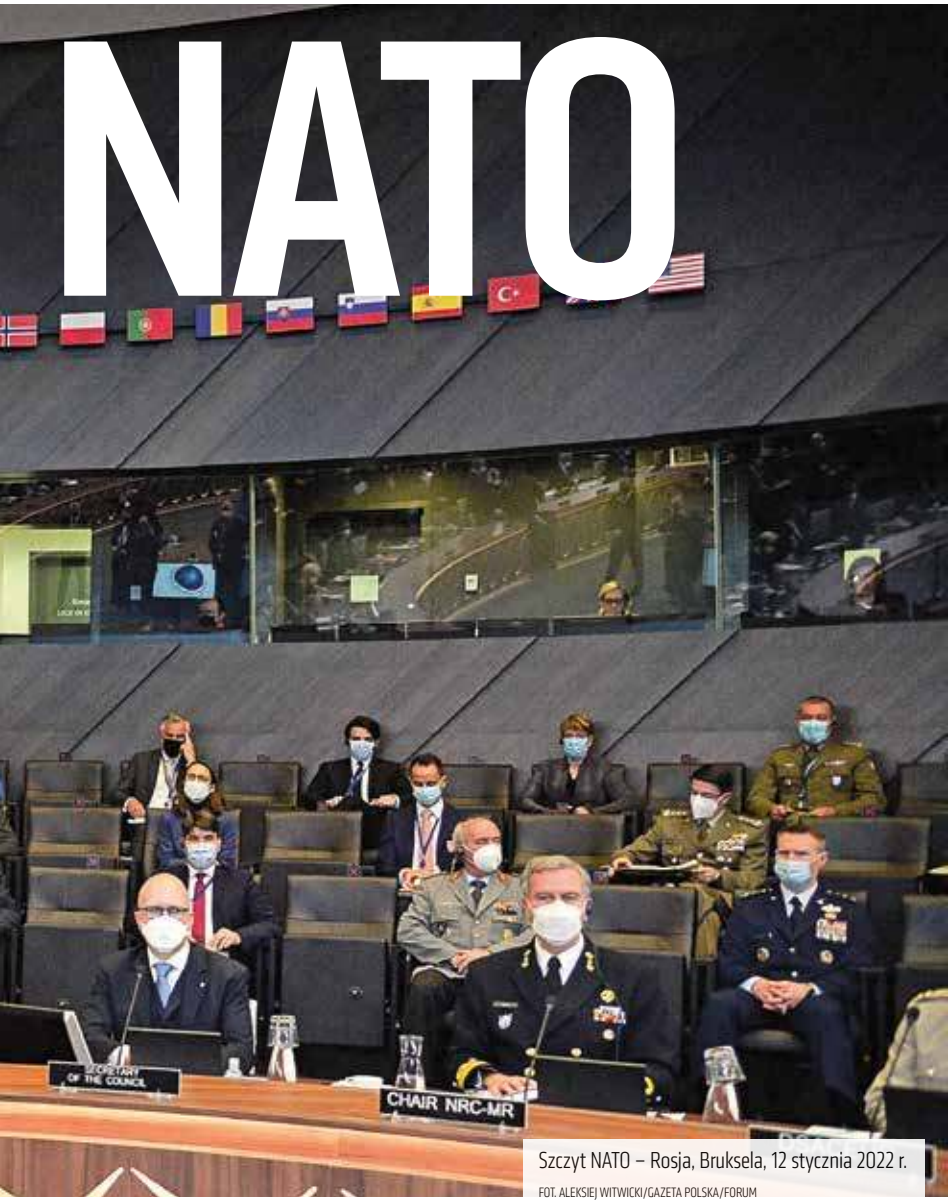

Szczyt NATO – Rosja, Bruksela, 12 stycznia 2022 r.

FOT. ALEKSIEJ WITWICKI/GAZETA POLSKA/FORUM

Warunkiem skutecznego działania sojuszu nie jest jedynie dysponowanie siłami militarnymi przez poszczególne kraje. Konieczne jest zgodne współdziałanie

w dziedzinie bezpieczeństwa na naszym kontynencie.

NOWA SYTUACJA

W nowej sytuacji sojusz potrzebuje nowej doktryny obronnej i nowej polityki zbrojeń. Konieczna jest długofalowa odpowiedź na politykę rosyjskiej agresji. Od lat fundamentem bezpieczeństwa NATO było odstraszanie, dzięki zasadzie obrony zbiorowej. Mówi ona, że żaden członek sojuszu nie zostanie sam, kiedy zostanie zaatakowany. Wkład każdego kraju w zdolności obronne ma być proporcjonalny do jego potencjału gospodarczego.

Doktryna Reagana przewidywała, że każdy kraj na świecie, który broni swej wolności przed komunistycznym najazdem, może liczyć na pomoc USA. Stan walk na Ukrainie pokazuje, że państwa Unii Europejskiej nie byłyby w stanie bez pomocy USA obronić Ukrainy przed Rosją, nawet mobilizując cały swój potencjał. Bliskie więzi militarne Europy z USA są więc koniecznością. Celem Reagana była nie tylko obrona sojuszników z NATO, lecz także powstrzymanie rosyjskiej ekspansji na świecie, czyli zbrojnego rozprzestrzeniania się wpływów Rosji. Z podobną sytuacją mamy do czynienia obecnie. Ukraina nie jest członkiem NATO, ale otrzymuje wsparcie wielu państw zachodnich, by zatrzymać zbrojną ekspansję Rosji. Obecnie stoi bowiem przed Zachodem takie samo zadanie jak za czasów Reagana. Dziś nie wystarczy bronić ludności i terytorium państw sojuszu. Aby to było możliwe, konieczny jest potencjał militarny, który pozwala na utrzymanie linii zaopatrzenia przez Atlantyk, jest w stanie blokować działania lotnictwa i marynarki rosyjskiej, pozwala neutralizować rosyjskie ataki rakietowe i pozbawi Rosję możliwości prowadzenia agresji.

NIE WYSTARCZY BROŃ

Warunkiem skutecznego działania sojuszu nie jest jedynie dysponowanie siłami militarnymi przez poszczególne kraje członkowskie. Konieczne jest zgodne współdziałanie, a to oznacza, że wszelkie konflikty między sojusznikami powinny być wygaszone. Nie ma miejsca na spory, bo te osłabiają zdolność do kooperacji militarnej. Jest absolutnie wykluczone, by kraje sojusznicze z powodu różnic ideologicznych ingerowały w politykę wewnętrzną innych państw członkowskich. Jeżeli tak się dzieje, to znaczy, że konkretni politycy nie rozumieją zagrożeń, nie zdają sobie sprawy, co oznacza traktowanie bezpieczeństwa jako priorytetu, nie rozumieją wyzwań naszej epoki. Troska o bezpieczeństwo oznacza, że sojusznicy zgodnie współpracują, mimo że poszczególne państwa są rządzone przez różne partie – ugrupowania liberalne, socjalistyczne lub konserwatywne, bo godzimy się z tym, że każdy kraj ma swój typ gospodarki i demokracji. Nie ma jednego obowiązującego w świecie zachodnim modelu demokracji ani jednego właściwego modelu gospodarki rynkowej. Na tym polega wolność.

Jest sprawą zrozumiałą, że sojusz nie ujawnia swoich planów obronnych. Jednak przeciwnik powinien wiedzieć nie tylko o naszej gotowości do walki, lecz także o tym, że otrzyma odwet o skali proporcjonalnej do rozpoczętego ataku. Sojusz powinien rozbudowywać siły konwencjonalne, bo to jest jedyny sposób, by odsuwać konieczność użycia

eprasa.pl f269829617

broni nuklearnej i używać jej dopiero w odpowiedzi na rosyjskie uderzenie nuklearne. Sojusz ma lepiej niż dotychczas informować społeczeństwa o skali rosyjskich zbrojeń, o agresywnym charakterze rosyjskich ćwiczeń, o rozmieszczeniu i liczebności wojsk rosyjskich w Europie, o tym, gdzie stacjonują rosyjskie samoloty nosiciele broni nuklearnej, które kraje zachodnie są w polu rażenia rosyjskich rakiet średniego zasięgu.

WALKA DOBRA ZE ZŁEM

Siła obozu zachodniego to nie tylko nowoczesne siły zbrojne. To także zdolność do definiowania sytuacji w kategoriach uniwersalnych, tak by obrona status quo przed agresją była zrozumiała dla każdego. Nie ze swej winy weszliśmy w fazę konfrontacji. Nie możemy jej przedstawiać jako gry i obrony partykularnych interesów. To jest walka sojuszu wolności z rosyjskim imperializmem, dobra ze złem. To oznacza, że walczyć z Rosją trzeba również na polu informacyjno-psychologicznym i w cyberprzestrzeni. Ważnym zadaniem jest przekonanie społeczeństw zachodnich, by obywatele zrozumieli, że wojna na Ukrainie toczy się nie tylko o terytorium Ukrainy. Tu idzie o obronę wolności całej Europy. Jak widać na zdjęciach, które pokazuje każdego dnia telewizja, Rosja jest dziś nie tylko sprawcą agresji militarnej. Jest także winna głodu, zniszczenia miast i wsi oraz eksterminacji ludności cywilnej na naszym kontynencie.

Obronny charakter NATO polega na tym, że sojusz nigdy nie był sprawcą agresji. To nie może oznaczać, że sojusz ma być bezradny wobec nowych zagrożeń. W roku 1977 Moskwa naruszyła równowagę zbrojeń w Europie, instalując rakiety SS-20. W 1987 r. traktat INF likwidował w Europie broń średniego zasięgu. Niestety, osiągnięta wówczas równowaga została w ostatnich latach znowu naruszona przez Rosję, która rozmieściła w rejonie Królewca oraz wokół Ukrainy wiele rakiet Iskander (różnego typu, na platformach ruchomych) o zasięgu kilku tysięcy kilometrów. Dziś Rosja ma przewagę nad siłami sojuszu w Europie w tej dziedzinie. Tego stanu rzeczy nie można dłużej akceptować.

Żyjemy w epoce powszechnie dostępnych mediów elektronicznych. Środki komunikacji są o wiele bardziej dostępne niż np. w okresie zimnej wojny. Wówczas Zachód potrafił docierać z informacjami do mieszkańców żyjących w krajach komunistycznych, obecnie, jak widać z sondaży robionych w Rosji, tego nie potrafi. Agresja na Ukrainę ma w Rosji powszechne poparcie.

Na razie Zachód wojnę informacyjną na terenie Rosji przegrywa całkowicie. Mieszkańcy kraju rządzonego przez Putina nie mają rzetelnej wiedzy o rzeczywistości, nie wiedzą, dlaczego i o co toczy się wojna na Ukrainie, kto jest agresorem, nie rozumieją, że są wykorzystywani przez wąską elitę władzy jako narzędzie do ekspansji i podboju.

Dokumenty potępiające agresję na Ukrainę są podpisywane przez wszystkich, lecz pewne kraje nie są solidarne i prowadzą odrębną politykę nawet w czasie wojny. Widać to wyraźnie także na przykładzie nakładów na zbrojenia

Dziś mieszkańcy Rosji, jeżeli korzystają z mediów zachodnich, to są pod wpływem tego, co piszą media zachodniego mainstreamu. Nic więc dziwnego, że wojnę informacyjną przegrywamy. Nigdy pełne hipokryzji opinie o Rosji pochodzące np. z „Le Monde", „Die Zeit", „New York Timesa" nie spowodują zmiany postaw obywateli Rosji. Zachód zaniedbał także przypominanie o tym, że Rosja nie jest państwem jednolitym, i o tym, jak wiele narodów jest tam pozbawionych wolności, z narodem rosyjskim włącznie. Już w XIX w. Karol Marks, który niewątpliwie był znawcą Rosji, pisał, że nie może być wolny naród, który sam uciska inne narody. Ta opinia jest wciąż aktualna. Obecna elita władzy w Moskwie nie reprezentuje interesów żadnego narodu, tylko własny grupowy interes. Ostatnio całkowitemu zafałszowaniu ulega w propagandzie rosyjskiej historia Ukrainy. Rosja próbuje zawłaszczyć jej historię, by wydłużyć swe dzieje o kilkaset lat i uzasadnić swoją agresję.

Postępowanie Rosji w 2022 r. dowiodło, że polityka Angeli Merkel wobec Moskwy była błędna i szkodliwa, zarówno dla Niemiec, jak i dla Europy. Kanclerz Merkel uważała, że poprzez zachodnie inwestycje i handel Rosja będzie ewoluować w kierunku demokracji. Stało się odwrotnie. Dzięki współpracy z Zachodem Rosja rozbudowała swój potencjał militarny i w 2022 r. rozpoczęła ekspansję.

W niektórych państwach Zachodu trwa debata dotycząca dostaw broni dla walczącej Ukrainy. Jedni uważają, że należy je traktować jako pilne, by doprowadzić do szybkiego sukcesu Ukrainy. Inni proponują, by je ograniczać, aby jedynie podtrzymać opór obrońców. Tymczasem przebieg tej wojny pokazuje, jak bardzo obok uzbrojenia ważny jest czynnik ludzki na polu walki. Ograniczając pomoc dla Ukrainy, odsuwamy szansę zwycięstwa nad Rosją. To może prowadzić do tego, że stracimy to, co najcenniejsze, czyli zapał do walki wśród Ukraińców. Tymczasem sukcesy w walce są konieczne, by żołnierze chcieli walczyć. Tego nie rozumieją zachodni zwolennicy ratowania twarzy Putina.

Agresja na Ukrainę spotkała się w praktyce z różnym potraktowaniem przez państwa sojuszu. Formalnie potępili ją wszyscy, lecz poszczególne kraje bardzo się różnią w stopniu udzielanej Ukrainie pomocy. Dokumenty potępiające agresję są podpisywane przez wszystkich, lecz pewne kraje nie są solidarne i prowadzą odrębną politykę nawet w czasie wojny. Widać to także wyraźnie na przykładzie nakładów na zbrojenia. W 2014 r. sojusz przyjął, że wydatki na obronę mają być na poziomie minimum 2 proc. budżetu poszczególnych państw członkowskich każdego roku. Część krajów, i to bogatych, stale się uchyla od wypełniania tego obowiązku. W ten sposób powstaje w sojuszu grupa państw drugiej kategorii, które są „pasażerami na gapę", bo chcą, by ich bezpieczeństwo finansowali inni. Takie kraje o nastawieniu pacyfistycznym lub prorosyjskim nie mogą blokować polityki obronnej Europy.

KTO NIE CHCE SUKCESU UKRAINY?

Dziś wygląda na to, że nie wszystkie państwa sojuszu chcą sukcesu Ukrainy, bo nie wszyscy chcą osłabienia Rosji i tym samym wzmocnienia pozycji USA

eprasa.pl f269829617

FOT. ADOBE STOCK

na świecie. Niektóre państwa sojuszu – takie jak Niemcy, Francja, Włochy, Holandia – nie pomagają Ukrainie proporcjonalnie do swych możliwości. Występują w roli mediatora i martwią się o los agresora, pragną z nim zawierać kompromisy. Nie traktują Rosji jako zagrożenia dla Europy. Chciałyby rządzić Europą, ale mentalnie są po stronie agresora. Nie chcą przyjąć, że dziś z winy Rosji w Europie jest wojna, a nie jakiś drobny konflikt graniczny na peryferiach. Jasno widać, że mamy w sojuszu podział, bo państwa członkowskie w różnym stopniu angażują się w obronę kontynentu. Tymczasem tylko poważne osłabienie militarne i gospodarcze Rosji stwarza szanse, by Zachód był silniejszy i mógł więcej sił skoncentrować na rywalizacji z Chinami. Imperialna polityka Chin w Azji wymaga, by kraje zachodnie umocniły współpracę z Japonią, Australią, Nową Zelandią, Koreą Południową, Tajwanem i Indiami.

RYZYKO POBŁAŻANIA

Dziś powstaje ryzyko, że tzw. ograniczona agresja rosyjska (na wybranych członków NATO) będzie przez pewne kraje sojuszu przyjęta z pobłażaniem i spotka się jedynie z werbalnym protestem. Byłoby to złamanie zasady solidarności wśród państw NATO. Takie obawy mają dziś szczególnie kraje flanki wschodniej sojuszu, kiedy patrzą na dwuznaczne zachowanie niektórych europejskich polityków, którzy bez umizgów do Putina żyć nie mogą. Stąd konieczne jest, by szczyt NATO, który odbędzie się w końcu czerwca, stanowczo zapowiedział, że nie ma mowy o tolerowaniu ograniczonej agresji ani przesuwaniu granic z użyciem siły militarnej. Zagrożenie terroryzmem lub migracjami z Afryki Północnej nie może być argumentem, by sojusz lekceważył rosyjski imperializm.

Czas, w którym żyjemy, pokazuje nam, że dziś nie można bezpieczeństwa rozumieć jedynie w aspekcie militarnym. Możliwe są zagrożenia w sferze zdrowia, zaopatrzenia w żywność, ataki na system energetyczny, na telekomunikację itp.

POTRZEBA SIŁ GOSPODARCZYCH FLANKI WSCHODNIEJ

To oznacza, że kraje sojuszu mają rozbudowywać ochronę infrastruktury krytycznej, by zapewnić funkcjonowanie swoich państw w razie konfliktu. Jednym słowem obok rozbudowywania przez NATO tzw. sił odpowiedzi każde państwo ma rozbudować ochronę cywilnych zdolności obronnych. Potrzebna jest budowa systemu bezpieczeństwa Zachodu przy założeniu, że Rosja nie jest już partnerem, lecz militarnym zagrożeniem. Pokój w Europie nie może zależeć od humoru polityków na Kremlu.

Działania Rosji wobec Ukrainy dowiodły, że nie ma bezpiecznej Europy bez silnych państw flanki wschodniej. Te kraje są nie tylko jako pierwsze narażone na ewentualną rosyjską agresję, lecz także są główną linią obrony w takiej sytuacji. Polityka Rosji ma i będzie miała charakter nieobliczalny dopóty, dopóki nie nastąpi tam wprowadzenie ustroju demokratycznego. Państwa flanki wschodniej potrzebują zatem wzmocnienia militarnego. A to nie jest możliwe bez wsparcia dla ich życia gospodarczego. Niestety, tej prostej prawdy w ogóle nie rozumieją władze Unii Europejskiej. W Brukseli liczą się jedynie projekty ideologiczne oraz rywalizacja z wpływami USA na świecie. Wygląda na to, że tam nikt nie rozumie nowej sytuacji geopolitycznej, w której jest Europa. Tymczasem, aby Europie zapewnić bezpieczeństwo, Zachód ma zbudować przewagę militarną, bo tylko ona da gwarancję pokoju dla przyszłych pokoleń. Trzeba się pogodzić, że globalny porządek liberalny promowany przez Fukuyamę już nie wróci.

Obecnie dyplomaci są na ogół pochłonięci wydarzeniami bieżącymi, rzadko czytają książki historyczne, nie znają zatem historii Europy. Tymczasem nie można zrozumieć obecnej polityki rosyjskiej bez wiedzy o tym, jaka ona była za czasów komunistycznych i carskich. Sugestie pod adresem czerwcowego szczytu NATO w Hiszpanii pragnę zakończyć cytatem z eseju „Zagraniczna polityka rosyjskiego caratu", napisanego w 1890 r. przez Fryderyka Engelsa: „Całe niebezpieczeństwo powszechnej wojny będzie usunięte w dniu, gdy zmiana stanu rzeczy w Rosji pozwoli ludowi rosyjskiemu raz na zawsze zerwać z tradycyjną zaborczą polityką carską i da mu możność zająć się sprawami swego wewnętrznego życia… zamiast dotychczasowych fantazji o panowaniu nad całym światem".

W Brukseli liczą się jedynie projekty ideologiczne oraz rywalizacja z wpływami USA na świecie. Wygląda na to, że tam nikt nie rozumie nowej sytuacji geopolitycznej, w której jest Europa

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f269829617

Z Małgorzatą Winkler-Pogodą, podróżniczką i pisarką
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Najmłodsza ofiara stanu wojennego

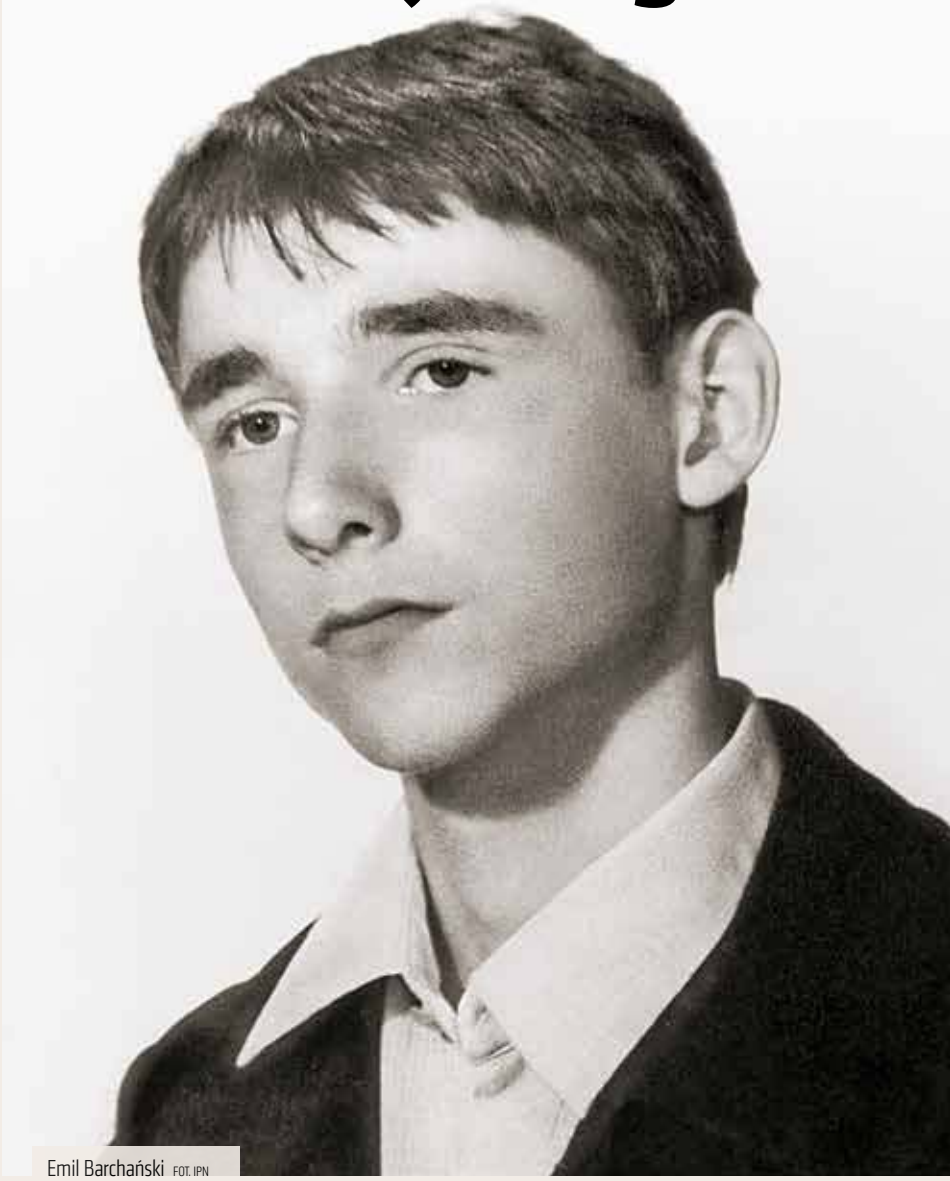

Emil Barchański FOT. IPN

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Do tragicznej śmierci bohatera pani książki przyczynił się... Feliks Dzierżyński?

MAŁGORZATA WINKLER-POGODA: O Emilu Barchańskim najczęściej pisze się: „najmłodsza ofiara stanu wojennego", ale czasem także „ostatnia ofiara krwawego Feliksa". Na początku stanu wojennego wraz z kolegami, Stefanem Antosiewiczem i Arturem Nieszczerzewiczem, Barchański założył organizację o nazwie Konfederacja Młodzieży Polskiej „Piłsudczycy". Przyłączyło się do nich kilku rówieśników, znali tylko swoje pseudonimy. Zachowywali zasady konspiracji, zostawiali sobie wiadomości np. w skrytce nawy katedry św. Jana czy pod ławką w kościele św. Anny.

Sposobem działania „Piłsudczyków" stał się mały sabotaż – akcje wzorowane na Szarych Szeregach, choćby rozrzucanie ulotek. Chcieli działać i aktywnie zaprotestować przeciwko stanowi wojennemu. Przeciwko zniewoleniu Polski, której widocznym symbolem był pomnik bolszewickiego zbrodniarza, czekisty Dzierżyńskiego, stojący w śródmieściu Warszawy, na placu jego imienia, wcześniej i obecnie Bankowym. Postument postawiono w czasach stalinowskich – kłuł w oczy. Na początku lutego 1982 r. powstał plan akcji „Cokół". Przygotowywali się do niej starannie, ćwiczyli rzuty, podzielili zadania, określili trasy odwrotu.

10 lutego, w środę, w drugim miesiącu stanu wojennego, ok. godz. 16.30, niemal pod samą Komendą Stołeczną MO i biurami Służby Bezpieczeństwa, które mieściły się w pałacu Mostowskich, obrzucili cokół słoikami z farbą drukarską, białą i czerwoną (dostarczył ją Emil), a figurę butelkami z benzyną. Artur, który kierował akcją, rzucił koktajl Mołotowa. Pomnik zapłonął, to była naprawdę widowiskowa, efektowna, brawurowa operacja, budząca podziw, szokująca. Dla SB – bezczelna i prowokacyjna.

Emil z powodu astmy unikał biegania i rzucania, stał w wyznaczonym miejscu na czujce. Po akcji uciekli, ale na placu były patrole milicji. Podczas ucieczki Artur cisnął jeszcze dwa koktajle Mołotowa, żeby utrudnić pościg. Jeden z chłopców, Marek Marciniak, został złapany. Bity podczas śledztwa, nikogo nie wydał, bo znał tylko pseudonimy kolegów. Od tej chwili SB podwoiła wysiłki, by odnaleźć sprawców „profanacji pomnika", jak pisano w aktach sądowych.

eprasa.pl f269829617

Tydzień później inna grupa młodych ludzi usiłowała rozbroić w tramwaju milicjanta, sierż. Zdzisława Karosa, który zmarł, postrzelony w wyniku szarpaniny. SB połączyła te dwie sprawy, sądząc, że ma do czynienia z dużą, niebezpieczną młodzieżową organizacją podziemną, bo świadkowie zeznawali, że to zrobili młodzi ludzie. Powołano specjalną milicyjną „Brygadę Tygrysa", która miała szybko złapać sprawców, uruchomiono donosicieli.

Wracając do pana pytania, tragiczna śmierć Emila jest niewyjaśnioną zbrodnią komunistyczną. Nikt nie został ukarany, materiały z akt sprawy w dużej części zniszczono. Pozostały hipotezy. Jedna z nich wskazuje, że śmierć Emila była zemstą za podpalenie pomnika Dzierżyńskiego.

Bezpieka zainteresowała się Emilem Barchańskim dopiero po akcji „Cokół"?

Prawdopodobnie już wcześniej, ponieważ w środowisku, w którym miał znajomych, działali donosiciele. Celem SB stał się po 10 lutego 1982 r., gdyż opowiedział o zdarzeniu przynajmniej jednej osobie z tamtego kręgu, a to był kapuś.

Na początku marca 1982 r. Emil zajmował się wraz z kolegą, Szymonem Pochwalskim, drukowaniem wydawnictw z tzw. drugiego obiegu w wynajętym mieszkaniu na Pradze. Na skutek donosu zjawiła się tam „Brygada Tygrysa". Chłopców pobito i aresztowano, ale esbecy wcale nie interesowali się wydrukowanymi materiałami, chodziło im o sprawców podpalenia pomnika. Przewieziono ich do pałacu Mostowskich, pełnoletniego Szymona wkrótce wypuszczono, a nieletniego Emila (nie skończył 17 lat) zatrzymano, łamiąc prawo. Szukającej go matce powiedziano, że nikogo takiego tam nie ma.

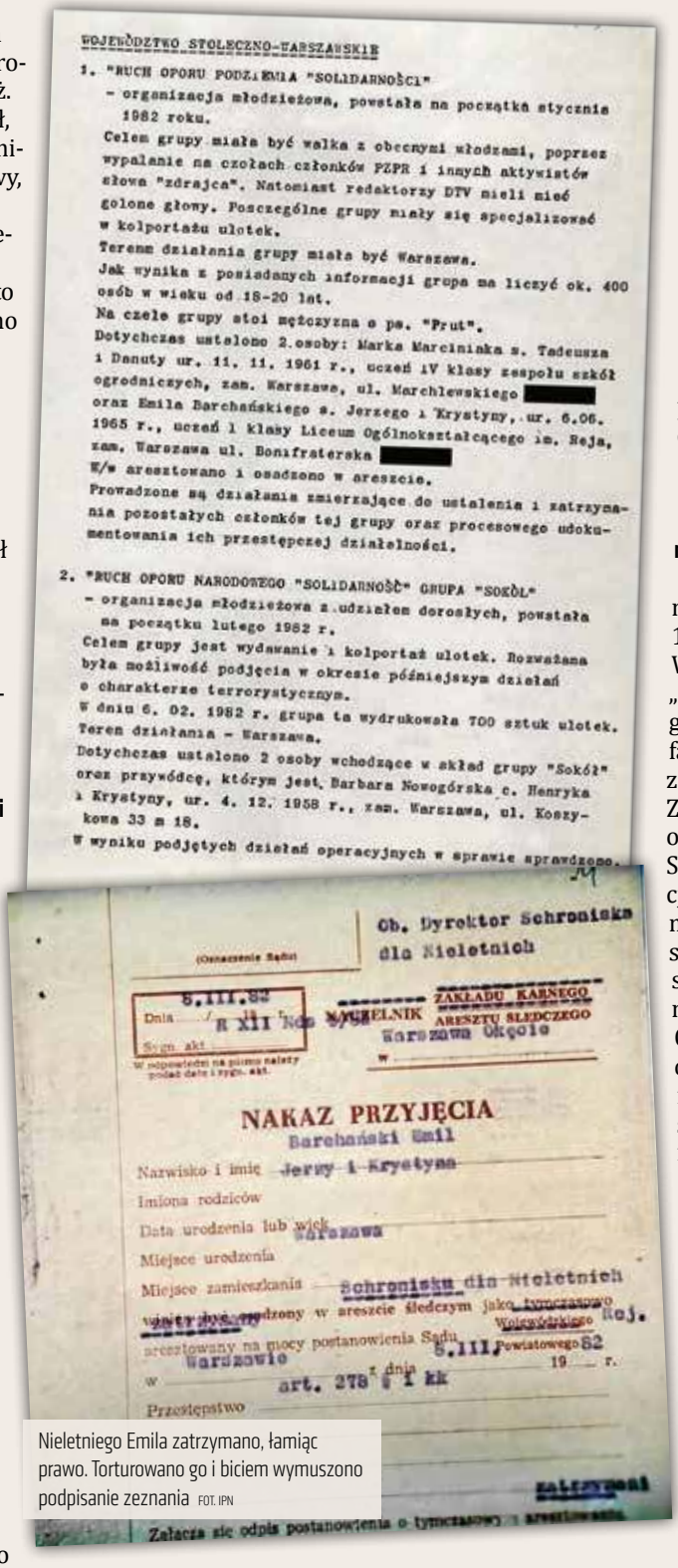

WOJEWÓDZTWO STOŁECZNO-WARSZAWSKIE

1. "RUCH OPORU PODZIEMIA "SOLIDARNOŚCI"
- organizacja młodzieżowa, powstała na początku stycznia 1982 roku.
Celem grupy miała być walka z obecnymi władzami, poprzez wypalanie na czołach członków PZPR i innych aktywistów słowa "zdrajca". Natomiast redaktorzy DTV mieli mieć golone głowy. Poszczególne grupy miały się specjalizować w kolportażu ulotek.
Terenem działania grupy miała być Warszawa.
Jak wynika z posiadanych informacji grupa ma liczyć ok. 400 osób w wieku od 18-20 lat.
Na czele grupy stoi mężczyzna o ps. "Prut".
Dotychczas ustalono 2 osoby: Marka Marcinianka s. Tadeusza i Danuty ur. 11. 11. 1961 r., uczeń IV klasy zespołu szkół ogrodniczych, zam. Warszawa, ul. Marchlewskiego [redacted] oraz Emila Barchańskiego s. Jerzego i Krystyny, ur. 6.06. 1965 r., uczeń I klasy Liceum Ogólnokształcącego im. Reja, zam. Warszawa ul. Bonifraterska [redacted]
W/w aresztowano i osadzono w areszcie.
Prowadzone są działania zmierzające do ustalenia i zatrzymania pozostałych członków tej grupy oraz procesowego udokumentowania ich przestępczej działalności.

2. "RUCH OPORU NARODOWEGO "SOLIDARNOŚĆ" GRUPA "SOKÓŁ"
- organizacja młodzieżowa z udziałem dorosłych, powstała na początku lutego 1982 r.
Celem grupy jest wydawanie i kolportaż ulotek. Rozważana była możliwość podjęcia w okresie późniejszym działań o charakterze terrorystycznym.
W dniu 6. 02. 1982 r. grupa ta wydrukowała 700 sztuk ulotek.
Teren działania - Warszawa.
Dotychczas ustalono 2 osoby wchodzące w skład grupy "Sokół" oraz przywódcę, którym jest Barbara Nowogórska c. Henryka i Krystyny, ur. 4. 12. 1958 r., zam. Warszawa, ul. Koszykowa 33 m 18.
W wyniku podjętych działań operacyjnych w sprawie sprawdzono.

Ob. Dyrektor Schroniska dla Nieletnich

(Oznaczenie Sądu)

Dnia 5.III.82 r. XII Ns

Sygn. akt

W odpowiedzi na pismo należy podać datę i sygn. akt.

SCHRONISKO ZAKŁADU KARNEGO ARESZTU ŚLEDCZEGO Warszawa Okęcie

w

NAKAZ PRZYJĘCIA

Barchański Emil

Nazwisko i imię Jerzy i Krystyna

Imiona rodziców

Data urodzenia lub wiek Warszawa

Miejsce urodzenia

Miejsce zamieszkania Schronisku dla Nieletnich

[illegible] osadzony w areszcie śledczym jako tymczasowo aresztowany na mocy postanowienia Sądu Wojewódzkiego Rej. Warszawie z dnia 5.III. Powiatowego 82 19 r.

w

Przestępstwo art. 278 § 1 kk

Załącza się odpis postanowienia o tymczasowym aresztowaniu

Nieletniego Emila zatrzymano, łamiąc prawo. Torturowano go i biciem wymuszono podpisanie zeznania FOT. IPN

Emila bito, torturowano i biciem wymuszono podpisanie zeznania, w którym oskarżył o udział w akcji na pomnik starszego kolegę z liceum, Tomasza Sokolewicza, niemającego z tą sprawą nic wspólnego.

To esbecy obsadzili go w roli przywódcy organizacji. Potem Emil trafił na przesłuchanie w sądzie dla nieletnich, które musiało się odbyć w obecności matki. Na pytanie, czy akcja na pomnik była czynem chuligańskim czy ideowym, odpowiedział, że był to czyn polityczny. Sędzia podsumowała, że będzie to więc pierwsza sprawa polityczna nieletniego. Wyznaczyła datę rozprawy na 17 marca, do tego czasu Emil miał przebywać w zakładzie poprawczym dla nieletnich. Spędził tam 10 dni.

Jakie sankcje prawne na niego nałożono?

Adwokat Emila powołał się na podobny przypadek z roku 1957, kiedy studenci Politechniki Warszawskiej też zorganizowali „zamach" na figurę Dzierżyńskiego, pomalowali jej ręce czerwoną farbą jako protest przeciwko zamknięciu tygodnika „Po prostu". Zostali uniewinnieni. Wówczas określono to czynem politycznym. Sędzia przyjęła taką argumentację, uznając postępek chłopca za manifestację jego stosunku do stanu wojennego. Barchańskiego skazano na dwa lata w zawieszeniu i dozór kuratora sądowego. Okazało się, że oprócz oskarżenia o zniszczenie pomnika SB sugerowała, że Emil i Tomek uknuli spisek mający na celu obalenie rządu i zmianę ustroju. Zdefiniowano ich jako rewizjonistów.

Drugim zarzutem było zniszczenie mienia państwowego, czyli rzeźby, dzieła sztuki. Gdyby czyn został uznany za chuligański, Emil musiałby płacić za straty materialne, w przypadku motywacji politycznej – nie. Wrócił szczęśliwie do domu, zajął się nauką i czekał na proces Sokolewicza, w którym miał zeznawać jako świadek. Na tej rozprawie, 17 maja, otwartej dla publiczności, powiedział, że Tomek jest niewinny, nie brał udziału w akcji na pomnik, a zeznania go obciążające wymuszono biciem. Gdy pani prokurator domagała się nazwisk, padły wtedy słynne słowa: „Ci panowie, kiedy biją, to się nie przedstawiają, ale jestem w każdej chwili gotów ich rozpoznać".

eprasa.pl f269829617

Świadomość polityczna chłopca wykrystalizowała się wcześniej?

Był bardzo dojrzały jak na swój wiek. Miał zdecydowane przekonania polityczne. Nie tylko interesował się rzeczywistością, lecz także angażował się w nią. Pisał teksty na tematy polityczne, społeczne, eseje analizujące PRL-owską codzienność. Dużo czytał. Miał dostęp do „broszur", podziemnych wydawnictw. Zafascynował się Solidarnością podczas pobytu na wakacjach w Trójmieście w sierpniu 1980 r. Chodził pod Stocznię Gdańską. Znał na pamięć wszystkie postulaty strajkujących. Na pewno wpływ miała też atmosfera w liceum, bo jesienią tego samego roku poszedł do pierwszej klasy. Większość nauczycieli popierała Solidarność. Emil planował ułożyć zbiór polskich pieśni patriotycznych, zbierał te teksty i przepisywał na maszynie. Wraz z kolegami wydali jeden numer szkolnej gazety satyrycznej „Kabel". Potem nastał 13 grudnia 1981 r.

Patriotyczne wychowanie wyniósł z domu?

W jego rodzinie rozmawiano o dziejach Polski, o jej literaturze. Mama była redaktorem w wydawnictwie książkowym, ojczym malował obrazy, bardzo interesował się historią, polityką i poświęcał Emilowi dużo czasu. Ale myślę, że to także wpływ szkoły, zwłaszcza wychowawczyni i polonistki w liceum, patriotycznych lektur, a także środowiska kolegów, a miał przyjaciół w różnych kręgach, nie tylko w szkole. Był też zafascynowany działalnością ks. Jerzego Popiełuszki, brał udział w Mszach za Ojczyznę, organizowanych w kościele na Żoliborzu. Bardzo przeżywał zamach na papieża, uczestniczył w pogrzebie prymasa Wyszyńskiego.

Co sprawiło, że repetował klasę?

Choroba i łacina. Cierpiał na astmę, dokuczała mu alergia. Z powodu kłopotów z oskrzelami miał wiele ograniczeń, często jeździł do sanatorium, nigdy nie był na żadnym obozie letnim. Nie umiał pływać. Nigdy nie wchodził do zimnej wody, kontakt z nią mógł spowodować skurcz oskrzeli. Prawdopodobnie był też uczulony na sierść zwierząt, ale wmawiał sobie i rodzicom, że nie jest, bo bardzo chciał mieć koty i psa. Rodzice spełnili to marzenie. W pierwszej klasie liceum w drugim semestrze z powodu astmy opuścił sporo lekcji. Nie był w stanie nadrobić zaległości z łaciny, miał problem z rosyjskim i francuskim. Sam zdecydował, że woli powtórzyć pierwszą klasę, bo nie zaliczy wszystkiego w ciągu miesiąca. Powtarzał rok, nowa klasa przyjęła go bardzo dobrze, znalazł w niej przyjaciół.

Na pomysł spaceru z psem kilkanaście kilometrów od domu – w mało sobie znanym, odludnym terenie – wpadł samodzielnie?

Mama Emila przypuszczała, że była to inicjatywa nowego kolegi syna, sąsiada z bloku, Huberta. Podobno bywał tam wcześniej. Pojechali tam się uczyć, Emil musiał zaliczyć sprawdzian na koniec roku, Hubert uczył się do egzaminów, był studentem. Zabrali swoje psy.

Pomnik Feliksa Dzierżyńskiego straszył w Warszawie do 1989 r.
FOT. NAC

O ostatnich chwilach życia Emila istotną wiedzą dysponuje zapewne ów tajemniczy sąsiad...

Problem w tym, że w śledztwie ciągle zmieniał zeznania i został uznany za niewiarygodnego świadka. Przedstawiał różne wersje wydarzeń. Mówił, że Emil przeszedł na drugą stronę rzeki po łachach albo że rzucił się do wody, by ratować psa, albo że nie widział, co się stało, bo siedział i czytał. Tamtego dnia, 3 czerwca 1982 r., wieczorem oddał matce rzeczy Emila, jego koszulkę, czapkę, plecak, obrożę psa, i zachowywał się tak spokojnie, jakby nic się nie stało. Przedstawił wtedy pierwszą wersję, o jakichś ludziach z samochodem na drugim brzegu Wisły, którzy mieli Emila podwieźć...

Za przyczynę zgonu uznano utonięcie. Tyle że chłopak unikał akwenów...

Ciało wyłowił podobno jakiś ormowiec pływający łódką po Wiśle. Tyle że było to powyżej miejsca, gdzie zaginął Emil. Chłopak miał na nogach skórzane sandały, pamiątkę po dziadku, nigdy nie wszedłby w nich do wody. Mama chłopca zauważyła smar na jego spodenkach i slipach. Była też przecięta szyja, otwarta rana. Jak powstała? Padały jakieś absurdalne wyjaśnienia. W tamtych dniach panował upał, esbecy celowo nie włożyli ciała do lodówki, żeby utrudnić poznanie przyczyny zgonu, zatrzeć ślady. Wszystko, co się działo wokół tej śmierci, sugerowało, że nie był to wypadek.

W PRL na wyjaśnianie sprawy szans nie było, w III RP zabrakło woli politycznej?

Rodzicom powiedział to wprost młody prokurator, który zajmował się sprawą na początku lat 90. i bardzo chciał dojść do prawdy, znaleźć sprawców. Przełożeni polecili mu, żeby dał spokój.

Krystyna Barchańska-Wardęcka też odczuła esbeckie szykany?

Gdy poszła na posterunek MO zgłosić zaginięcie syna, usłyszała, że skoro wdał się w jakieś sprawy polityczne, to trzeba szykować trumnę.

Od kilku lat 13 grudnia oddajemy swoisty hołd nastoletnim ofiarom stanu wojennego...

To Marsz Pamięci, który organizuje dziennikarka Kinga Hałacińska, piękna inicjatywa, mająca na celu podtrzymanie pamięci o najmłodszych, którzy stracili życie w stanie wojennym: Emilu Barchańskim i Grzegorzu Przemyku. Młodzi ludzie odwiedzają miejsca ważne dla historii Warszawy i Polski: przy Jezuickiej mieścił się Dzielnicowy Komisariat MO, gdzie pobito Grzegorza i gdzie mama Emila zgłaszała zaginięcia syna, z kolei na fasadzie kościoła przy Bonifraterskiej znajduje się tablica poświęcona Emilowi. Mieszkał tuż obok tej świątyni. Uczestnicy marszu rokrocznie odwiedzali mamę Emila. Nie muszę mówić, jak bardzo była wzruszona.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Małgorzata Winkler-Pogoda – tłumaczka, podróżniczka, dziennikarka, pisarka. Autorka książek: „Tamtego lata w Bułgarii", „Zabawne przypadki kota Leona", „Opowiadania podróżne" oraz „Miałam syna Emila".

eprasa.pl f269829617

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Alarm Mackiewicza

W 1944 r. – na krótko przed zajęciem Wilna przez bolszewików – Józef Mackiewicz wyjechał do Warszawy. Zgodę na wyjazd załatwił mu Władysław Studnicki. I w ten sposób uratował pisarza przed czerwonym „wyzwoleniem". Gdyby Mackiewicz – świadek Katynia – dostał się w łapska bolszewików, jego los byłby przypieczętowany.

Mackiewicz był zszokowany nastrojami Warszawy. AK szykowała się do walki z wycofującymi się Niemcami, powszechnie ignorowano zagrożenie sowieckie. Aby przeciwdziałać tym samobójczym tendencjom, Mackiewicz zaczął wydawać pismo „Alarm. Nadpartyjny organ do walki z bolszewizmem".

Ciekawie pisze o tym Kazimierz Maciąg w książce „Sam jeden". W kontekście „Alarmu" tytuł jest dobrany wyjątkowo trafnie. Mackiewicz był niemal całkowicie osamotniony. Szedł wbrew nastrojom ulicy, otumanionej hurraoptymistyczną propagandą Anglosasów i podziemia.

„Niemcy wojnę przegrały – pisał Mackiewicz – i są wrogiem, który prędzej czy później odejdzie". W tej sytuacji podejmowanie z nimi walki było pozbawione sensu. Mogło przynieść tylko kolosalne straty narodowi. Według Mackiewicza należało się szykować na przyjście nowego, czerwonego okupanta.

Maciąg słusznie podkreśla, że program Mackiewicza był realistyczny. Nie podzielał on naiwnej wiary podziemia w „sojusznika naszych sojuszników". W to, że można osiągnąć porozumienie ze Stalinem.

„Dla nas pobicie Niemiec – pisał – nie jest celem, tylko jednym ze środków do celu. Celem wojny, którą prowadzimy, jest odrodzenie potężnej, niepodległej, suwerennej Rzeczypospolitej Polskiej".

Wydawanie „Alarmu" było wołaniem na puszczy. Pisarz nikogo nie przebudził. AK realizowała dalej akcję „Burza" polegającą na walce z wycofującymi się Niemcami i współpracy z Armią Czerwoną. Jej zwieńczeniem było powstanie warszawskie.

Jak wiadomo, „Burza" zakończyła się straszliwą katastrofą. Hekatombą Polaków, zburzeniem Warszawy i likwidacją AK. Sowieci – tak jak ostrzegał Mackiewicz – byli śmiertelnym wrogiem i okupantem. A Anglosasi nie uratowali Polski. Nad Rzecząpospolitą na ponad 40 lat zatrzasnęło się wieko komunistycznej trumny. ©℗

★★★★★★

KAZIMIERZ MACIĄG
„SAM JEDEN. JÓZEF MACKIEWICZ – PISARZ I PUBLICYSTA"
IPN

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Awantury na planie

W marcu 1967 r. Olbrychski poślubił starszą o sześć lat aktorkę Teatru Ateneum, Monikę Dzienisiewicz. Wybranka rozwiodła się dla niego z Wowo Bielickim, co nie spotkało się z aprobatą środowiska. Przyjaciele uważali zresztą, że Daniel, wiążąc się z Moniką, popełnia poważny błąd. Był jeszcze bardzo młody, miał zaledwie 22 lata i dopiero rozpoczynał karierę filmową. Celnie ujął to Andrzej Wajda, który zamiast życzeń ślubnych przysłał telegram o treści: „Co robisz, kopnij się w głowę!". Mimo to Daniel postawił na swoim.

Awantury wybuchały w tym związku niemal codziennie

„Nie byłam dla niego dobrą żoną – przyznawała Monika Dzienisiewicz-Olbrychska. – Robiłam mu sceny zazdrości, bo był ode mnie młodszy. Skoro ja porzuciłam wspaniałego męża, to nikt mi nie mógł zagwarantować, że Daniel nie porzuci starszej od siebie żony".

Awantury wybuchały w tym związku niemal codziennie i niewiele zmieniło pojawienie się dziecka. Monika i Daniel mieli wyjątkowo trudne charaktery i żadne z nich nigdy nie chciało ustąpić drugiemu. Na domiar złego załatwiali swoje sprawy publicznie, zupełnie nie zwracając uwagi na otoczenie. Tak jak podczas realizacji „Skoku" Kazimierza Kutza (premiera 10 czerwca 1969 r.). Inna sprawa, że atmosfera na planie była mocno alkoholowa, reżyser i dwaj główni bohaterowie (Olbrychski i Marian Opania) nie wylewali za kołnierz. Normą były „trzydniówki", a jeżeli pito bardziej spokojnie, to i tak kończono nad ranem. Nic zatem dziwnego, że gdy przyjechała żona Olbrychskiego, to awantura była nieunikniona.

„Kręciliśmy właśnie w PGR Manieczki – opowiadał Olbrychski – gdy na planie zjawiła się Monika. Prawie natychmiast kłótnia! Postanowiłem więc nie spędzać reszty wieczoru w sypialni na wypominaniu sobie wzajemnych, prawdziwych bądź urojonych win, lecz pójść do apartamentu Kazia. Kutz i Opania, w towarzystwie jakichś statystek, popijali wódeczkę, opowiadając sobie nadzwyczaj ciekawe historyjki. Żwawo do nich dołączyłem. Nie minęło może pół godziny, gdy weszła moja żona, podeszła do mnie i publicznie dała mi w pysk. Znając mnie, czym prędzej odwróciła się na pięcie. Starała się iść demonstracyjnie, z godnością, ale jednocześnie na tyle szybko, żeby umknąć przed rowerem, którym w nią rzuciłem.

Kazio zdążył tylko krzyknąć:

– Jezus!

Rower (bo był to jego rower) już frunął, ale trafił w zamykające się za Moniką drzwi. Rozleciał się w drobny mak". ©℗

eprasa.pl f269829617

Kolonia Turków nad Renem

Witold Repetowicz

Niemcy nie miały takiego problemu z dostarczaniem broni do Turcji, jaki mają obecnie w przypadku Ukrainy. Tureckie służby specjalne stworzyły też w Niemczech sieć inwigilacji, tolerowaną przez niemieckie władze. Wielu Niemców zdaje sobie sprawę z problemu, ale twierdzi, że nic nie można zrobić, bo Erdoğan naśle znowu migrantów

Yilmaz Gültekin, lider społeczności kurdyjskiej w Essen, powiedział mi niedawno, że oczywiście jest wdzięczny Niemcom, że go przyjęły jako uchodźcę kurdyjskiego z Turcji, ale ma też świadomość, że te same Niemcy przyczyniły się do tego, że on i wielu jego rodaków musiało uciekać z domu. Gültekin zaczął mi wymieniać: niemieckie gazy bojowe zostały użyte przez Atatürka przeciwko Kurdom w Dersim w latach 30. XX w., niemieckie firmy pomogły Saddamowi Husajnowi w wyprodukowaniu broni chemicznej, którą zaatakował Kurdów w Halabdży w 1988 r., niemieckie czołgi w służbie tureckiej atakowały Kurdów w Syrii, gdy ci walczyli z Państwem Islamskim.

Yilmaz Gültekin do Niemiec przybył jako 10-latek w latach 80., przy czym jego rodzina nie migrowała „za chlebem", lecz dlatego, że reżim wojskowy gen. Kenana Evrena równał wówczas z ziemią kurdyjskie wioski, używając do tego… niemieckich czołgów. Wtedy też rozpoczęła się walka zbrojna kurdyjskiej Partii Pracujących Kurdystanu. Organizacja ta jest teraz aktywna również w Niemczech, ścierając się tu z tureckimi ekstremistami spod znaku Szarych Wilków. Na niemieckich ulicach co jakiś czas dochodzi w związku z tym do różnych incydentów.

AGENTURA I BRAK ORIENTACJI

Gültekin twierdzi, że chce być lojalnym obywatelem Niemiec, ale nie może patrzeć, jak niemiecka broń zabija jego rodaków w Turcji, Syrii i Iraku. I zarzuca niemieckim władzom hipokryzję w związku z ich postawą wobec dostaw broni na Ukrainę. To bowiem Sigmar Gabriel, były lider rządzącego dziś SPD, był odpowiedzialny za to, że gdy w 2018 r. Turcja najechała kurdyjski kanton Afrin w Syrii, Niemcy dalej dostarczały jej leopardy używane w tej operacji. Teraz Ukraina nie może się doczekać niemieckich czołgów, bo partyjny kolega Gabriela – kanclerz Scholz – robi wszystko, by tam

eprasa.pl f269829617

Meczet w Kolonii to największy meczet w Niemczech FOT. ADOBE STOCK

nie dotarły. A sam Sigmar jako wicekanclerz odegrał kluczową rolę w forsowaniu Nord Stream 2, co niedawno przypomniał ambasador Ukrainy w Niemczech Andrij Melnyk.

Niemieccy Kurdowie twierdzą, że jest to jeden z wielu dowodów na infiltrację niemieckich instytucji przez turecką agenturę. Dotyczyć to ma m.in. struktur bezpieczeństwa, w tym Urzędu Ochrony Konstytucji (BfV), czyli kontrwywiadu cywilnego oraz policji. W 2017 r. wybuchła afera, bo w trakcie rekrutacji do BfV stwierdzono, że bardzo duża liczba kandydatów ma powiązania z MIT, czyli tureckim wywiadem. Natomiast w 2010 r. szef policji w Nadrenii Północnej-Westfalii Erich Rettinghaus chciał, by turecka policja patrolowała tureckie dzielnice w tym landzie. Argumentował to tym, że młodzi Turcy w Niemczech często nie szanują policji, a na „swoich" mogliby lepiej reagować.

Ten absurdalny pomysł upadł, ale był jednym z wielu świadczących o całkowitym niekontrolowaniu przez Niemcy tego, co się dzieje w środowiskach imigranckich. Może to dziwić zważywszy, że od lat 60., gdy napłynęła pierwsza duża fala zarobkowych migrantów z Turcji, Niemcy mieli bardzo dużo czasu, by się oswoić z problemem.

Tymczasem nawet nie potrafią odróżnić Kurda od Turka. Pół biedy, gdyby chodziło o jakąś garstkę, ale społeczność pochodzenia anatolijskiego w Niemczech to ok. 3,5 mln osób, a Kurdów, w tym pochodzących z Syrii i Iraku, przybyłych w dużym stopniu w 2015 r., może być nawet 1,5 mln. „Pochodzenia anatolijskiego", a nie „tureckiego", gdyż jest to społeczność bardzo podzielona i sprowadzanie jej do „Turków" jest totalnym nieporozumieniem. Składa się ona bowiem z grup żyjących obok siebie w Niemczech, między którymi relacje są raczej skomplikowane, a często po prostu panuje głęboki konflikt.

Są to zresztą nie tylko Kurdowie i Turcy, lecz także Czerkiesi, alewici, jazydzi, Ormianie, kemaliści, guleniści itp. I wszystkie konflikty występujące w Turcji przenoszą się do Niemiec. Pochodzący z Turcji krytycy niemieckiej policji twierdzą, że powinna ona orientować się w tureckiej polityce, by rozumieć te konflikty, ale zamiast tego unika ona ingerowania, często sugerując, by obywatele niemieccy migranckiego pochodzenia „załatwili to między sobą", nawet jeśli oni sami, jako obywatele niemieccy, domagają się, by działało niemieckie prawo. Dotyczy to zresztą nie tylko relacji kurdyjsko-tureckich, lecz także takich kwestii jak bicie żony. W 2007 r. głośno było o skandalicznym wyroku wydanym we Frankfurcie przez sędzię Datz-Winter w sprawie rozwodowej wytoczonej przez 26-letnią kobietę pochodzenia marokańskiego, którą mąż regularnie maltretował. Sędzia odrzuciła pozew, gdyż uznała, że zachowanie męża było zgodne z prawem szariatu, a żona była „nieposłuszna". Postanowienie zostało zmienione w apelacji, ale sądy niemieckie także później wielokrotnie powoływały się na szariat, a w 2017 r. Omid Nouripour (obecnie współprzewodniczący Partii Zielonych) postulował, by szariat był uznany za komplementarny system prawny w Niemczech.

KAŻDY Z TURCJI TO TUREK

Wydawałoby się, że Kurdów, którzy byli prześladowani w Turcji i odmawiano im tam prawa do manifestowania swojej tożsamości, w ultratolerancyjnych i wielokulturowych Niemczech czeka raj. Rzeczywistość jest jednak nieco inna. Przede wszystkim mieszkający tu dłużej i mający większe wpływy tureccy nacjonaliści uważają ekspresję kurdyjskiej tożsamości za zamach na tureckość i nie ma znaczenia, że ma to miejsce nad Renem, a nie w Anatolii. Niemcy zaś postanowiły rozwiązać sprawę po swojemu, czyli z finezją młota do kucia betonu. Przyjechał z Turcji? To jest Turkiem. A że jesteśmy tolerancyjni, to pozwolimy im na naukę ich języka, kontrolę Turcji nad ich meczetami, nadawanie tureckich imion dzieciom etc. Pewien Kurd opowiedział mi, że jego znajomy chciał dziecku nadać kurdyjskie imię – Welat, tzn. ojczyzna. Niemiecki urząd nie zgodził się, dodając, że skonsultował to z ambasadą Turcji, która stwierdziła, że nie ma takiego imienia, a w języku tureckim nie ma litery „W".

Inny Kurd chciał, by w szkole, w której było dużo kurdyjskich dzieci, były lekcje kurdyjskiego. Niemcy zareagowali zdumieniem. „Przecież już są lekcje tureckiego!" – usłyszał. Ponieważ Niemcy ze swoim biurokratycznym wdziękiem uznają każdego przybysza z Turcji za Turka, a z Iraku czy Syrii za Araba, więc Kurdów właściwie w Niemczech nie ma. Przynajmniej w statystykach. Oczywiście nie łagodzi to konfliktu, lecz go zaognia.

Gültekin twierdzi, że chce być lojalnym obywatelem Niemiec, ale nie może patrzeć, jak niemiecka broń zabija jego rodaków w Turcji, Syrii i Iraku

Problem infiltracji niemieckiej policji przez tureckie służby najlepiej pokazuje sprawa Dilan Örs. W 2016 r. w grupie studentów wtargnęła na statek wycieczkowy pływający w Kolonii na Renie, by zorganizować protest przeciwko więzieniu kurdyjskich działaczy w Turcji. Niemiecka prokuratura szybko umorzyła sprawę. Trzy lata później Örs pojechała do Turcji, by odwiedzić swoją matkę, kurdyjską piosenkarkę Hozan Canê, która została tam aresztowana za „propagowanie terroryzmu". Dilan Örs również trafiła za kratki, a podstawą oskarżenia były akta sprawy z Niemiec. Na tej

eprasa.pl f269829617

podstawie została ona później skazana na 10 lat i pięć miesięcy. Tuż przed wyrokiem, po przeszło dwóch latach spędzonych w areszcie, udało się jej jednak uciec. Niemieckie władze zaprzeczyły, że przekazywały jakiekolwiek akta Turcji, zatem musiały one trafić tam nielegalnie, dzięki „patriotycznym" policjantom z Kolonii. Patriotycznym w stosunku do swej starej ojczyzny oczywiście. Zarówno Dilan Örs, jak i Hozan Canê mają przy tym wyłącznie niemieckie obywatelstwo, ale i tak nie uniknęły tortur.

Reżim Erdoğana do ścigania swoich oponentów w Niemczech używa jednak przede wszystkim rozbudowanej sieci agentury. W 2016 r. Erdoğan wezwał mieszkających w Niemczech „patriotów" do donoszenia na „zdrajców". Rezultat jest taki, że obecnie w tureckim więzieniu przebywa ok. 100 obywateli niemieckich pochodzenia anatolijskiego. Większość z nich została zatrzymana w trakcie odwiedzin rodzin, dlatego też wieku Kurdów i innych oponentów Erdoğana w Niemczech czuje się zastraszonych i narzeka na to, że niemiecka policja nic z tym nie robi. A fałszywe donosy rozwiązują też często problemy rodzinne czy spory majątkowe, w które Niemcy ingerować nie chcą, więc robi to Turcja. Aby ułatwić składanie donosów, uruchomiono nawet specjalną aplikację na telefon. Ponadto ocenia się, że w Niemczech jest aż 8 tys. agentów MIT, czyli jeden na ok. 500 osób pochodzenia anatolijskiego.

Szczególną rolę w inwigilacji odgrywa DITIB, czyli Turecko-Islamska Unia ds. Religii, podlegająca tureckiemu ministerstwu religii (Diyanet) i kontrolująca ok. 1 tys. meczetów w Niemczech. DITIB powstała w 1984 r. i miała przeciwstawiać się propagowaniu radykalnego islamu przez ekstremistyczną organizację Milli Görüş. Tyle że obecny prezydent Turcji Recep Tayyip Erdoğan, rządzący nią od 20 lat, wywodzi się z tego ruchu. Gdy więc jego partia przejęła władzę, zyskała również kontrolę nad Diyanetem i DITIB uległ całkowitemu przeorientowaniu. Niemcy jednak tego nie zauważyli albo nie chcieli tego zrobić.

Dziś wielu niemieckich dziennikarzy i ekspertów przyznaje, że DITIB jest problemem, ale nikt nie chce się nim zająć w strachu przed tym, że Erdoğan znowu naśle na Niemcy migrantów. DITIB utrwala więc wpływy Erdoğana w Niemczech, inwigiluje osoby pochodzące z Turcji i szerzy ekstremizm religijny oraz skrajny nacjonalizm. Na każdym jego meczecie wisi turecka flaga, a osoby niezgadzające się z linią Erdoğana nie mają do nich wstępu, choć przecież Niemcy to ponoć wolny kraj. Zdarzało się też, że Kurdowie, którzy chcieli się tam modlić, byli bici. W 2018 r. w meczecie DITIB w Herfordzie urządzono przedstawienie, w którym brały udział dzieci (w wieku od czterech do siedmiu lat) przebrane w tureckie mundury i wyposażone w atrapy karabinów. Regularnie odbywają się tam również modły w intencji wymordowania wrogów Turcji i Erdoğana, w tym w szczególności Kurdów. Problem w tym, że pociągnięcie kogokolwiek do odpowiedzialności za to, co się dzieje w tych meczetach, wymagałoby zebrania dowodów poprzez inwigilację, a gdy w 2018 r. padł taki pomysł, to landowe służby specjalne odmówiły założenia podsłuchów i włączenia w obserwację tajnych współpracowników.

Wielu Niemców jest świadomych rosnących wpływów Szarych Wilków w niemieckiej polityce, ale mało kto chce o tym mówić

SZARE WILKI I INNI

Innym problemem jest infiltracja partii politycznych. Czasem pojawia się przy tym argument, że brak imigranckiej, np. tureckiej, partii politycznej w Niemczech, świadczy o tym, że środowiska te nie stanowią wyzwania dla spójności państwa. Pewne próby stworzenia tureckiej partii w Niemczech jednak były, np. powstały w 2010 r. proerdoganowski Sojusz Niemieckich Demokratów (ADD). W wyborach do Bundestagu w 2017 r. ugrupowanie to wystawiło listę tylko w Nadrenii Północnej-Westfalii i zdobyło tam zaledwie 0,5 proc. głosów. Pewne sukcesy zdobyło jednak na szczeblu samorządowym, wchodząc w koalicję z radykalną prawicą. Doświadczenia te utwierdziły Turcję w przekonaniu, że lepszą metodą jest wsadzanie swoich ludzi do partii niemieckiego mainstreamu, a nie budowanie etnicznej alternatywy. Najbardziej zinfiltrowana jest przy tym SPD, ale w połowie drugiej dekady XXI w. CDU postanowiła otworzyć się na konserwatywnych reprezentantów innych wyznań. I wtedy do partii tej zaczęli wstępować członkowie Szarych Wilków.

Szare Wilki to terrorystyczna organizacja skrajnie nacjonalistycznych Turków, założona w 1968 r. i ściśle związana z wspierającą Erdoğana Partią Narodowego Działania (MHP). Jest ona odpowiedzialna za zamachy bombowe, masakry, mordy skrytobójcze oraz porwania, przeprowadzane zarówno w Turcji, jak i w Europie. Najbardziej znanym członkiem tej organizacji jest Ali Ağca, który w 1981 r. dokonał zamachu na Jana Pawła II. Mimo to w Niemczech nie jest ona zabroniona, a nauczyciele tolerują w szkołach jej symbolikę, gdyż przeważnie nie mają pojęcia o jej znaczeniu. Wielu Niemców jest przy tym świadomych rosnących wpływów Szarych Wilków w niemieckiej polityce, ale mało kto chce o tym mówić, gdyż Szare Wilki mają długą tradycję fizycznego zastraszania oponentów. Ofiary tej organizacji, zarówno rodowici Niemcy, jak i osoby pochodzenia kurdyjskiego czy tureckiego, twierdzą przy tym, że działania policji w reagowaniu na to zagrożenie są niewystarczające. Według Klausa Kellego, konserwatywnego publicysty i byłego rzecznika CDU w Bremie, celem Szarych Wilków nie jest stwarzanie zagrożenia dla bezpieczeństwa wewnętrznego Niemiec, lecz uzyskiwanie wpływów politycznych. W ten sposób ultranacjonaliści tureccy chcą realizować swoją agendę rękoma niemieckich władz.

Zbrojnym ramieniem Szarych Wilków są natomiast tureckie gangi o charakterze mafijnym, takie jak Osmanen Germania, zdelegalizowany przez Niemcy w 2018 r. Stało się to jednak dopiero wówczas, gdy na jaw wyszło, że organizacja ta gromadzi broń za pieniądze otrzymywane od tureckich władz. Pośredniczył w tym deputowany do parlamentu tureckiego z ramienia rządzącej tam AKP Metin Külünk, który obecnie ma zakaz wjazdu do Niemiec. Liderzy Osmanen Germania uniknęli jednak aresztowania, gdyż zdołali uciec do Turcji. Wielu ekspertów niemieckich twierdzi, że to Szare Wilki, a nie niemieccy neonaziści, są obecnie największym zagrożeniem prawicowego ekstremizmu w Niemczech. Tyle że jest to opinia niepoprawna politycznie, wręcz „rasistowska", a zatem problem jest zamiatany pod dywan.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f269829617

FOT. KIRSTY WIGGLESWORTH/AP/EAST NEWS

ZŁAPANY W PUŁAPKĘ NOWOCZESNOŚCI

Marvin Rees, burmistrz Bristolu (zachodnia Anglia), polityk Partii Pracy, opowiadał o tym, jak miasta powinny ograniczać emisję CO_2. Problem w tym, że opowiadał to podczas konferencji TED zorganizowanej w Vancouver w Kanadzie. Aktywiści Flight Free UK zwrócili uwagę, że na 14-minutowy wykład poleciał samolotem przez ocean. Aktywiści organizacji klimatycznej Flight Free UK wyliczyli, że taka podróż powodowała emisję ponad 2 tys. kg CO_2, licząc na jednego pasażera. Wytknęli więc Reesowi hipokryzję.

ROSJA TROPI NOWEGO WIRUSA

Jeszcze przed inwazją na Ukrainę głównie rosyjskie trolle zamieszczały sugestie, że tam właśnie miały działać laboratoria Stanów Zjednoczonych, w których mogło dojść do wyprodukowania koronawirusa. Sytuacja się powtarza przy okazji tzw. małpiej ospy. Szef oddziałów ochrony radiologicznej, chemicznej i biologicznej (RCBZ) Sił Zbrojnych Rosji Igor Kiriłłow stwierdził w ubiegłym tygodniu, że w Nigerii, skąd pochodzi małpia ospa, co najmniej cztery laboratoria są kontrolowane przez Stany Zjednoczone. Uznał to za „dziwny zbieg okoliczności".

PILOT ZASNĄŁ PODCZAS LOTU

Pod koniec kwietnia samolot linii ITA Airways przelatywał w drodze z Nowego Jorku do Rzymu nad terytorium Francji. Francuscy kontrolerzy nie mogli jednak skontaktować się z jego załogą. Nie odpowiadała przez 10 minut i uznano, że samolot mógł zostać porwany. W stan gotowości postawiono nawet dwa myśliwce, ale chwilę potem samolot, jak gdyby nigdy nic, wylądował w Rzymie. Wewnętrzne śledztwo wskazało, że najprawdopodobniej piloci ucięli sobie podczas lotu drzemkę.

FRANCJA ZAKAZUJE SŁÓW

We Francji pracownicy administracji rządowej nie mogą już używać słów takich jak „streaming", „big data" czy „e-sport". Rząd uznał, iż nie jest dobrze, że żargon graczy komputerowych nasiąknięty jest anglicyzmami. Od teraz trzeba je zastępować oficjalnymi zwrotami francuskimi – tak nakazuje regulacja opublikowana w dzienniku urzędowym.

NAJEŹDŹCA CHCIAŁ POGRAĆ

Mieszkaniec Mariupola, który przez inwazję Rosjan musiał uciec z miasta, odebrał po jakimś czasie dziwny e-mail. Okazało się, że napisał do niego rosyjski żołnierz, który ukradł jego konsolę do gier. Prosił, żeby Ukrainiec przekazał mu hasło, bo bez niego nie może sobie pograć. Okradziony odpisał tylko jedno słowo: „nie". ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Koniec ruchu #MeToo?

W USA zapadł wreszcie wyrok w głośnym procesie Depp kontra Heard! Po sześciu tygodniach sądowego spektaklu ława przysięgłych w Wirginii uznała Amber Heard za winną znieważenia byłego męża Johnny'ego Deppa. Sąd zasądził Deppowi 15 mln dol. odszkodowania za to, że aktorka zniesławiła go, określając samą siebie jako „osobę publiczną będącą obrazem przemocy domowej".

Okazało się, że choć Heard pięknie potrafi płakać na zawołanie, to nie potrafiła przekonać ławy przysięgłych, iż jako żona Deppa rzeczywiście padła ofiarą przemocy domowej. I chociaż z przesłuchań wyłania się obraz aktorki jako kłamczuszki, to Disney wciąż nie chce przywrócić Deppa jako aktora w szóstej części „Piratów z Karaibów", którą to rolę stracił z powodu – jak się właśnie okazało bezpodstawnych – oskarżeń byłej żony.

To ważny wyrok nie tylko dla fanów Deppa, który dziękował przysięgłym za „zwrócenie mu życia", lecz także dla wszystkich mężczyzn. Przez ostatnie lata niczym w „Seksmisji" nie mieli oni bowiem szans na uczciwy proces. Ruch #MeToo tak mocno propagował hasło „Samiec twój wróg", że wystarczyło, iż jakaś aktoreczka rzuciła wyssane z palca oskarżenie, by po szybkim medialnym linczu zniszczyć karierę największej gwieździe. Bez sądu. Bez prawa do obrony. Dobrze, że sąd w Wirginii pokazał, iż kobiety też czasem kłamią. Oczywiście biedaczki z #MeToo, które nie zdążyły wyłudzić odszkodowania od bogatych aktorów, już lamentują, że wyrok cofnął prawa kobiet o kilka dekad wstecz. Dobrze się jednak stało, że sąd pokazał, iż za rzucanie fałszywych oskarżeń wobec niewinnych osób grozi surowa kara. Im mniej będzie posłuchu dla kłamców i kłamczuszek, tym łatwiej będzie żyć nie tylko samcom, lecz także prawdziwym ofiarom przemocy. ©℗

eprasa.pl f269829617

Wojna w cieniu wojny

Maciej Pieczyński

Inwazja rosyjska nie położyła kresu wewnętrznym konfliktom politycznym na Ukrainie. Pokazała natomiast, jak głęboko nieprawdziwe były wizerunki „wojownika" Poroszenki i „kapitulanta" Zełenskiego. W trwającej wojnie tych dwóch przywódców Polska powinna trzymać mocno kciuki za „sługę narodu"

W ubiegłym tygodniu były prezydent Ukrainy Petro Poroszenko miał być gościem Zgromadzenia Parlamentarnego NATO w Wilnie. Nie został jednak wypuszczony z kraju. Oficjalnie – z powodu braku odpowiednich dokumentów. On sam twierdzi, że pogranicznicy działali na polityczne zamówienie biura urzędującego prezydenta. Poroszenko zwrócił się osobiście do samego Zełenskiego i w końcu dostał zgodę na wyjazd – tym razem na szczyt Europejskiej Partii Ludowej.

Były prezydent Ukrainy jest dziś wciąż najgroźniejszym rywalem politycznym swojego następcy. Liderem najsilniejszej partii opozycyjnej – Europejskiej Solidarności. W grudniu zeszłego roku został oskarżony o zdradę stanu i wspieranie terroryzmu. W latach 2014–2015 miał w porozumieniu z przyjacielem Putina, wpływowym prorosyjskim politykiem Wiktorem Medwedczukiem, kupować antracyt z kopalni z terenów kontrolo-

eprasa.pl f269829617

Poroszenko (z lewej) pozycjonował się jako prezydent wojny, jedyny, który jest w stanie twardo przeciwstawiać się Moskwie. Zełenski do wyborów szedł jako kandydat pokoju FOT. BRENDAN HOFFMAN/GETTY IMAGES

wanych przez prorosyjskich separatystów, finansując w ten sposób podległe Moskwie parapaństwa.

Sąd zatrzymał na pewien czas paszport Poroszenki i zajął jego majątek. Po inwazji lider opozycji wziął do ręki karabin i założył oddział obrony terytorialnej. Wszedł też w skład nieformalnej wojennej koalicji parlamentarnej, ponad partyjnymi podziałami uchwalającej najważniejsze ustawy. Gdy już jednak bezpośrednie zagrożenie stolicy minęło, przeciwnicy znów stanęli w szranki. W kwietniu Rada Bezpieczeństwa Narodowego i Obrony wyłączyła nadawanie trzech przychylnych Poroszence kanałów telewizyjnych, które po 24 lutego unikały, co prawda, jawnej krytyki Zełenskiego, ale nie prezentowały przekazu identycznego z tym oficjalnym. Cenzura w warunkach wojennych wydaje się jednak zrozumiałą praktyką.

Lidera opozycji obciążają zeznania zatrzymanego przez SBU Medwedczuka. „Poroszenko zwrócił się do mnie z prośbą dotyczącą tego, jak można organizować dostawy węgla na Ukrainę z terytoriów [...] DRL i ŁRL [tzw. Donieckiej i Ługańskiej Republik Ludowych – przy. red.]. Prośba polegała na tym, że jest konieczność pomówić z prezydentem Federacji Rosyjskiej, aby on wpłynął na możliwość takich dostaw" – powiedział Medwedczuk. Deputowana do Rady Najwyższej z ES Sofija Fedyna, komentując zeznania, stwierdziła, że afera wokół Poroszenki ma odwrócić uwagę od wzrostu cen paliwa i kursu dolara, tragedii Azowstali, a także sprawić, że Ukraińcy zapomną o niepowodzeniach na froncie czy o tym, że obecna władza nie przygotowała kraju do odparcia inwazji. Ten ostatni zarzut pojawia się dość często. Zełenski miał zignorować amerykańskie ostrzeżenia przed agresją. Sam prezydent w jednym z wywiadów tłumaczył, że nie zamierzał siać paniki i rujnować gospodarki nadmiernymi przygotowaniami. Formułowane przez stronników i działaczy partii Poroszenki zarzuty o to, że Zełenski nie zapobiegł „tragedii Azowstali", mogą mieć spory ciężar polityczny, jeśli nie dojdzie do zapowiedzianej wymiany jeńców i obrońcy Mariupola, zamiast wrócić do kraju, trafią do łagru (albo gorzej). Trudno sobie wyobrazić, co można było zrobić lepiej. Rosjanie nie godzili się na ewakuację żołnierzy, a ukraińska armia odbić miasta nie była w stanie. Pozostawały tylko dwie opcje – śmierć (być może głodowa) w zrujnowanej fabryce lub niewola. Wybierając dla „azowców" to drugie, Zełenski zrobił, co mógł. Niemniej klęska Mariupola może pójść na jego konto.

Co ważne, krytykując władzę za wyciąganie z Medwedczuka kompromatów na Poroszenkę, Fedyna nie zaatakowała personalnie prezydenta, tylko szefa SBU, który jej zdaniem, walcząc z opozycją, torpeduje wysiłki Zełenskiego na rzecz zjednoczenia narodu ponad podziałami w imię walki z wrogiem zewnętrznym. To jakościowa zmiana w retoryce ludzi Poroszenki. Ta sama Fedyna przed inwazją potrafiła nawet grozić Zełenskiemu śmiercią. Dziś, mając świadomość, że prezydent w warunkach wojennych powinien być do pewnego stopnia nietykalny, w swojej krytyce skupia się bardziej na jego współpracownikach. Zwolennicy Poroszenki, broniąc swojego lidera, przekonują, że w czasie wojny potrzebna jest jedność, a nie polityczna walka. Z drugiej strony, jeśli zarzuty wobec byłego prezydenta nie są wyssane z palca, to kiedy sądzić polityka za finansowanie prorosyjskiego separatyzmu, jak nie podczas inwazji rosyjskiej?

NORMALNA WALKA POLITYCZNA

Sympatyzujący z Zełenskim historyk i publicysta Wasyl Rasewycz napisał niedawno na portalu Zaxid.net mocny tekst o „cynicznych atakach" na prezydenta. Rasewycz przypomina swoim ukraińskim czytelnikom, że cały świat zdążył już się przekonać o zdolnościach przywódczych, uczciwości oraz oddaniu ideałom wolności i demokracji „sługi narodu". Tylko oligarchiczna opozycja nie chce tych zalet dostrzec. Publicysta zauważa, że przeciwnicy prezydenta nie mogą się zdecydować, czy krytykować go za to, że zbytnią nieustępliwością doprowadził do wojny, czy też „wysuwać nikczemne wersje na temat tajnego porozumienia z Patruszewem". Rasewycz przekonuje też, że zmuszenie Niemiec do rezygnacji z drugiej nitki gazociągu północnego czy do wycofania swoich firm z rosyjskiego rynku to zasługa nie tylko USA, lecz także Zełenskiego, który nieustannie punktował bierność Zachodu.

Pomimo wojny toczy się więc normalna walka polityczna. Mniej medialna, bo obie strony zdają sobie sprawę, że w obliczu agresji partyjne spory są wizerunkowo nieopłacalne, a dla kraju szkodliwe. Za to w pewnym sensie ostrzejsza, bo obóz władzy wykorzystuje nadzwyczajną sytuację do wzmacniania swoich uprawnień. Część kompetencji samorządów przekazano rządowym administracjom obwodowym, co mogło być podyktowane chęcią uderzenia w skonfliktowanego z prezydentem mera Kijowa Witalija Kliczkę. Kontrowersje wzbudził pomysł trójki parlamentarzystów partii Sługa Narodu, by zezwolić dowódcom na froncie karać śmiercią swoich podkomendnych bez wyroku sądu. Przeciw była m.in. Europejska Solidarność. Ostatecznie projekt upadł. Wreszcie ludzie Poroszenki protestowali, gdy Zełenski publicznie dał do zrozumienia, że nie życzy sobie wizyty Franka-Waltera Steinmeiera. Działacze Europejskiej Solidarności, zgodnie ze swoimi proniemieckimi sympatiami, uznali twardą postawę prezydenta wobec Berlina za niepotrzebne zniechęcanie „sojuszników" do pomagania Ukrainie.

Poroszenko został prezydentem Ukrainy w maju 2014 r., niedługo po zwycięstwie Euromajdanu i wybuchu

eprasa.pl f269829617

wojny z Rosją. Rok później podpisał niekorzystne dla Kijowa porozumienia mińskie. Gdyby ich postanowienia weszły w życie, separatystyczne donbaskie parapaństwa wróciłyby w granice Ukrainy z prawem do autonomii, a ich przywódcy uniknęliby kary, być może nawet pozostając przy władzy. A jednak swoją wojenną retoryką Poroszenko wyrobił sobie wizerunek wielkiego patrioty, który się Moskalom nie kłania. Choć jednocześnie swoją fabrykę czekolady w Moskwie zamknął dopiero, gdy został do tego zmuszony. Trzy lata temu rosyjskojęzyczny Zełenski wygrał z Poroszenką, obiecując zakończenie konfliktu na wschodzie, a nie jego eskalację. Ale to właśnie Zełenski zaczął rozprawę z prorosyjską agenturą wpływu, z prorosyjskimi mediami i z oligarchami, których wszechwładza była chorobą toczącą Ukrainę praktycznie od początku niezależności. Wreszcie, po 24 lutego, do pewnego stopnia obaj wielcy rywale zdali egzamin. Zełenski – stając się mężem stanu na trudne czasy, Poroszenko – finansując obronę terytorialną.

PREZYDENT WOJNY VERSUS PREZYDENT POKOJU

Jak zauważył historyk i publicysta Mychajło Dubynianski, inwazja rosyjska zweryfikowała propagandowe wizerunki obu polityków. Poroszenko pozycjonował się zawsze jako prezydent wojny, nieustępliwy patriota, jedyny, który jest w stanie twardo przeciwstawiać się Moskwie. Zełenski do wyborów szedł jako kandydat pokoju czy też – jak przekonywali jego przeciwnicy polityczni – jako kandydat kapitulacji. „Teraz jest oczywiste, że Petro Poroszenko zapisze się w historii jako prezydent ograniczonego konfliktu hybrydowego, a Wołodymyr Zełenski jako prezydent otwartej, wielkiej wojny" – pisze Dubynianski na łamach „Ukraińskiej Prawdy". Przy czym taka zamiana ról wynika nie tylko z tego, że Rosja zaatakowała akurat w czasie rządów „sługi narodu", lecz także z konkretnych, realnych działań obu przywódców. Poroszenko wychodził z założenia, że dopóki Moskwa ma nadzieję na przejęcie władzy w Kijowie drogą polityczną, dopóty nie dojdzie do pełnowymiarowej inwazji. Dlatego też robił wszystko, aby tej nadziei Rosjan nie pozbawiać. Temu służyły kapitulanckie porozumienia mińskie czy tolerowanie prorosyjskiej działalności Wiktora Medwedczuka. Z hybrydowym charakterem konfliktu zerwał Zełenski. Na początku 2021 r. uderzył sankcjami w agenturę kremlowskiego wpływu. To zaś, według Dubynianskiego, pozbawiło Putina iluzji, że może podbić Ukrainę od środka, postanowił więc sięgnąć po militarne „przedłużenie polityki". Wojna Zełenskiego to wojna bez eufemizmów typu „operacja antyterrorystyczna", stosunków dyplomatycznych i handlowych z agresorem, bez udawania, że Moskwa nie bierze udziału w konflikcie. Paradoksalnie po 24 lutego okazuje się, że dwaj najważniejsi ukraińscy politycy właściwie zamienili się rolami, a ich wyborcy powinni zmienić preferencje. Zwolennicy „prezydenta wojny" mogą z podziwem patrzeć na Zełenskiego, a stronnicy „prezydenta pokoju" być może zatęsknią za kunktatorstwem Poroszenki.

Niezależnie od konfliktu ze swoim poprzednikiem obecny prezydent zjednoczył Ukraińców ponad podziałami nie tyle nawet politycznymi, ile kulturowymi, ideologicznymi

Niezależnie od konfliktu ze swoim poprzednikiem obecny prezydent zjednoczył Ukraińców ponad podziałami nie tyle nawet politycznymi, ile kulturowymi, ideologicznymi. Nie zajął stanowiska w trudnych sprawach polityki historycznej czy języka, dlatego, w odróżnieniu od poprzedników, nie dzielił swoich rodaków na „ukraińskojęzycznych banderowców z zachodu" i „rosyjskojęzycznych sowków ze wschodu" (zależnie od zwycięskiej opcji jedna z tych dwóch grup była dobra, druga – zła), dzięki czemu w chwili próby udało mu się „zszyć" tak wcześniej podzielony naród – może nie pojednać, ale przynajmniej na chwilę pogodzić. Jeszcze przed wybuchem wojny nawiązał przyjazne relacje z najbliższymi – jak się okazało – strategicznie ważnymi sąsiadami, w tym z Polską. Nie ustąpił Putinowi. Wypowiedział wojnę oligarchom.

Ugrupowanie byłego prezydenta Ukrainy – Solidarność Europejska – blisko współpracuje z Europejską Partią Ludową. To jedna z wielu odpowiedzi na pytanie, dlaczego Poroszence nigdy nie było po drodze z obozem PiS. Były prezydent Ukrainy miał dobre relacje z ludźmi Platformy Obywatelskiej, a w polityce zagranicznej orientował się głównie na Berlin, a także na Paryż – w końcu to Niemcy i Francja stały się gwarantami procesu pokojowego (Polski do stołu nie zaproszono). A jak „skuteczny" był to proces, przekonaliśmy się 24 lutego 2022 r. Ponadto Poroszenko postawę proeuropejską (ściślej: proniemiecką) łączył z typowo zachodnioukraińskim historycznym nacjonalizmem i neobanderyzmem w kwestii polityki historycznej. Zełenski to „symetrysta", rosyjskojęzyczny Żyd, ukraiński patriota o prozachodnich sympatiach. Człowiek dialogu, który nie obiecywał ani kultu Bandery, ani jego zniesienia. Nie musi walczyć o sympatię skrajnie prawicowego elektoratu – po pierwsze dlatego, że to nie jest jego elektorat, a po drugie dlatego, że swoją postawą podczas wojny dowiódł, iż nie jest kapitulantem.

Relacje polsko-ukraińskie przeżywają renesans. Wdzięczność Ukraińców za pomoc jest autentyczna i może zaprocentować. Nie bez znaczenia w dyplomacji są osobiste relacje – a te między Dudą a Zełenskim są świetne. Biorąc pod uwagę „symetryzm" ukraińskiego prezydenta, może on „zszyć" Polaków i Ukraińców, tak jak to zrobił z własnym narodem. Można mieć nadzieję nie tylko na kontrakty przy odbudowie Ukrainy, lecz także na rozwiązanie sporów o historię – taka perspektywa jest pod rządami „sługi narodu" po stokroć bardziej realna niż za czasów jego poprzednika. W interesie Polski leży, by w Kijowie rządził uprzedzony do Niemiec i zaprzyjaźniony z Dudą (wcześniej również z Macronem, ale tę sympatię wojna mocno nadwyrężyła) symetrysta Zełenski, nie zaś proniemiecki banderowiec Poroszenko. Także dlatego trzeba wspierać Ukrainę w bezwzględnym oporze przeciwko agresorom. Jakiekolwiek ustępstwa wobec Rosji zostaną momentalnie wykorzystane przeciwko „słudze narodu". Zełenski znowu dostanie łatkę kapitulanta. Niemcy mogą wówczas wygrać podwójnie: ich człowiek w Kijowie, Poroszenko, wróci do władzy, a Rosja nie zostanie pokonana. Wiadomo, co by to oznaczało dla Polski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f269829617

REPUBLIKA
OKO
na niedzielę
nowy program
w Telewizji Republika
sobota
premiera
21:50
niedziela
powtórka
14:50
zaprasza
ks. prof. Dariusz Oko
RepublikaTV
@RepublikaTV
Telewizja Republika
@RepublikaTV
Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, w internecie na stronie www.tvrepublika.pl
oraz droga naziemną w systemie DVB-T w Katowicach i okolicy oraz w systemie DVB-T2
w Warszawie na kanale 23, Wrocławiu na kanale 41 i w Gdańsku na kanale 31.

Studnia zdrowia

Łukasz Zboralski

Co z tego, że w polskich szpitalach jest nowoczesny sprzęt za miliony, skoro czasem leży dwa lata nierozpakowany w kartonie? Albo szczury przegryzają kable i aparatura zostaje unieruchomiona?

Najnowszy raport Najwyższej Izby Kontroli pokazuje, że system polskiej służby zdrowia nękany jest nie tylko wiecznym niedoborem pieniędzy. Widać wyraźnie, że nawet gdy pieniądze są, to wydaje się je w mało efektywny sposób.

Zacznijmy od najbardziej wstrząsającej historii, na którą natknęli się inspektorzy. Otóż przez prawie pół roku (do zakończenia kontroli NIK w październiku 2021 r.) w Samodzielnym Publicznym Zakładzie Opieki Zdrowotnej Wojewódzkiego Szpitala Zespolonego im. Jędrzeja Śniadeckiego w Białymstoku na Oddziale Kardiologii stał nieużywany angiograf (urządzenie pozwalające na obrazowanie żył, tętnic, komór serca). Szpital zgłosił awarię, urządzenie przestało działać. Oto, co odnotował wezwany na miejsce autoryzowany serwis: „W maszynowni aparatu liczne ślady ogryzionych resztek izolacji kabli sygnałowych i zasilających biegnących trasą kablową pod sufitem przez kolejne pomieszczenia. Ostry zapach zgnilizny/padliny sugeruje obecność szczurów. Do dalszej diagnozy wymagana jest wymiana lampy RTG oraz większości kabli sygnałowych i zasilających biegnących na trasie od maszynowni do sterowni i/lub ramienia". Ostatecznie naprawę wyceniono na prawie 10 mln zł, a placówka nie miała na to pieniędzy. Zdaniem NIK kable powinny zostać tak zabezpieczone, żeby nie mogły pogryźć ich szczury.

Sprzętu nękanego awariami jest dużo więcej. W Międzyleskim Szpitalu Specjalistycznym w Warszawie aparatura do badań medycyny nuklearnej oraz rezonansu magnetycznego była wyłączona w sumie przez 224 dni.

Pecha miało z kolei Wielkopolskie Centrum Onkologii w Poznaniu, które w 2014 r. kupiło gammakamerę (aparat do scyntygrafii – obrazowania wprowadzonych do organizmu pacjenta środków znakowanych radioizotopami; w ten sposób można dostrzec w narządach guzy nowotworowe czy stany zapalne), która stała nieużywana od 2019 r. Doszło do awarii, a prawo do przeglądów i części zamiennej zastrzegli sobie Duńczycy, którzy nie mają autoryzowanego serwisu na terenie Polski i nie zareagowali na wnioski czy prośby szpitala.

W sumie sprzęt unieruchomiony awariami kontrolerzy odkryli prawie w co piątym szpitalu (18 proc. zbadanych placówek).

WSTĘGA, ZDJĘCIE, KARTON

Na nieszczęście pacjentów wysokospecjalistyczny sprzęt medyczny potrafi stać latami nieużywany nie tylko z powodu awarii. Ponieważ zakupy często planowane są ad hoc, a pieniądze wydaje się pod koniec roku, „bo zostały", to czasem nowoczesny sprzęt ląduje w szpitalu, zanim nawet zleci się przebudowę miejsca, w którym mógłby pracować. Jest zatem odbiór sprzętu, czasem przecinanie wstęgi przez lokalne władze, relacje w prasie, a potem wstydliwa cisza.

Przykłady? Samodzielny Publiczny Zespół Zakładów Opieki Zdrowotnej w Ostrowi Mazowieckiej kupił sobie w grudniu 2020 r. angiograf. Przy decyzji o zakupie dziwnym trafem nie pomyślano o tym, że trzeba do niego zaadaptować jakieś pomieszczenie. Efekt? Do momentu kontroli NIK w październiku 2021 r. sprzęt stał nierozpakowany.

Podobnie było w Gnieźnie. Tam Szpital Pomnik Chrztu Polski zaplanował rozbudowę i doposażenie Szpitalnego Oddziału Ratunkowego. W 2019 r. kupiono i odebrano aparat RTG typu DR oraz tomograf komputerowy (każdy warty ponad milion złotych). Uruchomione zostały w pracowniach tomografii i RTG dopiero trzy lata później, w trakcie kontroli NIK.

W Wielkopolskim Centrum Onkologii w Poznaniu w maju ubiegłego roku odebrano zrobotyzowany akcelerator do radioterapii. Tymczasem w październiku dopiero tworzono dokumentację projektowo-kosztorysową, na podstawie

eprasa.pl f269829617

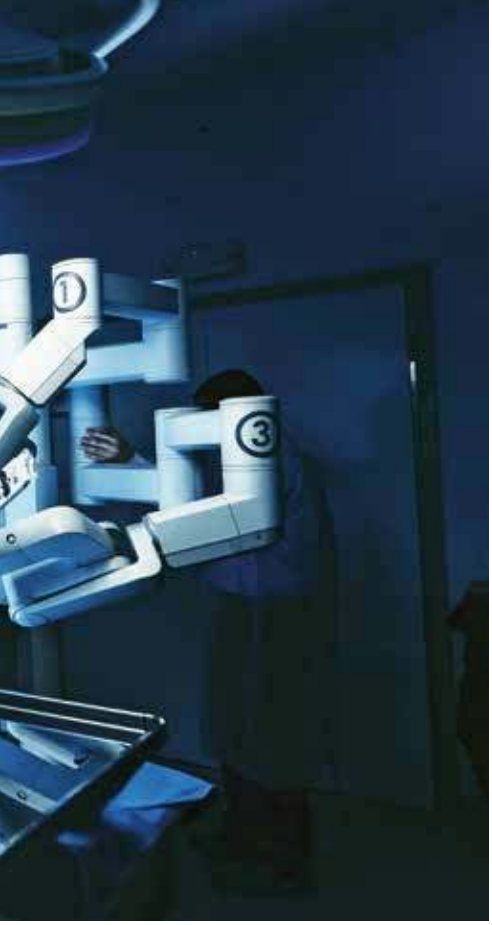

FOT. ADOBE STOCK

której dopiero miano ogłosić przetarg na prace adaptacyjne dla miejsca, w którym miałby stanąć.

Czasem jest to jeszcze bardziej kuriozalne. Jak w Grajewie, gdzie w Szpitalu Ogólnym im. Witolda Ginela przez wiele miesięcy nie używano angiografu, bo placówka za późno wystąpiła do Państwowego Wojewódzkiego Inspektora Sanitarnego z wnioskiem o zezwolenie na uruchomienie pracowni.

BEZ PLANU, BEZ KONTRAKTU

Nawet tam, gdzie są odpowiednie pomieszczenia, nowy sprzęt nie jest wykorzystywany w takim stopniu, w jakim powinien. Tu mamy do czynienia z dwoma problemami. Pierwszy tworzą same placówki medyczne, które decydują się na zakupy specjalistycznych urządzeń, choć dobrze wiedzą, że w ogóle nie mają kontraktu na oferowanie nowych świadczeń. „Szpitale te nie zawarły umowy z OW NFZ na odrębne finansowanie takich świadczeń lub nie miały finansowania dla procedur medycznych w nowo utworzonych pracowniach" – wytyka NIK.

Stało się tak m.in. we wspomnianym już szpitalu w Grajewie, gdzie szpital zawarł umowy z NFZ dopiero po kilkunastu miesiącach od uruchomienia pracowni. Przez ten czas, gdy działalność pracowni była zawieszona, szpital nadal płacił wynagrodzenie osobom ją obsługującym, co kosztowało w sumie 56 tys. zł.

Czasem oczywiście winne nie były wyłącznie placówki. W opałach znalazł się np. szpital w Przasnyszu, który wszystko dość dobrze planował – bo już na etapie zakupu rezonansu magnetycznego i tworzenia pracowni pracował nad zapewnieniem sobie umowy z NFZ na tego rodzaju badania diagnostyczne. Jednak Mazowiecki Oddział NFZ przesuwał terminy postępowań konkursowych poprzedzających zawarcie umów na takie świadczenia. Zatem od zakupu do umowy o finansowanie badań upłynęły prawie trzy lata.

W sumie w 41 proc. przypadków dokonywano zakupu drogiej aparatury pomimo braku kontraktu z NFZ w określonym zakresie.

SPRZĘT JEST, ALE OBSŁUGI BRAK

Jednak nawet, gdy szpital miał pomieszczenie i umowę z NFZ, specjalistyczny drogi sprzęt nadal w wielu przypadkach był wykorzystywany rzadko. Bariera tkwi w samym systemie finansowania zabiegów medycznych.

Z tego właśnie powodu nowoczesne roboty, jak system chirurgiczny da Vinci (jeden skomplikowany robot do wykonywania operacji kosztuje ok. 60 mln zł), które były na wyposażeniu pięciu kontrolowanych placówek, głównie stoją (w ogóle w Polsce jest 12 takich zestawów). W dwóch szpitalach kontrolowanych przez NIK tej aparatury używano bardzo rzadko. Dlaczego – skoro jest to narzędzie pewniejsze od ręki chirurga i pozwalające na bardzo precyzyjne i mniej inwazyjne operacje np. prostaty? Powód jest banalny. Po prostu polskie państwo za leczenie supersprzętem płacić nie chce. A gdy już resort zdrowia da się przekonać, że nowoczesne leczenie powinno być w Polsce gwarantowane, to decyzje przeciągają się latami.

Minister zdrowia już w 2017 r. rozpoczął prace legislacyjne, by świadczeniem gwarantowanym było leczenie z wykorzystaniem systemu chirurgii robotowej we wskazaniach: rak jelita grubego, rak gruczołu krokowego i rak błony śluzowej macicy. Ostatecznie leczenie tym sposobem nowotworów gruczołu krokowego dodane zostało do wykazu świadczeń gwarantowanych rozporządzeniem z… 25 stycznia 2022 r.

Zresztą świadczenia gwarantowane wyglądają tak, że placówki na każdym zabiegu i tak tracą. Więc nadziei na robotykę w operacjach na razie nie widać. Wojewódzki Szpital Specjalistyczny we Wrocławiu w 2019 r. szacował, że resekcja odbytnicy z wykorzystaniem systemu da Vinci kosztowała 28,5 tys. zł. Refundacja za to była natomiast na poziomie 15,5–18,2 tys. zł. W Wojskowym Instytucie Medycznym w Warszawie w roku 2020 koszty wykonania 25 zabiegów z wykorzystaniem da Vinci wyniosły 759,4 tys. zł. NFZ zapłacił za to 323,8 tys. zł, czyli zaledwie 43 proc. poniesionych kosztów.

I na koniec – nawet najznakomitszy sprzęt, przynajmniej na razie, nie pracuje jeszcze autonomicznie. Potrzebni są lekarze. A tych od lat w systemie ubywa. To dlatego, choć są rentgeny czy tomografy, to pacjenci na opis wyników czekają czasem tygodniami.

Jest jednak znacznie gorzej, bo brakuje rąk do przeprowadzania samych zabiegów. A to już nie jest bezpieczne ani dla pacjentów, ani dla lekarzy. NIK odkrył, że w Szpitalu Ogólnym im. dr. Witolda Ginela w Grajewie w Pracowni Angiografii (czynnej 24 godziny na dobę), lekarze wykonujący inwazyjne zabiegi naczyniowe oraz radiologiczne zabiegi diagnostyczne dyżurowali czasem bez przerwy przez 120 godzin! To powtarzało się każdego miesiąca z okresu objętego kontrolą. Na przykład w lipcu 2021 r. lekarz kierujący pracownią pełnił 15 całodobowych dyżurów medycznych, w tym dwa razy nieprzerwanie udzielał świadczeń przez pięć dób.

W sumie 12 szpitali w Polsce ma systemy do chirurgii da Vinci, które kosztują dziesiątki milionów złotych. Jednak aparatura używana jest bardzo rzadko

Tymczasem – i niech to będzie gorzką puentą – jak opisałem w poprzednim numerze „Do Rzeczy", w Polsce podczas pandemii wydano na dodatki covidowe dla personelu 10 mld zł. Trafiały nawet do tych, którzy nigdy nie zetknęli się z pacjentem zarażonym koronawirusem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f269829617

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Balcerowiczu, wróć?

Zwolenników dalszego mocnego zadłużania państwa jest w Polsce tak wielu, że wprost nie sposób ich zliczyć. Jeszcze całkiem niedawno – jeszcze na początku 2021 r., prześcigali się oni, żeby przekonać opinię publiczną, że Polska – w czasach taniego kredytu, które to czasy miały ich zdaniem trwać wiecznie, miały trwać po wsze czasy – powinna się zadłużać dużo bardziej, niż to wynika z zapisów naszej, anachronicznej pod tym względem Konstytucji, a więc znacznie powyżej dozwolonego poziomu 60 proc. rocznego PKB Polski. A limit ów, tak niedorzecznie niski, jest zwyczajnie niemądry i antyrozwojowy, w oczywisty sposób stojąc na drodze Polski do wspaniałej przyszłości.

Ba, powstawały w tej sprawie listy otwarte i apele, organizowano konferencje naukowe, mniej czy bardziej cichego wsparcia temu – w istocie – ruchowi na rzecz topienia Polski w długach, udzielał rząd – nie od dziś żywo zainteresowany „prorozwojowym" zadłużaniem Polski. Ot, choćby latem 2020 r. opublikowany został list otwarty „ekonomistów młodego pokolenia" w liczbie ponad 20, którzy bez skrupułów zachęcali do zadłużania państwa znacznie ponad owe 60 proc. PKB, wyliczając, że podatnicy bez trudu udźwignęliby dług nawet w wysokości 78 proc. PKB. Jak bezkompromisowo wskazywali w swoim liście: „Odważna polityka gospodarcza jest możliwa. Dziś istotną barierą rozwojową dla Polski jest ustanowiony w konstytucji arbitralny próg zadłużenia, który może uniemożliwić prowadzenie przez państwo polityki prorozwojowej, uwzględniającej wyzwania infrastrukturalnej luki inwestycyjnej, polityki mieszkaniowej czy transformacji energetycznej ku neutralności klimatycznej".

Co prawda dziś – dziwnym trafem – trudno znaleźć w Internecie tamte listy otwarte i referaty z konferencji – może poznikały ze wstydu, a zwolennicy „zadłużania na żądanie" chwilowo poukrywali się w mysich dziurach, lecz zasiane przez nich ziarno wciąż daje plon – rząd wprost dwoi się i troi w mnożeniu budżetowych wydatków, a że na przeszkodzie stoi mu nasza nieszczęsna Konstytucja z owym idiotycznym limitem zadłużenia, to sprytnie ją obchodzi, całe setki miliardów złotych ukrywając przed Konstytucją RP oraz Sejmem RP i Senatem RP w pozakonstytucyjnych funduszach specjalnych.

Zwolenników dalszego mocnego zadłużania państwa jest więc w Polsce tak wielu, że wprost nie sposób ich zliczyć, choć dziś znów wstydliwie skrywają się za opuszczonymi przyłbicami, a, niestety, Balcerowicza – oprócz Leszka Balcerowicza – nie ma ani jednego. Ani w tym rządzie – to jasne jak słońce – ani w żadnej z liczących się w wyścigu po władzę partii opozycyjnych. A przydałoby się, oj, jeszcze jak by się przydało, żeby wreszcie pojawił się jakiś Balcerowicz i zrobił z tym bałaganem – z wielkim długiem publicznym i szalejącą inflacją – porządek. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Porada Lecha Wałęsy

Prawie 10 lat temu Adam Michnik wytoczył proces Rafałowi A. Ziemkiewiczowi za stwierdzenie, że niezgadzających się ze sobą publicystów terroryzuje pozwami sądowymi. Był to chyba jedyny w historii przypadek, gdy złożony pozew dowodził prawdziwości tez, za które powód pozywał.

Coś podobnego zdarzyło się właśnie w „Gazecie Polskiej", gdzie Dawid Wildstein zaatakował „Do Rzeczy" za nasze podejście do wojny na Ukrainie, pisząc, że bezzasadnie twierdzimy, iż dyskusja na tematy przez nas poruszane jest tabu. Jak jest tabu, jak nie jest – stwierdza Wildstein junior, pisząc, że na te tematy nie należy dyskutować, a kto dyskutuje, ten biedarealista.

Tak się składa, że w „Do Rzeczy" ścierają się różne poglądy. Wystarczy wziąć do ręki ten numer i zobaczyć dwugłos Rafała A. Ziemkiewicza i niżej podpisanego na temat wypowiedzi Kissingera

Wildstein pisze, że każdy musi przecież widzieć, że jest tylko jedna jedynie słuszna i właściwa interpretacja zdarzeń, i to jest właśnie ta, którą przedstawia on, Wildstein. I my to też musimy w „Do Rzeczy" wiedzieć, a więc jedynie udajemy, że nie wiemy, bo walczymy o kasę naszych czytelników. Nie to, co tytuł, w którym publikuje Wildstein. On akurat o kasę czytelników nie walczy – i to mogę napisać całkowicie szczerze.

Otóż tak się składa, że w „Do Rzeczy" ścierają się różne poglądy. Wystarczy wziąć do ręki ten numer i zobaczyć dwugłos Rafała A. Ziemkiewicza oraz niżej podpisanego na temat wypowiedzi Henry'ego Kissingera. Proszę pokazać mi podobny dwugłos w piśmie, gdzie ukazał się tekst Wildsteina. Albo starcie opinii w innej sprawie, dotyczącej wojny i jej konsekwencji, np. w kwestii konsekwencji gospodarczych i naszej na nie odporności lub w kwestii trwałości sentymentu, na którym początkowo budowano gotowość do pomocy ukraińskim uchodźcom.

Można oczywiście chować głowę w piasek. To już zostało dobrze przećwiczone. Na każde pytanie da się odpowiedzieć: „A co, wolisz ruskie bomby?" – i szach-mat, biedarealisto! Ma to jednak tyle sensu, co dawna porada Lecha Wałęsy, żeby stłuc termometr, a nie będzie się mieć gorączki. Lektura tekstu Wildsteina prowadzi jednak do wniosku, że niektórzy wciąż w radę Wałęsy wierzą. ©℗

eprasa.pl f269829617

Poznań

Grupa Inwest®

WILDA CORNER

DZIEŃ OTWARTY
25 czerwca 2022 r.

Odbiór kluczy w lipcu 2022

www.wilda-corner.pl

HORYZONT
NARAMOWICE

SYSTEM PŁATNOŚCI 10/90%

Odbiór kluczy do końca 2022

www.horyzont-naramowice.pl

NOVA ŁACINA
NIEMENA 6

MIESZKANIA INWESTYCYJNE

www.nova-lacina.pl

www.**grupainwest.pl** +48 **882 818 848**

eprasa.pl f269829617

Mam szansę walczyć o mistrzostwo

FOT. ABBIE PARR/GETTY IMAGES

Z Mateuszem Masternakiem, bokserem
rozmawia
Łukasz Majchrzyk

ŁUKASZ MAJCHRZYK: Czy czwarta pozycja w rankingu organizacji WBC oznacza wejście na drogę, na której końcu jest walka o pas mistrza świata w kategorii cruiser?

MATEUSZ MASTERNAK: Nigdy nie byłem tak wysoko w rankingu WBC, najbardziej szanowanej ze wszystkich federacji bokserskich. Wygląda na to, że prosta do walki o pas jest bardzo krótka, chociaż nie od dziś wiadomo, że w boksie wiele się może szybko zmienić. Ilunga Makabu obronił pas w pojedynku z Thabiso Mchunu. Możliwe, że zmierzy się następnie z Canelo Alvarezem, który jest jedną z największych gwiazd boksu i byłby faworytem takiego starcia. Liczę na to, że Meksykanin by zwyciężył i przejął pas mistrzowski.

Dlaczego kibicuje pan Alvarezowi?

Przy jego warunkach fizycznych niemożliwe jest, żeby na dłużej został w kategorii cruiser, więc wygrywa i „zwalnia" tytuł, a do ringu wchodzą bokserzy numer jeden oraz dwa. Ważne jest jeszcze to, że Aleksiej Papin, który jest drugi w rankingu, ma duże problemy ze zdrowiem [w ciągu ostatnich dwóch lat stoczył trzy walki, ostatnią 27 maja 2022 r. – przyp. red.].

Trochę tych puzzli musi się złożyć w całość. Jak dużo jest w pana rękach, żeby stanąć do walki o mistrzostwo świata?

Wbrew pozorom jest bardzo dużo. Myślę, że najpewniejszą drogą byłoby, gdybym dostał szansę walki o tytuł oficjalnego pretendenta. W takiej sytuacji mistrz ma pół roku na to, aby stanąć ze mną twarzą w twarz, bo federacja WBC pilnuje tej zasady. Jeśli mistrz odmówi walki, to musi oddać pas, który staje się „wakujący". Muszę ciężko trenować, żeby wygrywać kolejne walki, bo jeśli sportowo będę się sprawdzał, to na pewno dostanę swoją szansę. Po raz pierwszy w mojej karierze szansa walki o pas mistrza świata jest namacalna. Wszechświat wysyła do mnie pozytywną energię.

Różnie może być? Pan jest ostrożny, bo np. koronawirus pokrzyżował panu plany awansu na igrzyska olimpijskie?

Wszystko się może zdarzyć, ale doświadczenie podpowiada mi, że wątpliwości znikają dopiero wtedy, kiedy wejdziesz do ringu.

Zwycięstwo można ogłaszać dopiero wtedy, kiedy sędzia podniesie rękę w górę, wcześniej nie ma się co cieszyć?

Z tym już też różnie bywało. Nawet w Polsce zdarzało się, że sędziowie dwa razy zmieniali swoją decyzję odnośnie do tego, kto wygrał na punkty.

Zrobił pan sobie przerwę od boksu zawodowego, gdzie miał pan ugruntowaną pozycję i przeszedł do rywalizacji olimpijskiej. To się rzadko zdarza. Nie żałuje pan decyzji?

Nie żałuję tej przygody, bo bez tego pewnie inaczej by się wszystko potoczyło w mojej karierze. Dostawałem propozycje walk wyjazdowych, za całkiem niezłe pieniądze, i może bym się na to skusił. Finansowo wyszłoby na plus, ale sportowo mogłoby być różnie. W boksie na wyjeździe wygrać jest dwa razy trudniej. Mogłoby się przytrafić kilka porażek, a wtedy trzeba byłoby myśleć o zupełnie innych rzeczach niż perspektywa walki o mistrzostwo świata.

To była chyba trudna przygoda dla kogoś, kto rywalizował na najwyższym poziomie i jest przyzwyczajony do profesjonalizmu?

Mnie nie jest łatwo nawet w boksie zawodowym. Przez całą karierę musiałem sam nad sobą pracować i chociaż jestem zawodnikiem, to zbierałem także doświadczenie trenerskie. Podczas współpracy ze śp. trenerem Andrzejem Gmitrukiem też to tak wyglądało, że najpierw przez trzy miesiące ćwiczyłem z nim, a potem przez trzy miesiące sam w domu. Kiedy zacząłem przygotowania do kwalifikacji olimpijskiej, wszyscy

eprasa.pl f269829617

mnie ostrzegali, że muszę się przestawić na walkę trwającą trzy rundy. Tu nie ma czasu na rozkręcanie się, wchodzi się do ringu rozgrzanym do czerwoności i od razu na pełnych obrotach. Tymczasem na zgrupowaniach kadry musiałem toczyć trzy razy w tygodniu sparingi trwające po 15 rund. Nawet w boksie zawodowym tak nie pracowałem. Powinno być dokładnie odwrotnie, żebym się nauczył kumulować i wyzwalać od razu energię. Jak się później okazało, taki sposób pracy był błędny. Na igrzyska dostał się tylko jeden polski zawodnik, który odpadł w pierwszej rundzie. Taki wynik i tak można uznać za sukces, ale absolutnie nie jest to zasługa trenera kadry, ale szkoleniowca klubowego Ireneusza Przywary. Niestety, w reprezentacji nikt nie może pracować indywidualnym trybem.

Nie widać nadziei na poprawę?

W Polsce trener kadry musi się zajmować wszystkim: techniką, fizjologią, mentalnością, kondycją. Trzeba tam wpuścić specjalistów: fizjologów, masażystów, zacząć zrobić badania poziomu zakwaszenia. Kiedyś obowiązywała zasada, która przyszła ze Związku Sowieckiego, że na trening wchodziło się na dwóch nogach, a wychodziło z niego „na czterech". W ZSRS mieli bokserów bez liku, więc zawsze komuś taki tryb pasował i wyniki były. W Polsce na rzadkie diamenty trzeba chuchać i dmuchać, a tymczasem ja ani razu na kadrze nie miałem treningu szybkościowego. W ciągu dwóch tygodni miałem 22 treningi i na wszystkich pracowałem nad wytrzymałością. Po przegranej walce trener miał do mnie pretensje, a przecież nie powinien, skoro dałem radę kondycyjnie. Dla mnie to jest niepojęte, że tak niekompetentni ludzie są na tak wysokich stanowiskach.

W boksie zawsze idzie się na wojnę. W narożniku musi stać ktoś, komu zawodnik ufa?

Z Piotrem Wilczewskim mamy relację partnerską. Wiem, że nie jestem zawodnikiem łatwym do trenowania, bo zadaję dużo pytań i nie przyjmuję z marszu poleceń trenera, zawsze chcę wiedzieć, po co wykonuję jakieś ćwiczenie. Dobry trener jest nieoceniony. Widzi, jak walka przebiega, co trzeba zrobić, jest z boku, a nie w środku wymiany ciosów. Pamiętam podpowiedź śp. Andrzeja Gmitruka, po której momentalnie skończyłem pojedynek. Ulli Wegner z kolei zwrócił mi uwagę, że przy zadawaniu ciosu unoszę najpierw rękę, przez co tracę sporo siły. Po tej poprawce wszystko zaczęło mi wychodzić podczas treningu. Podobało mi się w Niemczech, gdzie od samego początku wiedziałem, nad czym i w jaki sposób będziemy pracować.

Ma pan już ponad 30 lat i za sobą 50 zawodowych walk. Jak długo jeszcze może pan rywalizować? Pojawiają się obawy o zdrowie?

Boks zawsze niesie za sobą ryzyko. Jeden cios może wyrządzić krzywdę, ale niebezpieczeństwo można minimalizować, dobrze się przygotowując i walcząc tak, żeby przeciwnik nie mógł zrobić krzywdy. Ostatnio stanąłem w ringu z mniej znanym zawodnikiem. Postanowiłem zacząć ostrożnie i spokojnie, a to spowodowało, że przeciwnik się rozhulał. Skróciłem więc dystans, bo w ringu, paradoksalnie, im jesteś bliżej kogoś, tym jesteś bezpieczniejszy. Jednak naprawdę bezpieczny jesteś tylko wtedy, gdy przeciwnik leży na łopatkach, bo wtedy już nie uderzy.

Żona mocno przeżywa pana pojedynki? Sama była bokserką i dobrze sobie zdaje sprawę z ryzyka.

Kiedyś mocno mnie zagrzewała do walki, siedziała tuż przy ringu i nawet krzyczała (śmiech). Teraz jest inaczej i sama mówi, że bardzo się denerwuje, mówi, że ma „bąbelki w głowie". Podczas jednej gali nie była w stanie wysiedzieć przy ringu i czekała w kuluarach.

A jak podchodzi do tego, że często nie ma pana w domu? Oprócz kariery bokserskiej ma pan wiele innych zajęć, choćby służbę w wojsku.

Rzeczywiście, tych obowiązków jest dużo. Jeśli nie jestem na obozie sportowym, to w jednostce pojawiam się od poniedziałku do piątku, a czasami także w weekendy. A gdy dokładałem do tego bardzo długie treningi, to zdarzało się, że wieczorami siedziałem zmęczony na kanapie i nie miałem siły się ruszyć. Żona w pewnym momencie powiedziała, że to się musi zmienić, bo mam też obowiązki jako mąż i ojciec. Nauczyłem się trochę odpuszczać i na szczęście udaje się pogodzić służbę w wojsku z karierą bokserską.

Wojsko wykorzystuje też pana popularność.

Można powiedzieć, że ja korzystam z wojska i wojsko ze mnie też. Brałem udział w akcji „Nasza historia ma dwa kolory. Nie pisz na fladze" czy w gali sportów walki, organizowanej przez wojsko. Zmierzyłem się tam z Bartoszem Barczyńskim. To doświadczony pięściarz, a na co dzień żołnierz jednostki powietrznodesantowej. To było ciekawe starcie i na pewno poprzeczka zawisła wysoko. Mam nadzieję, że ten związek potrwa jeszcze długo.

Jak w tym wszystkim wychowywać dzieci? Jak udaje się panu być dobrym ojcem?

Nie jest łatwo, bo tryb życia mam nieregularny, więc często brakuje czasu albo sił. Czasami słyszę prośbę: „Tato, chodź pograć w piłkę", a ja po treningu marzę tylko o tym, żeby posiedzieć na kanapie. Dlatego staram się poświęcać chłopcom każdą wolną chwilę. Zabieram ich czasami na treningi. Chciałbym pokazać synom, że nie wychodzę z domu dla relaksu, ale do pracy. Specjalnie to podkreślam, bo treningi zazwyczaj kojarzą się z odpoczynkiem i robieniem czegoś dla przyjemności. Kiedyś moi kuzyni mieli do tego luźne podejście. Nie mogli zrozumieć, że trening to praca i nie mogę go przesunąć na inną godzinę po to, żeby załatwić jakąś sprawę. Moja żona Daria zwróciła uwagę, że przecież oni swojej pracy nie dostosują do rozrywek. Tak zarabiam na chleb, więc muszę poważnie traktować treningi.

Wypadki śmiertelne w ringu się zdarzają, choć ostatnio najgłośniej było o przypadku gali punch down i śmierci Artura „Walusia" Walczaka. Jak pan ocenia wydarzenia, w których biorą udział celebryci?

Pamiętajmy, że my, bokserzy, jesteśmy przyzwyczajeni do zadawania i otrzymywania ciosów. Jest to poparte latami treningów, wzmacnianiem całego ciała, które absorbuje wstrząsy. Gdybym nieprzygotowany otrzymał taki cios, jakich wiele spada na mnie podczas walki, to pewnie nie ustałbym na nogach. A już osobną kwestię stanowi zapewnienie odpowiedniej opieki medycznej. Uczestnicy popularnych ostatnio tzw. freak fights podejmują ogromne ryzyko. Kibice to lubią, bo to taki sportowy fast food – duże emocje, czasami krew, nokauty. Na dobrym boksie, żeby go docenić, trzeba się trochę znać. Dlatego ludzie często wybierają takie wydarzenia zamiast gal bokserskich. Potem pytają, czemu jeszcze nie walczyłem o mistrzostwo świata, a ja pytam, czemu nie było ich na gali. Jeśli oni pojawią się na trybunach i mnie wesprą, to ja zawalczę o mistrzowski pas.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f269829617

Rośnie znaczenie drewna, a nie jego cena

Czy drewno będzie surowcem strategicznym?

Przedsiębiorcy biją na alarm z powodu wzrostu cen drewna i jego małej dostępności. Lasy Państwowe – główny dostawca tego surowca na polski rynek – przekonują, że ceny utrzymują się na stabilnym poziomie, a niedoboru nie widzą. Co więcej, wprowadzają nowe regulacje, które umożliwią pierwszeństwo zakupu drewna opałowego klientom indywidualnym. Jakie są fakty?

Sektor leśno-drzewny jest ważną częścią polskiej gospodarki, wypracowuje 2,7 proc. PKB i zatrudnia ponad 460 tys. osób. Polska jest drugim na świecie producentem mebli, trzecim producentem okien i drzwi oraz jednym z największych (pierwsza dziesiątka) producentem tarcic (to deski, bale, łaty i inne elementy powstałe podczas przerabiania drewna okrągłego). Nic zatem dziwnego, że przedsiębiorcy śledzą ceny drewna jak maklerzy indeksy spółek na giełdzie.

Z kolei głównym dostawcą drewna na polski rynek są Lasy Państwowe, które pokrywają ponad 90 proc. zapotrzebowania krajowego przemysłu i mieszkańców. Co roku surowiec od Lasów Państwowych kupuje ok. 7 tys. krajowych firm różnej wielkości. Trafia do nich ogromna większość z całości pozyskiwanego drewna. Od wielu lat leśnicy oferują przedsiębiorcom surowiec w dwóch najważniejszych internetowych procedurach: w sprzedaży ofertowej w Portalu Leśno-Drzewnym, umożliwiającej nabycie surowca klientom, którzy kupowali już wcześniej od Lasów Państwowych, oraz na aukcjach systemowych w aplikacji e-drewno, dostępnych dla wszystkich przedsiębiorców. Co więcej, ceny surowca określone w umowach są stałe przez cały okres ich obowiązywania.

PRZEMYSŁ I HANDEL PODNOSZĄ CENY WYROBÓW Z DREWNA

Przedstawiciele przemysłu drzewnego często zarzucają Lasom Państwowym windowanie cen drewna. Niesłusznie. Jak się jednak okazuje, na wzrost cen ostatecznych wyrobów ogromy wpływ mają przede wszystkim producenci i sprzedawcy. W 2021 r. ceny produktów z drewna rosły o wiele szybciej i intensywniej niż ceny surowca, z którego wyroby te są wytwarzane. Doskonałym przykładem na zobrazowanie tego trendu jest popularna na rynku budowlanym płyta OSB.

Zgodnie z raportem Polskich Składów Budowlanych we wrześniu 2021 r. w porównaniu z wrześniem 2020 r. ceny płyt OSB wzrosły o 125 proc. W tym samym okresie w Państwowym Gospodarstwie Leśnym Lasy Państwowe cena surowca sosnowego S2A (SO S2A), z którego produkowana jest ta płyta, wzrosła o… 10 proc., a od początku roku średnio jedynie o 2 proc., osiągając poziom cen z roku 2019.

eprasa.pl f269829617

Twierdzenie, że podniesienie cen drewna okrągłego o kilka procent spowodowało wzrost cen wyrobu o 125 proc., jest przykładem manipulowania danymi i przerzucaniem odpowiedzialności za podwyżki na dostawców.

LASY PAŃSTWOWE TO NIE FIRMA KOMERCYJNA

Lasy Państwowe prowadzą odpowiedzialną i zrównoważoną gospodarkę leśną na podstawie ustaw i rządowych rozporządzeń oraz aktów prawa unijnego, także w zakresie ochrony przyrody. Oznacza to m.in., że wielkość pozyskiwanego drewna wynika z realizacji ściśle określonego dla każdego nadleśnictwa w Polsce 10-letniego planu urządzenia lasu. Każdy plan jest opracowywany przez ekspertów, a po dokonaniu szerokich konsultacji społecznych jest każdorazowo zatwierdzany przez ministra klimatu i środowiska. Na wielkość pozyskania nie mają wpływu zmiany rynkowe, koniunktura czy różnice w popycie lub cenie drewna na wolnym rynku. Lasy Państwowe nie działają jak firma komercyjna, która obserwując zwiększony popyt, wzmaga produkcję i podnosi ceny.

Na wielkość pozyskania nie mają wpływu zmiany rynkowe, koniunktura czy różnice w popycie lub cenie drewna na wolnym rynku. Lasy Państwowe nie działają jak firma komercyjna, która obserwując zwiększony popyt, wzmaga produkcję i podnosi ceny

Fundamentalnym celem każdego planu jest utrzymanie trwałości lasu, zachowanie jego ekosystemu i utrzymanie ciągłości wszystkich funkcji, jakie ten las pełni.

DREWNO SUROWCEM STRATEGICZNYM?

Znaczenie drewna jako surowca rośnie, zwłaszcza w obliczu zawirowań na rynku energetycznym. Obserwowana obecnie sytuacja geopolityczna przyczyniła się do tego, że Polacy coraz bardziej interesują się drewnem opałowym. A drewno w Polsce zawsze było istotnym surowcem energetycznym. Ogrzewanie mieszkań drewnem to wręcz element tradycji. Polacy nie tyle odkrywają drewno, ile do niego po prostu wracają. Lasy Państwowe od zawsze realizują potrzeby społeczne, z poszanowaniem dla środowiska przyrodniczego. Organizacja udostępni drewno opałowe Polakom, nie powodując uszczerbku dla leśnej przyrody. Drewno będzie pozyskiwane do limitu określonego planami urządzenia lasu, a jego cena pozostanie na dotychczasowym poziomie.

Większe ilości drewna opałowego dla klientów indywidualnych Lasy Państwowe zaoferują, koncentrując się dodatkowo na pozyskaniu posztucznym, tj. pojedynczych drzew i grup drzew, które zostały np. połamane przez wichury lub obumarły w ostatnim czasie. Takie sytuacje prowadzą zwykle do uszkodzeń drewna i ograniczają jego zastosowanie w przerobie.

Oczywiście znaczna część drewna opałowego pojawia się również przy planowanym pozyskaniu. Każdorazowo, gdy prowadzi się pozyskanie drewna, pewna jego część nie spełnia norm przewidzianych do przerobu. Jako opał wykorzystywane są także grubsze gałęzie, wierzchołki i najcieńsze pnie. Opał będzie się więc pojawiał na rynku, gdy będą realizowane normalnie zaplanowane prace leśne.

Cena drewna opałowego nie zostanie podniesiona w najbliższych miesiącach. Drewno stosowe, określane według standardów symbolem S4 (wałki długości 1,2 lub 2,5 m, przygotowane staraniem nadleśnictwa), kosztuje obecnie sto kilkadziesiąt złotych za metr sześcienny. Cena różni się zależnie od gatunku drewna. Droższe są te, które są bardziej kaloryczne (dąb, buk, brzoza). Najtańszy wariant to drewno określane symbolem M2 (drobnica gałęziowa). W sytuacji, gdy nabywca sam je przygotowuje (składa w stosy gotowe do pomiaru), cena może wynieść nawet ok. 30 zł/m sześc.

Mityczny eksport

Lasy Państwowe nie prowadzą eksportu drewna. To mit często powielany w obiegowej opinii. Drewno jest sprzedawane wszystkim legalnie działającym podmiotom gospodarczym oraz odbiorcom indywidualnym (gospodarstwom domowym). Kontrahenci zagraniczni stanowią niewielką ich część. **W 2021 r. było to jedynie 39 firm, wszystkie zarejestrowane wyłącznie na obszarze Unii Europejskiej. Pozostałych 6161 przedsiębiorstw, z którymi Lasy Państwowe współpracują w zakresie sprzedaży surowca, to firmy polskie.** Bezpośrednio z Lasów Państwowych nie kupiła drewna żadna firma zarejestrowana w Chinach, jak również w innych państwach poza UE.
To, co przedsiębiorcy zrobią z zakupionym drewnem, pozostaje ich indywidualną decyzją i przejawem wolności gospodarczej. Czy nabywca wyeksportuje surowiec czy też przerobi na miejscu i w jakim stopniu to zrobi, jest jego autonomicznym prawem, w które Lasy Państwowe nie mogą ingerować.
Niemniej w zasadach sprzedaży drewna, które obowiązują na lata 2022–2023, Lasy Państwowe wprowadziły dodatkowe elementy oceny ofert, premiujące przerób drewna w obrębie Unii Europejskiej. Tego rodzaju rozwiązania to legalne środki, jakie mogą podjąć Lasy Państwowe, by jeszcze bardziej wesprzeć firmy działające na rynku wspólnotowym.

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl f269829617

Innowacja to wdrożenie

FOT. ADOBE STOCK

Z prof. Małgorzatą Sznitowską, konsultantem krajowym ds. farmacji przemysłowej, kierownik Katedry i Zakładu Farmacji Stosowanej Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego
rozmawia Katarzyna Pinkosz

KATARZYNA PINKOSZ: W ramach konkursów na innowacyjne projekty badawczo-rozwojowe w farmacji do tej pory dofinansowywane były głównie projekty dotyczące leków oryginalnych. „Poszkodowane" były projekty dotyczące leków generycznych. Z pani inicjatywy powstał Zespół ds. Definiowania Innowacji w Przemyśle Farmaceutycznym w Polsce. Co z pani perspektywy, konsultanta krajowego, jest innowacją w przemyśle farmaceutycznym? Czy lek generyczny może być innowacyjny?

PROF. MAŁGORZATA SZNITOWSKA: Oczywiście. Według światowych definicji zawartych w „Oslo Manual" (to wytyczne obowiązujące w Europie) innowacja musi spełniać dwa warunki. Po pierwsze, musi być wdrożona, po drugie – musi wywierać efekt społeczny. A to oznacza, że innowacją nie jest wynalazek, patent. Wiele patentów nigdy nie ujrzy światła dziennego, a innowacja musi zaistnieć. Nie ma innowacji bez wdrożenia.

W powszechnym mniemaniu lek innowacyjny to nowy, przełomowy lek, który nigdy jeszcze nie został zastosowany. Wszyscy czekamy na pierwszy „polski lek". Czy powinniśmy bardziej zatroszczyć się, żeby w Polsce powstawały innowacyjne generyki?

Leki oryginalne są innowacyjne. Jednak innowacyjny będzie też lek generyczny, jeśli oryginalny jest dziś w Polsce niedostępny lub słabo dostępny (np. z powodów cenowych). Gdy pojawi się w Polsce generyk leku, do którego społeczeństwo wcześniej nie miało dostępu, bo cena była wielokrotnie wyższa, niż płatnik mógł wydać, będzie to innowacja. Lek oryginalny przez wiele lat jest jedyny na rynku, ma ochronę patentową, żadna firma nie może go produkować. Dużo kosztuje. Jego tańszy generyk będzie innowacją, bo stanie się faktycznie dostępny dla dużej grupy pacjentów, którzy do tej pory nie mieli dostępu do takiej terapii. Polskich pacjentów nie dotyczy innowacja w USA – dopóki lek nie trafi na polski rynek, dopóty nie będzie innowacją w Polsce. Innowacja to wdrożenie na danym rynku.

Lek generyczny tańszy albo mający inną formę, np. syropu dla dzieci zamiast tabletki, też spełnia definicję innowacji?

Tak, gdyż musiała być opracowana zupełnie inna technologia produkcji. Również gdy firma wdroży nowy sposób produkcji leku generycznego, np. energooszczędny lub w inny sposób bardziej ekonomiczny, to mówimy o innowacji. Powstanie każdego leku generycznego poprzedzają badania naukowe trwające co najmniej dwa–trzy lata. Trzeba udowodnić, że taki nowy lek ma takie same właściwości jak ten, który jest na rynku, a w konsekwencji będzie działać dokładnie tak samo. Poza tym firmy farmaceutyczne pracują też nad lekami generycznymi z tzw. wartością dodaną, kiedy np. lek będzie lepiej akceptowany przez pacjenta, bo tabletka jest mniejsza, podzielna, zastąpiona jest syropem dla dziecka, a syrop jest smaczniejszy albo dwie tabletki zastąpione są jedną. Nie można też zapominać, że szczególnie trudny jest rozwój biologicznych leków „generycznych", które nazywamy biopodobnymi. Koniecznie musimy wspierać powstawanie takich leków w Polsce, bo służą nowoczesnym terapiom.

Jednak firmy produkujące leki oryginalne muszą wykonać znacznie więcej pracy, badań naukowych, klinicznych, sam proces stworzenia oryginalnego leku to nawet 20 lat, wiele prób kończy się porażką. To jednak nieco inna innowacja niż syrop zamiast tabletki.

Oczywiście, jest pewna gradacja innowacji, nie można jednak powiedzieć, że nie ma innowacji w leku generycznym.

Rozmawiamy jednak nie tylko o definicji, lecz także o pieniądzach. Na jakie projekty powinny być przeznaczane?

Ponad 90 proc. przemysłu farmaceutycznego na świecie to przemysł generyczny, to on zabezpiecza podstawowe potrzeby społeczeństwa na leki. Zdecydowana większość leków (ok. 80 proc.) przez nas przyjmowanych to leki generyczne. Z publicznych pieniędzy powinniśmy przede wszystkim wspierać producentów,

eprasa.pl f269829617

którzy decydują się na bardziej ryzykowne projekty leków generycznych, trudne technologie. Żadna firma w Polsce nie produkuje dziś np. generycznego leku onkologicznego, ponieważ nie ma odpowiedniej infrastruktury. Żadna z firm nie produkuje też proszków do inhalacji. Jeśli chcemy, by polski przemysł – który jest przemysłem generycznym – odczuwał pomoc publiczną, to trzeba się zastanowić, czy wszystkie pieniądze będziemy kierować do firm, które obiecują, że za 20 lat powstanie nowy lek za kilka miliardów złotych, czy też znaczącą część finansowania przekażemy na rozwój leków ważnych społecznie. A my zobaczymy efekt szybciej, chociaż to i tak będzie po pięciu–sześciu latach, bo tyle trwa rozwój produktu generycznego razem z rejestracją.

Chodzi o to, co chcemy uzyskać, jako społeczeństwo, z pieniędzy wyłożonych na projekty badawczo-rozwojowe. Jeśli chodzi o leki oryginalne, to na ich wdrożenie potrzebne są ogromne fundusze, niedostępne bez angażowania kapitału zagranicznego. W którymś momencie taki lek zostanie sprzedany dużej firmie globalnej.

Bardzo byśmy wszyscy chcieli, aby powstał polski, oryginalny lek, dzięki pracy polskich naukowców.

To też jest ważne i nikt nie mówi, żeby nie dawać finansowania dla bardzo obiecującego leku. Jednak dążąc do tego, żeby za 15–20 lat powstał polski lek oryginalny, nie powinniśmy likwidować szans na polskie innowacyjne leki generyczne. Trzeba oceniać świadomie i rozumieć, co chcemy osiągnąć dla społeczeństwa. Rozwój leku oryginalnego to poligon dla naukowców, szansa dla firm, nie można jednak przeznaczyć 95 proc. środków na leki oryginalne, bo zaprzepaszczony będzie efekt społeczny innowacji, a z tych pieniędzy nie będziemy mieć dobrze widocznych korzyści w naszym systemie zdrowotnym.

W powszechnym mniemaniu lek generyczny to po prostu kopia: wystarczy sprawdzić, co jest w tabletce, i ją odtworzyć.

To nie tak. Weźmy np. lek w inhalatorze proszkowym, dwuskładnikowy, stosowany w astmie. Można oczywiście sprawdzić, jakie są w nim składniki, jednak żeby wyprodukować lek generyczny, trzeba to zrobić tak, żeby dostawał się do pęcherzyków płucnych i wchłaniał tak samo jak lek oryginalny. Końcowy efekt musi być taki sam, natomiast jego osiągnięcie – gdy mamy inne surowce, musimy stworzyć linię technologiczną – to właśnie wyzwanie dla naukowców w działach badawczo-rozwojowych. Trzeba udowodnić, że nowy lek działa tak samo i nie zmieni swoich właściwości w ciągu dwóch–trzech lat przechowywania. Badania nad lekiem generycznym trwają kilka lat, wymagają pracy naukowców, linii produkcyjnych – po to, żebyśmy faktycznie mieli leki tańsze i bardziej dostępne.

Warto też pamiętać, że firmy produkujące leki w Polsce, w przypadku problemów z produkcją czy łańcuchem dostaw, przede wszystkim będą starały się zaopatrywać Polskę. Jest to więc element bezpieczeństwa lekowego kraju.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

prof. Małgorzata Sznitowska *– konsultant krajowy ds. farmacji przemysłowej, kierownik Katedry i Zakładu Farmacji Stosowanej Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego.*

Agnieszka Marciniak, dyrektor Biura Strategii i Rozwoju Narodowego Centrum Badań i Rozwoju:

Pracujemy nad weryfikacją podejścia do kryteriów innowacyjności, analizujemy różne sugestie, które otrzymaliśmy od przedstawicieli sektorów, m.in. sektora leków generycznych. Chcemy zweryfikować własne stanowisko, a wyniki przekazać do dalszych konsultacji. Mamy też pewne wskazówki z Komisji Europejskiej, na co należy stawiać w dalszej perspektywie. Na pewno należy szerzej i bardziej otwarcie podejść do kryteriów innowacyjności. Mają one wiele wymiarów, pytanie jednak, na czym nam zależy: na skali czy na poziomie nowości. Dostrzegamy potencjał generyków, jeśli chodzi o innowacje, zwłaszcza procesowe, ale również produktowe. Mamy silne sygnały od przedstawicieli branży, żeby przy ocenie innowacyjności brane było pod uwagę także kryterium obniżenia ceny, co jak najbardziej mieści się w kryterium innowacyjności, które rozpatrujemy. Niektóre programy NCBiR są przeznaczone, by wspierać znaczące innowacje o wysokim stopniu nowości, wszystkie powinny dążyć do opracowania rozwiązań gotowych do wdrożenia. Zgadzam się z tym, że innowacja żyje, gdy jest wdrożona, nie zaś jako potencjał innowacji istnieje tylko w zaciszu laboratorium. Dobrym zwiastunem jest program FENG (Fundusze Europejskie dla Nowoczesnej Gospodarki), gdzie pierwszy raz NCBiR będzie mógł na taką skalę finansować komponent wdrożenia innowacji. Nie jest jednak tak, że firmy generyczne nigdy nie otrzymywały funduszy w ramach projektów NCBiR. Czas jednak zweryfikować podejście, zrozumienie i kryteria, aby zwiększyć tempo i zakres rozwoju innowacyjności Polski.

dr n. ekon. Artur Bartoszewicz, ekspert SGH

W 2018 r. pojawił się podręcznik „Oslo Manual", który całkowicie zmienił podejście do oceny innowacyjności. Daje on ogromną szansę lekom generycznym, gdyż potwierdza ich innowacyjność. Już zrealizowaliśmy zmianę na poziomie Krajowych Inteligentnych Specjalizacji: grono ekspertów wprowadziło zapisy wskazujące, że leki generyczne są obszarem innowacyjności. W podręczniku „Oslo Manual" jest wyraźne wskazanie, że w przypadku leków generycznych mamy innowacyjną działalność przedsiębiorstw, a także innowację biznesową, nowe ulepszone produkty i procesy biznesowe. Ważny jest tzw. minimalny wymóg innowacji, czyli tzw. znacząca różnica, która pojawia się dzięki wytwarzaniu leków generycznych. Lek trafia na rynek, zmienia warunki rynkowe, pozycję przedsiębiorcy, pojawiają się innowacje technologiczne. Nie ma wątpliwości, że leki generyczne powinny być finansowane w ramach projektów na badania innowacyjne. Oczywiście innowacyjność można i trzeba mierzyć, sprawdzać, czy spełnione są poszczególne kryteria, zarówno innowacji produktowej, jak i procesów biznesowych. Możemy je mierzyć z punktu widzenia pewnej kompleksowości, jak też iść w kierunku oddziaływania innowacji z punktu widzenia trzech optyk: przedsiębiorcy, odbiorcy końcowego i rynku. W każdym z tych wymiarów możemy zanalizować oddziaływanie na istotne zjawiska, np. Zielony Ład, tworzenie kompetencji o wysokim potencjale, tworzenie miejsc pracy w branżach zaawansowanych technologicznie, wdrażanie badań naukowych.

eprasa.pl f269829617

TEST „DO RZECZY": MYSZ LOGITECH LIFT

Wyjątkowy komfort użytkowania, zaskakująco cicha praca, możliwość sparowania jednocześnie trzech różnych urządzeń oraz dobry stosunek jakości do ceny – to największe zalety najnowszej myszy firmy Logitech.

Model Lift wygląda niczym tradycyjna myszka ustawiona na boku. Według jej konstruktorów unikalna pionowa konstrukcja odciąża nadgarstek i zapewnia naturalną postawę ramienia i górnej części ciała, co ma chronić przed typowymi dolegliwościami związanymi z używaniem tradycyjnej myszy komputerowej, np. przed zespołem cieśni nadgarstka, który często dotyka pracowników biurowych, spędzających większość czasu przed komputerem. Zdaniem specjalistów trzymanie ręki w pionie jest najzdrowsze, dlatego warto przyzwyczaić się do korzystania z pionowej myszki ergonomicznej. Na szczęście przejście z tradycyjnego gryzonia na testowaną wersję ergonomiczną jest proste i nie wymaga wiele czasu do przyzwyczajenia. Logitech Lift rzeczywiście jest wygodna nawet przy wielogodzinnych sesjach przed komputerem, chociaż jest dobrze dopasowana zwłaszcza do średnich i małych dłoni. Użytkownicy o dużych i bardzo dużych dłoniach przed zakupem modelu Lift powinni jednak dobrze ją przetestować, bo dla nich gryzoń może się okazać jednak niewygodny.

Parowanie z komputerami jest bajecznie proste. Ergonomicznego gryzonia można sparować jednocześnie z trzema różnymi urządzeniami – np. tabletem, prywatnym laptopem i komputerem służbowym – lub użyć niewielkiego odbiornika na USB, który mieści się wewnątrz obudowy. Dzięki zastosowaniu przycisku Easy-Switch oraz technologii Logitech Flow można nie tylko płynnie przełączać się między sparowanymi urządzeniami, lecz także nawet – po zainstalowaniu darmowego oprogramowania – szybko i łatwo przenosić między nimi pliki. Producent zapewnia, że jedna bateria AA powinna wystarczyć do obsługi tej myszy przez mniej więcej dwa lata.

Plusem testowanego modelu jest także cicha praca. Logitech Lift zapewnia bezszelestny klik i bezgłośną pracę kółka przewijania. Cztery dodatkowe przyciski można w łatwy sposób zaprogramować tak, aby działały w różny sposób w różnych aplikacjach (np. w przeglądarkach i edytorze tekstu).

Gryzoń może pracować na urządzeniach z Windowsem, macOS, Chrome OS, Androidem i Linuxem bez konieczności instalowania jakiegokolwiek oprogramowania. Leworęcznych ucieszy wiadomość, że producent przygotował też wersję dla nich.

Wady? Chociaż Lift świetnie sprawdza się w pracy biurowej, to nie jest to mysz stworzona z myślą o graczach, więc zapaleni gracze byliby tą myszą mocno zawiedzeni. Maksymalna rozdzielczość to bowiem tylko 4000 dpi.

Osoby, które dużo czasu spędzają przed komputerem, koniecznie powinny jednak przetestować ergonomicznego pionowego gryzonia. Do wyboru są trzy kolory: grafitowy, biały oraz różowy. Cena: 329 zł. ©℗ ***Jacek Przybylski***

INTELIGENTNY PIERŚCIEŃ DLA BOGATYCH

Oura Ring to pierścień monitorujący podstawowe parametry życiowe, który za pomocą wbudowanych miniaturowych czujników na bieżąco monitoruje tętno, zbiera dane o aktywności i analizuje jakość snu i ostrzega, gdy poziom stresu jest zbyt wysoki. Pierwsze warianty tego gadżetu zdobyły sporą popularność m.in. wśród rodziny królewskiej oraz gwiazd Hollywood. Producent pierścienia Oura wraz z legendarnym domem mody Gucci stworzył specjalną edycję Gucci x Oura. Pierścień dla bogaczy ma dokładnie takie funkcje jak tańsza wersja, ale został wykonany z czarnego syntetycznego korundu i ozdobiony symbolem marki Gucci oraz szlaczkiem z wzorem przypominającym pochodnie. „G" i wzór wykonano z 18-karatowego złota. Za ważący 4 g pierścień trzeba zapłacić aż 950 dol., czyli 4046 zł. To absurdalnie dużo, ale kto bogatemu zabroni?

PIEKARNIK PODPOWIE, CO I JAK UGOTOWAĆ

I-Message 2 HWO60SM2B9XH to nowy model piekarnika firmy Haier, który współpracuje z aplikacją hOn, w której znajduje się ponad 300 przepisów z podziałem na dania łatwiejsze i trudniejsze w przygotowaniu, a także mniej lub bardziej czasochłonne. Po wybraniu konkretnego posiłku aplikacja wyświetla instrukcje, co krok po kroku należy wykonać, a następnie może zdalnie ustawić parametry piekarnika tak, aby wybrana potrawa wyszła idealnie. Jak informuje producent, nowy model jest też wyposażony w funkcję Tailor Bake (ma umożliwić np. przygotowanie kurczaka chrupiącego z zewnątrz i miękkiego w środku) czy też program SOFT + przeznaczony do wypieku delikatnych ciast, ciasteczek i rogalików. Piekarnik potrafi też sam eliminować osady tłuszczu i pozostałości po pieczeniu, spalając je w temperaturze 430 st. C. Cena: 2399 zł. ©℗

Jacek Przybylski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl f269829617

JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

RYS. MART

Międzybóż – twierdza Sieniawskich

Jednym z najbardziej okazałych, a ciągle jeszcze nieźle zachowanych zamków na Ukrainie jest Międzybóż. Dziś dawna twierdza rodu Sieniawskich i Czartoryskich, rozbudowana w XVI w., prezentuje się niesamowicie – przed wojną była prawie w całości odnowiona. Uwagę zwraca wielka, poczwórna basteja od strony rzeki Boh. Międzybóż zapisał się w historii wschodnich ziem Rzeczypospolitej jako zamek starostów przygranicznych. Co chwila przechodził z rąk do rąk, bez przerwy atakowali go Tatarzy, Kozacy, Turcy. Prawdopodobnie już w XII w. mieścił się tutaj gród, zniszczony w czasie najazdu Tatarów w 1241 r. W 1331 r. wielki książę litewski Olgierd darował to miejsce książętom Koryatowiczom, którzy zbudowali pierwszą kamienną warownię, a po wyprawach ruskich Kazimierza Wielkiego gród był we władaniu niejakiego księcia Lubarta, następnie w rękach Herburtów i Sienieńskich. Wreszcie w XVI w. właścicielem został Marcin Zborowski, podczaszy koronny, który ok. 1541 r. ustąpił zameczek i miasteczko Mikołajowi Sieniawskiemu, kasztelanowi bełskiemu. To właśnie on wybudował tutaj renesansowy pałac i zamek, wzniósł baszty i kurtyny, których pozostałości możemy podziwiać do dzisiaj. Już wkrótce przyszło mu sprawdzić wartość fortyfikacji, w 1566 r. został oblężony przez Tatarów w świeżo ukończonym zamku.

Kilkakrotnie jeszcze Międzybóż stawał się celem ataków. W 1615 r. Tatarzy spalili przedmieścia, zagarniając w niewolę tysiące okolicznych mieszkańców, jednak zamek się obronił. Nie przetrwał jednak cało walk z powstańcami Bohdana Chmielnickiego, gdyż był zajęty przez Kozaków i Ordę

FOT. DOMENA PUBLICZNA

w 1649 r., spalony i spustoszony. Oddany stronie polskiej po ugodzie Zborowskiej, został zdobyty jeszcze dwa razy – w 1650 r. w czasie wyprawy Chmielnickiego do Mołdawii i w 1653 r., w czasie kampanii żwanieckiej, kiedy hetman kozacki przebywał tutaj przez jakiś czas. Odbity ostatecznie przez wojska hetmana Stanisława Rewery Potockiego w 1655 r. Dwa lata później, 24 lipca 1657 r. był świadkiem niezwykłych wydarzeń, gdyż właśnie pod Międzybożem skapitulował jeden z trzech głównych nieprzyjaciół Rzeczypospolitej – Jerzy II Rakoczy. Książę siedmiogrodzki najechał Koronę do spółki ze Szwedami i został pobity pod położonym ok. 60 km na zachód Czarnym Ostrowem. Osłabiony – ruszył do Międzyboża, chcąc przebić się do rodzimego Siedmiogrodu, najechanego w tym czasie przez wojska Jerzego Sebastiana Lubomirskiego. Tutaj osaczony został przez siły Stefana Czarnieckiego, który zamierzał rozbić wroga, został jednak powstrzymany przez hetmana Potockiego. Ten zaś zmusił Węgrów do podpisania kapitulacji.

W kolejnych latach Międzybóż odparł silne najazdy tatarskie – w 1666, 1668 i 1669 r., po odwróceniu przymierzy, kiedy orda ruszyła znowu z kozakami Doroszenki przeciwko Rzeczypospolitej. Kolejne oblężenie, w 1671 r., zostało przerwane w wyniku śmiałych manewrów chorągwi polskich Gabriela Silnickiego i płk. podolskiego Buhłanowskiego.

W 1672 r., po najeździe Turków i Kozaków Doroszenki na Podole, Międzybóż być może został zdobyty w lipcu przez Tatarów lub co pewniejsze – przekazany Porcie Otomańskiej po zawarciu haniebnego traktatu w Buczaczu. Odzyskany dla Rzeczypospolitej w październiku 1673 r. przez Mikołaja Hieronima Sieniawskiego, który pobił pod miastem Lipków tatarskich zdrajców. Niestety, wkrótce znów utracony na mocy traktatu w Żurawnie. Od tego czasu w zamku miał kwaterę jeden z tureckich baszów, nie tak długo jednak, bo na mocy pokoju w Karłowicach w 1699 r. twierdzę odzyskał Adam Mikołaj Sieniawski, późniejszy hetman polny koronny, który rozpoczął szeroką przebudowę zamku i pałacu – wzmocnił mury i poszczególne budowle. Po jego bezpotomnej śmierci w 1726 r. Międzybóż przeszedł w ręce Augusta Aleksandra Czartoryskiego, żonatego z córką ostatniego Sieniawskiego. Od tego czasu stanowił kresowe gniazdo bogatego i wpływowego rodu. Czartoryscy odbudowali miasteczko i okolicę; w 1790 r. przebywał tutaj Tadeusz Kościuszko, oficer wojsk koronnych.

Po włączeniu Podola do Rosji zamek został skonfiskowany, jednak zwrócony Czartoryskim w 1795 r. Po czym ostatecznie zagarnięty po powstaniu listopadowym w 1831 r. Wcześniej, bo w 1814 r., książę Adam Czartoryski przeznaczył pałac i twierdzę na szkołę powiatową, która działała do 1841 r., a potem została przeniesiona do Czarnego Ostrowa. ©℗

eprasa.pl f269829617

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Botwina dla urody

Botwinka, boćwina – w zależności od regionu – to potoczna nazwa wiosennej zupy gotowanej z botwiny, czyli liści młodych buraków. Historycznie jako pierwsi w kuchni wykorzystywali ją mieszkańcy Morza Śródziemnego oraz Bliskiego Wschodu. Nasz burak pochodzi od rosnącego w tamtym regionie buraka dzikiego, zwanego morskim, który występował wzdłuż wybrzeży Morza Śródziemnego.

Wbrew pozorom to jednak nie zupa wzięła swoją nazwę od rośliny, ale roślina od zupy. Najpierw była zupa, a dopiero potem nazwano tak botwinkę, czyli młode buraczki cukrowe wraz z liśćmi. Z języka białoruskiego zapożyczyliśmy nazwę potrawy, a dopiero później przenieśliśmy ją na jej główny składnik.

Mniejsza o etymologię, wszak chodzi o kuchnię i zdrowie! Botwinę najlepiej jeść teraz, kiedy jej liście są jędrne, a korzeń młody – czyli od maja do czerwca. Botwinka jest niskokaloryczna, bogata w błonnik, który zapewnia poczucie sytości, witaminy z grupy A, D i B (B1, B2, B6), jest również źródłem wapnia i magnezu, ma dobroczynny wpływ na nasze zdrowie i – co ważne – na wygląd cery. Zawiera bowiem biotynę i cząsteczki siarki, a dzięki nim reguluje pracę gruczołów łojowych, dzięki czemu zapobiega problemom skóry i normalizuje jej stan.

Liście botwiny zawierają substancje pobudzające hormony młodości i piękna! Oczywiście, aby danie podziałało upiększająco, należałoby je spożywać regularnie przez dłuższy czas.

Możemy podawać ją w formie zupy na ciepło, na zimno jako chłodnik, duszoną oraz wykorzystywać do sałatek czy zapiekaną w cieście francuskim lub w kruchych tartach. Połączenie włoskiego risotto z polską botwinką również jest bardzo dobrą kombinacją. Młode liście możemy również blendować, mieszać z sokami i wypijać jako koktajl. Chłodnik z botwinki to jedna z najpopularniejszych wiosenno-letnich zup, gdzie do „tytułowego" składnika dodajemy młody ogórek, rzodkiewkę, czosnek, obowiązkowo zielony koperek, a całość doprawiamy maślanką, kefirem lub jogurtem.

Przepis:

• 1 pęczek młodej botwiny • 1/2 pęczka rzodkiewki • 1 ząbek czosnku • 1 ogórek zielony • 1/2 pęczka świeżego koperku • 1 łyżka białego octu • 250 ml zsiadłego mleka • 250 ml kefiru • 1/2 szklanki koncentratu barszczu • oliwa, łyżka masła • 4 jajka ugotowane na twardo • 2 ugotowane młode ziemniaczki • 1/2 pęczka szczypiorku • sól, pieprz

Botwinkę myjemy, drobno kroimy i dusimy na oliwie i maśle, przyprawiamy solą i pieprzem. Odkładamy, studzimy. W osobnym garnku mieszamy kefir i zsiadłe mleko, dodajemy czosnek przeciśnięty przez praskę, pokrojone ziemniaki. Ogórek i rzodkiewkę ścieramy na tarce o grubych oczkach, odciskamy nadmiar wody, dodajemy do kefiru, potem wrzucamy wystudzoną botwinkę i wlewamy koncentrat buraczany. Doprawiamy jeszcze na koniec octem i przyprawami. Podajemy z jajkiem na twardo i świeżym koperkiem. ©℗

FOT. ADOBE STOCK

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Mielonka z zakazem

FOT. ADOBE STOCK

Wieprzowa, tłusta, w dodatku z puszki. Składu lepiej nie czytać. Konserwę luncheon meat firmy Krakus mąż kupował kilka razy z największą dyskrecją, żeby nie powiedzieć: potajemnie. Ja udawałam, że nie widzę. Jeść takie rzeczy? To było dobre za czasów słusznie minionych, kiedy rząd puszek z konserwami różnych maści był jedynym rekwizytem sklepów mięsnych i jedynym „wyborem" klienta. Brało się to na wycieczki, jeżeli człowiek dostał, a Krakus wśród producentów przetworów z mięsa uchodził za arystokrację. Szynkę Krakusa kupowało się w Peweksie, w czasie największego kryzysu na początku lat 80. można było ją też dostać w paczce z zagranicy zamówionej w Peweksie i opłaconej w twardej walucie.

Ale dzisiaj, kiedy mięso stało się czymś wstydliwym, kiedy należy jeść tylko rzeczy zdrowe i lokalne, taka mielonka to zniewaga dla zdrowia. Choć dla smaku już niekoniecznie, powiedziałabym… Kiedy spróbowałam, doszłam do wniosku, że jest to całkiem smaczne. Nie, żeby od razu włączyć do codziennego menu, ale od czasu do czasu… Naszym odkryciem podzieliliśmy się ze znajomymi, którzy wyjawili, że i oni w przypływie nostalgii fundują sobie czasem na śniadanie pasztetową, metkę, na obiad flaki czy nóżki wieprzowe. Czyli wszystkie rzeczy, które wyszły z mody (stan na czerwiec 2022 r.).

Smaki dzieciństwa i młodości przechowujemy całe życie. Niektórzy mają większą otwartość na nowe, inni całe życie zostają przy tym, co gotowały mamusia i babcia. Pizza upowszechniła się na świecie nie dzięki Włochom, a dzięki Amerykanom. Zaszczepili ją emigranci włoscy, którzy nie mogli ścierpieć amerykańskiego żarcia i nie wyobrażali sobie życia bez carbonary. Podobnie tzw. chińskie jedzenie; znamy je głównie z wersji made in USA. Gdy pojechałam do Chin, przekonałam się, że to, co my znamy jako chińszczyznę, ma z prawdziwą niewiele wspólnego.

Smaki dzieciństwa mają też drugą stronę medalu. To potrawy znienawidzone. Była kiedyś ożywiona dyskusja internetowa na ten temat. Palmę pierwszeństwa przyznano kożuchom na mleku i zupie mlecznej, a brązowy medal zdobyła kasza gryczana. To wszystko były wspomnienia z czasów, kiedy w przedszkolu naprawdę trzeba było jeść to, co kuchnia przygotowała. Dzisiaj można napisać, że Jaś nie lubi mleka, i sprawa załatwiona.

Skoro można nie lubić mleka, to może wolno lubić także mielonkę? ©℗

eprasa.pl f269829617

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Kibel albo zlew

W Hiszpanii miała miejsce operacja policji pod kryptonimem Jenner. W ramach prowokacji, poprzez Francję, udało się prowokatorowi pod pretekstem uniknięcia szczepienia z przyczyn religijnych trafić na trop hiszpański, który przywiódł policjantów do zorganizowanej grupy zapewniającej fałszywe zaświadczenia o szczepieniu. Oczywiście w Hiszpanii opowiada się o tym jak o wykryciu jakichś szczepionkowych terrorystów. Co ciekawe, na liście (a więc to jacyś naiwniacy robili, bo listy zostawili) znalazło się… 2,2 tys. osób, głównie celebryci, sportowcy, artyści, a także prezes dużej firmy farmaceutycznej – PharmaMar.

U nas mieliśmy próbę takiej narracji, ale wyraźnie „nie pykło". Były takie dwa dni, gdy wytropiono takich, ba – był nawet przykład cudowny: pani z dziwnymi objawami, choć zaszczepiona, pod respiratorem przyznała się, że zaświadczenie o szczepieniu nabyła. Nie pykło, bo covidowe media mają w zwyczaju puszczać takie zajawki, by potem zbadać, czy lud się przejmuje. Nie przejął się, bo tego rodzaju „śledztwa" zniknęły jak COVID po wojnie NA Ukrainie.

No cóż, wielkie mi mecyje. Jak ktoś nawet kilka miesięcy o tym mówił, że z tymi szczepieniami to trzeba się przyjrzeć, to wychodził na płaskoziemskiego frustrata, który chce uzasadnić swoją samobójczą decyzję o niezaszczepieniu. Moim zdaniem ten proceder jest wszechobecny, w każdym kraju, i – co dziwniejsze (słyszę z przesłuchów) – jego głównymi beneficjentami byli… medycy (akcja – kibel albo zlew). Tego rodzaju zachowania dowodzą jednak pewnej, mówiąc oględnie, hipokryzji. No bo akurat wymienione grona to przecież czołówka szczepionkowej propagandy „ostatnich prostych" we wszystkich krajach.

Ciekawe, jak tam politycy. Była przecież afera o naszym ministrze, który pozostawił zdjęcia ze swych szczepień oddalonych od siebie o pół roku, gdzie występował z tą samą panią, w tej samej koszulce. I spekulacje nie dotyczyły wyłącznie tego, czy ją (koszulkę, nie panią) przez pół roku chociaż uprał. Mamy więc prawdę czasu i prawdę ekranu.

A właśnie – ekranu. Słyszał ktoś o tej aferze? Że aż tylu? Bo w Hiszpanii pokazują to jako przykład nieodpowiedzialności. A u nas nie pokazują tego, bo – przy tak małym poparciu dla szczepień, czyli niskim poziomie „współuczestników" – odebrane byłoby to jako przykład hipokryzji covidowych elit z niebezpiecznymi analogiami wobec naszej sytuacji.

Przy zapowiadanym wprowadzeniu wszechogarniającego paszportu covidowego prorokuję międzynarodowy mafijny układ do załatwiania takich spraw. I znowu zarobią gangi. Ciekawe, jaką prowizję zapłacą naganiaczom celebryckiej hipokryzji. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Ile kapłana w kapłanie?

Każdego roku, na przełomie maja i czerwca, wyświęcani są nowi księża. Ten rok raczej utrwala tendencję wyraźnego spadku. Na przykład w diecezji warszawskiej święcenia przyjęło 13 alumnów, gdy rok temu było ich 26. W Gnieźnie w ubiegłym roku wyświęcono siedmiu diakonów, a w tym jest tylko czterech. Także w diecezji siedleckiej wyświęconych będzie tylko czterech, gdy rok temu i w poprzednich latach było ich dwa razy więcej.

Spadek nowo wyświęconych księży jest faktem, a prognozy jeszcze gorsze, ponieważ zgłoszeń na pierwszy rok jest coraz mniej. Kościół polski stoi wobec bardzo poważnych wyzwań. Tu, jak w demografii, procesy zachodzą w dłuższej perspektywie. Skutki odczujemy za kilka lat, ale symptomy widać już dziś. Skoro w ubiegłym roku w diecezji X wyświęcono np. ośmiu księży, w tym roku tylko czterech, a na pierwszy rok zgłosiło się dwóch, nawet jeżeli obaj dotrą do święceń, w najbliższych latach będzie tylko gorzej. Wątpliwym pocieszeniem jest obserwacja, że malejącej liczbie kapłanów towarzyszy coraz mniejsza liczba praktykujących katolików, zatem skoro owczarnia mniejsza, to pasterzy wystarczy. Inni zaś mówią, że nie ilość jest ważna, a jakość. Istotnie, kwestia jakości powołań znalazła się w dokumencie z 2021 r. „Droga formacji prezbiterów w Polsce: który zatwierdza nowe Ratio Studiorum dla Seminariów Duchownych". Autorzy przyznają, że sprawa „skandali i dwuznaczności z udziałem osób duchownych" negatywnie wpłynęła na kwestię powołań. „Widoczna jest wyraźna współzależność między jakością duszpasterstwa a dojrzałością powołanych. Niepokojącym zjawiskiem w doświadczeniach diecezji i zakonów bywa tzw. selekcja negatywna. Prezbiterzy i osoby konsekrowane, które przeżywają swoje powołanie w duchu przeciętności lub dwuznaczności, przyciągają osoby o podobnym usposobieniu ducha". Jakie zatem środki zaradcze proponuje nowy dokument? Radykalne zmniejszenie zajęć tych dziedzin, które stanowiły dotąd fundament formacji kapłańskiej. Okrojone zostały godziny wykładów: Pismo św. – z 450 do 360; liturgia – z 225 do 120; teologia dogmatyczna – z 300 do 240; teologia fundamentalna – z 120 do 60; teologia moralna – z 285 do 210; muzyka kościelna – z 210 do 120.

W miejsce zredukowanych dziedzin wchodzą: psychologia polityki, psychologia mediów i inne nauki humanistyczne. Wykładowcy przecierają oczy ze zdumienia, ponieważ zmiany odbyły się bez konsultacji z nimi. Decyzje zapadały gdzieś wyżej i przyszły jako gotowiec do wdrożenia od nowego roku akademickiego. Tajemnicą pozostaje, jaką rolę w tych zmianach mieli polscy biskupi, a o czym decydował Rzym. Pewne natomiast jest, że będzie nie tylko mniej księży, lecz także mniej kapłana w kapłanach. ©℗

eprasa.pl f269829617

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Mahatma Scholz o przemocy

Ten jest dobry. Naprawdę niezły. Powinni go odlać ze spiżu i przekazać do Międzynarodowego Biura Wag i Miar w Sèvres jako wzorzec cynika albo obwozić po wsiach i okazywać za opłatą, jak babę brodatą. Kanclerz Olaf Scholz. Chłopina w wieku 64 lat pomyślał sobie, że zostanie Mahatmą, i wygłosił publicznie zdumiewające zdania: „Wojna rodzi wiele pytań, takich jak: Czy przemoc można zwalczać przemocą? Czy można stworzyć pokój bez broni? Powinniśmy przedyskutować obydwa z szacunkiem".

Nie no, Olafie, jasne, jasne. Powinniśmy przedyskutować te twoje pacyfistyczne pytanka z szacunkiem, gdybyśmy nie wiedzieli, co z ciebie za ziółko i czemu ty się próbujesz w Mahatmę Gandhiego stroić. Otóż, Olafie, na świecie jest odrobinę mniej naiwniaków, niż myślisz. Ciebie to już nawet Niemcy przejrzeli. Największa niemiecka gazeta „Bild" pisze wprost, że jesteś w trybie defensywnym i masz szansę przejść do historii jako kanclerz, który obserwował, zamiast pomagać. Ruscy niszczą Ukrainę, mordują kobiety, gwałcą dzieci, a ty zastanawiasz się, czy przemoc zwalczać przemocą. Czemu ty, Ukraino, nie chcesz się poddać? – czy to właśnie pytanie stawiasz sobie w sercu, żeby kontynuować geszefty z Putinem? W sumie trudno wybrać, czy jesteś bardziej cyniczny czy żałosny...

Tymczasem Ursula von der Leyen, jak by nie patrzeć – Niemka, napisała na Twitterze, że miała wspaniałe spotkanie z Donaldem Tuskiem i: „Drogi Donaldzie, uosabiasz nasze wartości. Teraz wracasz do swojego kraju, aby ich bronić. Wielkie dzięki za niestrudzoną pracę na stanowisku przewodniczącego Europejskiej Partii Ludowej".

I weź to teraz, człowieku, zinterpretuj! Oto Niemka, która jest przy okazji przewodniczącą Komisji Europejskiej, mówi Polakowi, że ma wracać do Polski, żeby bronić wspólnych wartości. To, po pierwsze, znaczy, że w Polsce są zagrożone jakieś wspólne wartości, a po drugie, rodzą się pytania, jakie wspólne wartości ma na myśli Niemka, kto i w jaki sposób im zagraża. Po trzecie wreszcie, trudno nie odnieść wrażenia, że Tusk jakby zostaje wysłany na misję, żeby chyba w niedalekiej przyszłości było bardziej wspólnie z Niemcami. Ale czy bardziej wspólnie z Polakami, to ja już tego nie wiem.

Wszystko to dość tajemnicze i enigmatyczne, ale chyba wskazuje wyraźnie, gdzie jest ulokowana sympatia pewnej Niemki. Jednak zastanawiam się, czy tego typu rekomendacja Niemki dla polskiego polityka nie jest jednak niedźwiedzią przysługą. Jak to mówią zdystansowane krety: Zobaczymy. ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

MAŁGORZATA WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Fatalne zauroczenie

Małgośka, mówią mi, wy Polacy, kochacie się w zachodniej Europie z fatalnym skutkiem. Tak twierdzą moi hiszpańscy amigos. I mają rację, bo gdy Scholze i Macrony plują nam w twarz, to pół Polski udaje, że to deszcz pada. Hiszpanie są bardziej obiektywni, bo sami zawieszeni są między dwoma światami: Europą i amerykańską Iberosferą. Dlatego w wielu sprawach rozumiem się z nimi bez słów.

Nieustający napływ hiszpańskojęzycznych imigrantów z Ameryk i Afryki sprawia, że nie mają uprzedzeń i nie dzielą ludzi na gorszych czy lepszych Europejczyków. Nie ma w nich ani francuskiej megalomanii, ani niemieckiej chęci dominacji. Za to rozmowa o rasach ludzkich jest dla nich czymś naturalnym, bez tej skazy, którą nazizm ze swoimi teoriami podludzi naznaczył naszą pamięć.

Gdy znajoma antropolog hiszpańska z pasją zaczęła w towarzystwie opisywać moją czaszkę jako typowo słowiańską, brachycefaliczną, i kontemplować kolejno nos, kości policzkowe – poczułam się nieswojo. Chociaż nie było to przesłuchanie na gestapo, a jedynie tapas w gronie znajomych, to polski naskórek zjeżył mi się na słuch o „spłaszczonej potylicy u Słowian". I tak już na zawsze historia naznaczyła nas innymi tikami, alergiami i traumami, które sprawiają, że Polka na antypodach Europy zawsze będzie się czuła trochę jak na innej planecie.

Wojna pogłębia przepaść między nami. Dystans i ignorancja sprawiają, że niewielu Hiszpanów obchodzi to, co się dzieje na Ukrainie. To są zresztą oczywiste egoizmy narodów, wzmocnione kulturą liberalną, która sprawia, że zanika pojęcie tragizmu życia, a człowiek, który sam sobie stał się bogiem – nie musi być już empatyczny.

Tę skorupę obojętności przebić mogą tylko artyści, i to nawet ci umarli. Dlatego tak cieszą mnie cytaty z Herberta odnajdywane w hiszpańskiej prasie czy wieczór literacki poświęcony książce Józefa Wittlina „Mój Lwów" właśnie wydanej w Hiszpanii. W upalny majowy dzień mała sala w Muzeum Druku w środku zabytkowego Madrytu stała się nagle polskim miejscem, choć opowiadanym w języku Cervantesa.

Nawet jednak tu przed wejściem dostałam ostrzeżenie, abym siedziała cicho, bo to spotkanie „polonii od Trzaskowskiego" i tacy jak ja nie są mile widziani. Gdy jednak polska tłumaczka tej książki opowiadała Hiszpanom, że chodzi o miasto zwane w Europie „Leópolis, Lviv, Lemberg", a siwiutki pan wyrywał się z publiczności, krzycząc: „A może jednak – Lwów, proszę pani!", to poczułam, że my – świadomi, skąd pochodzimy i dokąd zmierzamy – nigdy nie damy się uciszyć. ©℗

eprasa.pl f269829617

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Psychopatologia ruskiego miru

WOJCIECH ROSZKOWSKI

W swojej najnowszej książce „Poza porządkiem” słynny kanadyjski psycholog Jordan B. Peterson przypomniał koncepcję samooszukiwania się opisaną przez Zygmunta Freuda. Obejmuje ona takie zjawiska jak „zaprzeczenie”, czyli wmawianie sobie, że prawda nie jest wcale straszna, „upozorowanie”, czyli przekonanie o swych wyższych racjach, „identyfikacja”, czyli opinia, że „jestem nękany, więc mam podstawę, by tyranizować innych”, lub „racjonalizacja”, czyli odwoływanie się do sądów intelektualnych. „Freud – pisze Peterson – był wybitnym filozofem oszustwa. Nie obawiał się wskazywać na związek pomiędzy nieuczciwością a psychopatologią”.

Jeśli się głębiej zastanowić, to prawie wszystkie formy samooszukiwania się opisane przez Freuda pasują do ideologii ruskiego miru, który opanował obecnie umysły większości Rosjan. Podstawą jej jest freudowska „identyfikacja”. W powszechnej opinii współczesnych Rosjan doznali oni okropnych krzywd w wyniku upadku imperium sowieckiego i rozszerzenia się strefy wolności na kraje byłego bloku sowieckiego, a nawet na niektóre republiki sowieckie, takie jak Ukraina. Nie dopuszczają nawet myśli, że taka była wola mieszkańców tych krajów, a nawet sądzą, że zostali oni oszukani i zmanipulowani przez „wrogi Zachód”. Reakcją na te rzekome krzywdy są poczucie zawiedzionej miłości własnej i agresja. Niewdzięczni poddani powinni być więc surowo ukarani.

To, że kara jest nieludzka, jak w przypadku agresji na Ukrainę, jest w tej logice nieprawdą. Mamy tu freudowskie „zaprzeczenie”. Niewdzięcznicy sami się bowiem kaleczą, żeby wykazać, że są ofiarą, podczas gdy naprawdę zasługują na swój los, który zresztą jest i tak lżejszy niż to, czego są warci.

„Upozorowanie” pcha Rosjan w ślad za ich kierownictwem politycznym do przekonania, że ruski mir jest wartością, która usprawiedliwia zastosowane środki. Jeśli bowiem agresję błogosławi zwierzchnik cerkwi rosyjskiej, to nie może być wątpliwości, że racja moralna jest po stronie Rosji.

„Upozorowanie” pcha Rosjan w ślad za ich liderami do przekonania, że ruski mir jest wartością, która usprawiedliwia zastosowane środki. Jeśli bowiem agresję błogosławi zwierzchnik cerkwi rosyjskiej, to nie może być wątpliwości, że racja moralna jest po stronie Rosji

Freudowską „racjonalizację” odnaleźć można w odwołaniu się do autorytetów intelektualnych. Mało ich, ale można je znaleźć w nauce i literaturze rosyjskiej lub w wybrykach mniemanych autorytetów zachodnich, owładniętych podobną pasją rusofilską.

Mechanizm freudowskiego „przemieszczenia” widać w uznaniu wszystkich, którzy trzymają się logiki, prawdy, sprawiedliwości i zdrowego rozsądku za współwinnych, którym także należy się kara. Do tych współwinnych dołączyli po Amerykanach i Polakach ostatnio także Finowie i Szwedzi. Wreszcie „projekcja” Freuda widoczna jest w upartym i dziecinnym powtarzaniu, że „to nie my kłamiemy, to wy kłamiecie”.

Jako psycholog kliniczny Peterson zauważył, że opisane powyżej schorzenie, które jako żywo pasuje do rosyjskiej duchowości, nasila się w wyniku dwóch czynników.

Pierwszy to zaniedbanie. Jeśli bowiem człowiek podatny na wymienione zjawiska nie potrafi lub nie chce sobie z nimi poradzić i zaniedbuje nasilające się objawy, to mogą mu przyjść z pomocą inni. Problem w tym, że schorzenia Rosji były przyjmowane za dobrą monetę przez świat zewnętrzny, co utwierdzało Rosjan w przekonaniu, że są zdrowi. Skuteczność polityki Putina mogła dodatkowo utwierdzać to przekonanie. Kto wie, może więc w świecie zachodnim wymienione zjawiska zbliżają się już także do pewnego punktu krytycznego? Niemiecka niepewność co do tego, jak postąpić obecnie, gdy rosyjska choroba ujawniła się z całą mocą, mogłaby o tym świadczyć. Uparte kołatanie prezydenta Francji do rosyjskich drzwi też nie świadczy o uświadomieniu sobie powagi sytuacji.

Drugim czynnikiem wymienionym przez Petersona jest to, że ludzkie doświadczenie nie jest rozumiane. Mylnie zakłada się bowiem, że tak jak przyroda rządzi się swymi prawami, tak i w ludzkim społeczeństwie funkcjonują mechanizmy, które dadzą się zdefiniować i kontrolować. Nie docenia się faktu, że ludzka natura zawiera, obok cech rozumowych i moralnie uporządkowanych, cechy irracjonalne, emocjonalnie chwiejne, a nawet, że jest otwarta na zło i szaleństwo. Rosja dobrze to rozumie, ale w społeczeństwach zachodnich nadal pokutuje przekonanie o nowym, wspaniałym świecie technologicznego postępu i liberalnej demokracji, a największe zagrożenie widzi się w dyskryminacji osób o niejasnej identyfikacji płciowej lub w globalnym ociepleniu, a nie w moralnym oziębieniu. ©℗

eprasa.pl f269829617

CZOŁG

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

W polityce nie ma przyjaciół – są interesy. Co zrobisz, jeżeli wspólnik wystawi cię do wiatru? Tę ewentualność należy zawsze brać pod uwagę w stosunkach z sojusznikami RP.

Umowę sojuszniczą powinno się czytać tak jak zwyczajną umowę handlową. Ja zaczynam od tego, co napisali małym drukiem, i jeżeli to mi się nie podoba, wówczas nie czytam już tego, co napisali wyżej dużą czcionką. Warto pamiętać, że każda umowa jest warta tylko tyle, ile papier, na którym ją spisano, chyba że… druga strona wie, że możesz im zrobić jakąś krzywdę, gdyby oni tę umowę złamali. Krzywda może mieć różne formy.

Za każdą umową (zwyczajną lub międzynarodową) musi stać jakaś siła, lewar na potencjalnego przeciwnika. Bo dzisiejszy sojusznik może się okazać przeciwnikiem. Bank był przyjacielem, gdy dawał kredyt, ale staje się przeciwnikiem w chwili, gdy zaczynasz kredyt spłacać. To całkiem normalne – taka zmiana z przyjaciela w przeciwnika. Gdy oni już ci ten kredyt wydali, stajesz się dla nich potencjalnym zagrożeniem, bo może przestaniesz spłacać.

***

Politycy powinni planować, co możemy zrobić, gdyby nasz obecny sojusznik wystawił nas do wiatru. Przed drugą wojną światową Polska podpisała umowy o wzajemnej pomocy na wypadek niemieckiego ataku. I co? I Polska nie pomyślała o żadnych zabezpieczeniach, a Brytole i Francuzi zrobili to, co zrobili, czyli… NIC. Nasi „przyjaciele i partnerzy" zostawili nas na pastwę Niemców, ponieważ w polityce nie ma przyjaciół – są interesy i siła. Lub brak siły, którym wykazała się Polska, gdy padła na pysk we wrześniu 1939 r.

Potem wystawili nas w Jałcie, bo Polska wykrwawiła się i utraciła wszelkie możliwości własne, więc nie było powodu, by nas bronić. Zachowaliśmy honor i liczyliśmy na wdzięczność, gdy tymczasem w polityce nie ma wdzięczności ani honoru – są interesy.

Tak samo mogą zrobić teraz. Nie muszą, ale mogą. A skoro mogą, to czy Polska jest przygotowana na to, że wystawią nas do wiatru NATO lub sama Ameryka? Jeżeli nie masz własnej siły obronnej (tak jak ją mają Szwecja i Finlandia), to nie łudź się, że Amerykanie za darmo będą stanowili agencję ochroniarską Polski. Tysiące żołnierzy amerykańskich stacjonują w naszym kraju, ale gdyby Amerykanie dogadali się z Ruskimi, tak jak dogadali się w trakcie drugiej wojny światowej, to musimy mieć jakąś własną siłę do obrony, a nie liczyć na USA.

***

Politycy nie rozważają nawet teoretycznie takiej opcji, że art. 5 nie zadziała. A przecież to tylko papier. Ktoś powie: „Amerykanie nie wystawiają sojuszników do wiatru". Naprawdę?! Sajgon 1975 r. – Amerykanie ewakuowali się w popłochu, a ich lokalni sojusznicy trafili do wietnamskich obozów śmierci. Kabul 2021 r. – prezydent USA Joe Biden porzucił afgańskich sojuszników oraz amerykańskich obywateli z paszportami. W tej sytuacji warto przynajmniej rozważać taką opcję, że Stany Zjednoczone mogą nas z dnia na dzień zostawić na pastwę Ruskich.

Ameryka za Trumpa blokowała Nord Stream 2 – polscy politycy klaskali. Biden, bez oglądania się na Polskę, cofnął decyzję Trumpa i wydał zgodę na dokończenie rury, która Polskę udusi. W tym momencie powinniśmy pokazać Ameryce jakąś siłę, postawić warunki, ale być może nie mamy nic – żadnych kart w ręku do rozgrywek tego typu. Jeżeli ich rzeczywiście nie mamy, to wina polskich polityków robi się kolosalna. Brak reakcji na reaktywację Nord Stream 2 był dla USA sygnałem, że jesteśmy bez gaci, przyjmiemy wszystko, cokolwiek nam zrobią, będziemy siedzieć cicho i kupować kolejne czołgi. Dostaliśmy kopa w twarz, a nadal uśmiechamy się grzecznie i sojuszniczo.

Najpierw Trump wystawił do wiatru Niemcy, potem Biden wystawił do wiatru nas, teraz (z powodu wojny na Ukrainie) odwrócił kota ogonem i znów wystawił do wiatru Niemców, blokując Nord Stream 2, ale... tylko czasowo, czyli zaraz po zakończeniu wojny znowu wystawią do wiatru Polskę i Nord Stream 2 powstanie.

Ameryka wystawia sojuszników notorycznie, bo w polityce liczą się wyłącznie siła i interes własny. Jeżeli masz siłę, to cię nie wystawią, a gdy nie masz siły, to się nie liczysz. Sama obecność amerykańskiego wojska w Polsce nie gwarantuje, że to wojsko będzie się bić. Wystarczy jeden rozkaz z Waszyngtonu i albo pozostaną w koszarach jako „wojsko neutralne", albo wsiądą do samolotów i się ewakuują.

Kocham Amerykę, mieszkam w Ameryce, ale nie jestem ślepy ani głupi. Opieranie bezpieczeństwa Polski wyłącznie na Ameryce, a nie na sile własnej, jest głupie, naiwne, szalone. Sajgon 1975, Kabul 2021, Warszawa?

***

Kupujemy kolejne czołgi. Skąd wybór akurat takiej broni? Czy to dlatego, że polscy politycy wychowali się na serialu „Czterej pancerni i pies"? Do czego konkretnie mają służyć czołgi na wypadek ataku ze strony Rosji?

Czołg kosztuje kilkanaście milionów dolarów. Rakieta, którą można ten czołg rozwalić, kosztuje kilka tysięcy dolarów. Za cenę jednego czołgu kupisz zapas rakiet do rozwalenia ponad tysiąca ruskich czołgów. Taka rakieta jest lekka i prosta w obsłudze – odpala ją z ramienia jeden żołnierz, a nawet cywil ukryty w rowie.

Czołg waży ponad 60 ton. Ile mamy mostów, przez które jesteśmy w stanie przerzucać sprzęt o takiej wadze? Ile czasu zajmie Ruskim rozwalenie naszych mostów?

Czołg porusza się wolno – 70 km/h, gdy się dobrze rozpędzi. Ludzie z bazookami są w stanie poruszać się w każdym terenie, samochodem, motorem, na rowerze, na piechotę oraz kajakiem na drugi brzeg.

Urzędnicy państwowi ganiają na zakupy czołgów jak oszalałe baby po sklepie z butami. Mamy ruskie T-72, niemieckie leopardy, teraz jeszcze amerykańskie abramsy i może coś z Korei. Jak to ma potem wyglądać na polu bitwy, gdy trzeba będzie ciągnąć zaplecze techniczne i części zapasowe do czterech różnych typów czołgu? Przecież utkniemy w bałaganie. Cztery zestawy części zamiennych, cztery typy amunicji, cztery typy przeszkolenia. Szesnastu pancernych? ©℗

eprasa.pl f269829617

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

Uwaga: nowe ceny!

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY” I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

TERESA KOWALIK
I PRZEMYSŁAW SŁOWIŃSKI
„WIELKIE DZIEDZICTWO POLAKÓW”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~577 ZŁ~~

233,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 344 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl f269829617

eprasa.pl f269829617